ROK XLI. Nr 1—4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1938.

ROK XLI. Nr 1—4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1938.

Drukarnia Związkowa w Krakowie, ul. Mikołajska 13
pod zarządem K. Brachowskiego.

X. W. SZYMBOR.

Konwent sześcioletni.

W r. 1939 ma się odbyć sexenalny konwent.

Pismem, wystosowanym dnia 26 grudnia 1938 r. do X. Wizytatora J. Kryski, O. Generał Souvay zwołuje konwent, który według dekretów ma się odbyć w sześć lat po ostatnim konwencie generalnym. Zwołuje go do Paryża na dzień 26 lipca 1939 r.

Oto tekst wspomnianego pisma:

CAROLUS LEO SOUVAY, superior generalis Congregationis Missionis, dilecto nostro in Christo confratri D IOSEPHO KRYSKA, dictae nostrae Congregationis sacerdoti, nec non visitatori provinciae Polonensis. Salutem in Domino.

Cum juxta Constitutiones nostrae Congregationis habendus sit anno millesimo nongentesimo trigesimo nono Conventus Deputatorum qui, sexto anno post finem ultimi Conventus generalis, a Provinciis mittuntur deliberandi causa de cogendo vel non cogendo Conventu generali;

Cumque ad Nos pertineat hunc Conventum sexennalem convocare,

Eumdem Conventum Deputatorum in Domo nostra primaria parisiensi ad diem Vigesimam sextam mensis Iulii proximi, praesentium tenore, indicimus ibique habendum et celebrandum decernimus, denuntiamus et convocamus.

Quapropter Te, tanquam Visitatorem Provinciae Polonensis monemus ut Conventum Provincialem, II[a] vel III[a] hebdomada post Pascha, si commode fieri possit, vel alia quavis opportuniori, cogas pro electione unius Deputati ad praefatum Conventum sexennalem.

Interea monebis et curabis ut in omnibus Provinciae tuae domibus preces Deo fundantur pro felici dicti Conventus successu; perlegantur Conventuum nostrorum de electionibus decreta nec non epistola encyclica R. A. DD. Joannis-Baptistae Etienne, anni 1855, de Conventu sexennali; denique celebrentur Conventus domestici, ad quos hi omnes convocandi sunt qnibus jus illud competit.

In quorum fidem, praesentes litteras, Nostra ac Secretarii Nostri manu subscriptas sigilloque Nostro munitas, expediri mandavimus.

Datum Parisiis, in Domo Nostro primaria, anno Domini millesimo nongentesimo trigesimo octavo, die vero mensis decembris vigesima sexta.

Carolus L. Souvay, I. S. C. M. sup. Gen.

De mandato R. A. DD. Superioris generalis.

I. Combaluzier, sec. gen.

Z rozporządzenia IMC X. Wizytatora Kryski konwent prowincjonalny zacznie się na Stradomiu w poniedziałek 3 lipca o godzinie 4 po południu. Konwenty więc domowe odbędą się w czasie poprzedzającym ten termin.

X. W. SZYMBOR.

Szpital św. Łazarza w Krakowie.

II. Siostry Miłosierdzia. — III. Z przeszłości kościoła.

(Dokończenie).

II.

Siostry Miłosierdzia.

Siostry Miłosierdzia w szpitalu św. Łazarza mają wcześniejsze dzieje. Ich prehistorię stanowi szpital przy ul. św. Jana. Powstał 1714 r. [1]). Fundował go biskup Michał Szembek, sufragan krakowski. „Panny do uczynków miłosierdzia osobliwą od Boga mające wokację i dlatego od miłosierdzia ku ubogim i chorym Siostrami Miłosierdzia nazwane“, sprowadził z Warszawy i oddał im na szpital kamienicę przy ul. św. Jana, naprzeciwko kościoła św. Jana [2]). Jest to kamienica, stanowiąca drugi narożnik przecznicy św. Tomasza, obecnie tyły Grand Hotelu, L. 8. Sióstr sprowadził 4. Oprócz kamienicy zapisał biskup Szembek dla każdej z Sióstr po 200 tynfów rocznie na przyodziewek, sprzęt i inne potrzeby chorym prokurowane, tudzież na restaurację szpitala i rezydencję urzędowym zapisem w Grodzie Krakowskim w sobotę po popielcu 1715 r. zeznanym sumę 50 000 złp. na wsi dziedzicznej Mieroszów w powiecie Proszowskim zapisaną“ i zobowiązał się spłacić ją na Trzech Króli 1718 r., przelewając na obdarzone Zgromadzenie wszelkie swe prawa do tejże wsi. Siostry mają leczyć w tym szpi-

---

[1]) Zapewne »Roczniki Tow. Dobroczynności« z r. 1829 zawierają opis tego szpitala. Wspomina o tym Głębocki w książce »Zakłady ku ulżeniu cierpieniom bliźnich« na str. 6. Ale nie miałem do nich dostępu.

[2]) Biskup Michał Szembek założył ten szpital »widząc na ulicach miasta, wiarą i religią najsławniejszego, tyle ubogich chorych na gnoju jak bydło leżących, różnymi dolegliwościami strapionych« (Wachholz — str. 19).

talu ubogich chorych, odwiedzać chorych poza szpitalem. Był to szpital, mogący pomieścić aptekę i 16 chorych. Istniał do dnia 27 pazdziernika 1780 r.

Wtedy to przeniosły się Siostry Miłosierdzia do szpitala akademickiego św. Barbary, założonego w tym samym roku. W chwili przeniesienia się z ulicy św. Jana do św. Barbary szpital Sióstr Miłosierdzia był bardzo dobrze zaopatrzony w fundusze. Siostry postawiły jako warunki połączenia się dwu szpitali: że ich kamienica Szembekowska ma przejść na własność XX. Misjonarzy na Stradomiu w myśl układu biskupa Szembeka z X. Jakubem Cyboni, superiorem XX. Misjonarzy w Lublinie i X. Michałem Kownackim, generalnym wizytatorem oraz Marią de Bay, przełożoną Sióstr Miłosierdzia, z 5 czerwca 1714 r. w Krakowie; Siostry Miłosierdzia w liczbie 6 przeniesiono do nowego szpitala, otrzymać mają oprócz utrzymania po 300 złp. rocznie. Zarząd, wizytacje i zmianę osób pozostawiono przełożonym Zgromadzenia. Akademicki szpital św. Barbary miał przyjmować chorych, ale równocześnie miał służyć celom naukowym dla młodzieży uniwersyteckiej Wydziału medycznego.

Wizytator Sióstr Miłosierdzia zażądał, aby pobierały one oprócz całego utrzymania, także odpowiednie wynagrodzenie; aby zarząd wewnętrzny, wizytacje i zmiany Sióstr należały do przełożonych Zgromadzenia; aby część kościoła pokarmelickiego przerobiono na kaplicę; aby wyznaczono kapelana spośród XX. Misjonarzy; dalej, by Siostry Miłosierdzia posiadały wieczyście nowy ten zakład z wszelkimi nieruchomościami i ruchomościami wraz ze szpitalem, a to niezależnie od swego obecnego i przyszłego posagu; wreszcie, aby do nowego szpitala nie przyjmowano chorych wenerycznych. Do zastrzeżeń tych przyłączyła się ówczesna przełożona Sióstr, S. Marianna Niwińska [1]). Akademia w akcie erekcji szpitala jest zupełnie pominięta, mowa tylko o Siostrach. Nadaremnie zwracała się kilkakrotnie do prymasa Poniatowskiego z prośbą o przyznanie jej prawa własności do szpitala. Te przyznane zostały Akademii za rządów Konfederacji Targowickiej. Delegaci Akademii: Śniadecki, Radwański i Kostecki z rąk Kon-

---

[1]) Wachholz — Szpitale krakowskie, str. 27.

federacji otrzymali wszystkie dokumenty szpitalne i gotówkę odebraną Siostrom.

Szpital w tym czasie miał chorych 215. Dochód szpitala przeciętnie wynosił rocznie 9 042 złp., rozchód 8 990 złp. Personel szpitalny składał się z 10 Sióstr, lekarza i jego zastępcy, 4 felczerów, akuszerki, 28 osób do posług i z kapelana [1]).

Za senatora Józefa Hallera wprowadzono nowy statut 1839 r., który władzę nad szpitalem św. Łazarza oddaje radzie, złożonej z dyrektora kliniki lekarskiej i chirurgicznej, dyrektora kliniki położniczej, prymariuszów oddziałów wewnętrznego i chirurgicznego, przełożonej Sióstr Miłosierdzia, dwu opiekunów z obywatelstwa i jednego senatora, jako prezesa rady. Przełożona, S. Szmurłówna, wtedy sporządziła inwentarz szpitala, przy którym spotkała się z wielkimi przykrościami.

W r. 1844 Sióstr jest 14. Przełożoną w ciągu dalszym jest Siostra Konstancja Szmurłówna. Siostry wtedy oprócz wsi Mieroszów w Królestwie położonej i folwarku Blich, im do rozporządzenia własnego zostawionych, rocznie do 6 000 złp. przynoszących i oprócz innych jeszcze kapitałów wyłącznie dla nich ubezpieczonych, pobierają nadto kompetencją z funduszów szpitalnych [2]), a to przełożona rocznie po 400 złp., inne Siostry po 300 złp. Do tego inne wygody, mianowicie obsługi, opału, lekarza, lekarstw, kapelana, im także służące, opędzane są z funduszów szpitala. Inne dobra są własnością szpitalną [3]).

---

[1]) Wachholz — str. 41. Stale wrogo usposobiony dla Sióstr dr Wachholz w swojej książce wszystko tłumaczy na ich niekorzyść. Traci równowagę. Pasja go ponosi. Nie cofa się przed wyrażeniami »kobiety żądne władzy«, »niesłychane intrygi«, »gorszące spory« itd. o tych Siostrach, które bronią swojej własności. Natomiast stoi z sympatiami swoimi po tej stronie, która cudzej własności nie szanuje, bo pod wpływem przewrotów rewolucyjnych i haseł »Oświecenia« miała osłabione poczucie etyczne. Poza tym nie da się zaprzeczyć, że książka Wachholza historycznie jest gruntownie napisana i opiera się na źródłach pierwszej ręki. Ale tamto, czy to nie ubliża autorowi samemu?

[2]) Głębocki — Zakłady, str. 272.

[3]) Z r. 1848 przechowały się nazwiska Sióstr Miłosierdzia w Direc. Off. Divini dioec. Kielc-Cracov. 1848: »Communitas Puellarum ad Hospitale s. Lazari in Wesoła: Constantia Szmurło, subpriorissa, Francina Rycharska, Agnes Zawadowska, Rozalia Malinowska, Thecla Gołębiowska, Thecla Błeszczyńska,

Wśród jakich warunków pracują Siostry Miłosierdzia? Były tylko 3 oddziały w budynkach pokarmelickich [1]). Pierwszy oddział chorób wewnętrznych był pod kierunkiem dr. Błażeja Bobrzyńskiego. Do pomocy miał asystenta dr. Wesołowskiego i praktykanta Nowakowskiego. Do oddziału przydzielone były 4 infirmarki Siostry Miłosierdzia, po 2 do mężczyzn i do kobiet, mający do pomocy dwu posługaczy i 4 posługaczki. Drugi oddział chirurgiczny powierzony był dr. Placerowi, który miał asystenta i praktykanta. Tu znowu dwie Siostry Miłosierdzia, jako infirmarki po jednej do kobiet i mężczyzn, a do pomocy 3 posługaczki i 1 posługacz. Trzeci oddział położniczy podzielony był na 1) klinikę położniczą i na 2) zakład sierót. Trzecim oddziałem kierował dr Kwaśniewski z asystentem dr. Zieleniewskim i z akuszerką egzaminowaną. W klinice położniczej nie było Siostry. Za to w zakładzie sierot do niemowląt była infirmarką Siostra Miłosierdzia z dozorczynią i posługaczką, a do starszych dzieci szkolnych 2 mistrzynie Siostry Miłosierdzia, nauczyciel, nauczycielka i 2 posługaczki. Ogólną zaś służbę szpitala stanowili: rządca Jędrzejowski Napoleon, X. kapelan Karczewski Ludwik, pisarz kancelarii Osiński Ludwik, odźwierny, krawiec, szewc, cieśla, 2 stróżów, 2 grabarzy, kościelny i fornal do koni [2]). Aptekarz kontraktem na zasadzie statutu zawartym trzyma prowizora i ma przydaną Siostrę Miłosierdzia, obznajmioną z ekspedycją lekarstw. W oddziale I leczono w ciągu całego roku 1 450 mężczyzn i 1 395 kobiet, razem 2 845; na oddziale II: 335 mężczyzn i 255 kobiet, razem 590; na oddziale III: kobiet 246, dzieci chorych rocznie 331.

Josepha Petrolz, Thecla Radzimińska, Paulina Stodulska, Julianna Wespachowska, Theophila Jastrzębska, Victoria Postkowska, Domicella Ossowska, Catharina Cioth, Dorotha Dobrowolska. Capell. Hospitalis Ludovicus Karczewski, n. 1821, s. 1844.

[1]) Wśród wiecznych dążności do wzmożenia się cudzym kosztem pamiętano łaskawie i o Misjonarzach na Stradomiu. Komisja organizacyjna miniaturowej Rzpltej Krakowskiej ustanowiła między in. komitet akademicki, który zorganizować miał akademię i ustalić stosunek jej do klinik i zaproponował dom XX. Misjonarzy na Stradomiu, jako najodpowiedniejszy. Wydział lekarski proponował zużytkować na to dom oo. Bonifratów. Zawsze cudzym kosztem (Wachholz, str. 48).

[2]) Głębocki — Zakłady... str. 279.

Na wychowanie po wsiach rozdało się rocznie 236 dzieci. Dzieci w szkole szpitalnej było: 49 chłopców, 36 dziewcząt, razem 85 [1]).

Role więc w szpitalu już zmienione zupełnie. Siostry Miłosierdzia zeszły na drugi, dalszy plan.

Zarząd szpitala stanowiła w tym okresie (r. 1850) rada szpitala: jako przewodniczący wiceprezes miasta Paprocki Ignacy, trzech profesorów z klinik, dalej kierownicy oddziałów, Bobrzyński, Placer i Kwaśniewski, przełożona Sióstr Miłosierdzia S. Konstancja Szmurło, dwu obywateli miasta Czerny Antoni i Strzelbicki Marcin, wreszcie jako sekretarz rady Jędrzejowski Napoleon, rządca szpitala [2]).

Radę szpitalną zniósł rząd austriacki 1855 r. i zarząd szpitala oddał w ręce dyrektora szpitala. Pierwszym dyrektorem św. Łazarza był dr Antoni Bryk, profesor medycyny sądowej i policji lekarskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po nim był dr Ferdynand Kopczyński, a od r. 1861 dr Jan Harajewicz. W r. 1866 przejął Wydział krajowy z rąk rządu austriackiego zarząd szpitali, a dyrektorem z jego nominacji był dr Harajewicz. Był nim aż do roku 1893.

Od tego też czasu zaczyna się coraz lepszy rozwój szpitala. Coraz więcej budynków przybywa, coraz więcej chorych się przyjmuje, a dzieci przeniesiono do szpitala św. Ludwika. Równorzędnie odpowiednio do wzrostu liczby chorych wzrasta prędko ilość Sióstr Miłosierdzia.

Kiedy łóżek w pierwotnym szpitaliku św. Jana r. 1714 było 16, to u św. Łazarza r. 1879 już ich było 510, 1895—766, 1915—943, a w r. 1930 jest ich 1 225. Sióstr Miłosierdzia 1714 r. było 4, 1780—6, 1844—14, a obecnie 1930 r. jest ich 60, względnie 71.

Ilość oddziałów szpitalnych wzrastała z roku na rok. Kiedy w r. 1850 było ich tylko 3, to obecnie jest 12, a mianowicie:

I. A. Wewnętrzny z prymariuszem prof. dr Tempką i 3 Siostrami: Władysławą Słomiańską, Zofią Kalandyk, Walerią Stasch.

I. B. Wewnętrzny z prymariuszem dr Krokiewiczem i 2 Siostrami: Joanną Serafinowicz i Marią Pawłowską.

---

[1]) Głębocki — Zakłady... str. 280-282.

[2]) Ibidem — str. 283.

II. Chirurgiczny z prymariuszem prof. dr Glatzlem i 7 Siostrami.
III. Ginekologiczny z prymariuszem prof. dr Zubrzyckim i 1 Siostrą.
IV. Okulistyczny z prymariuszem doc. dr Brudzewskim i 2 Siostrami.
V. Skórny z prymariuszem dr Dybowskim i 4 Siostrami.
VI. Nerwowo-umysłowy z prymariuszem doc. dr Artwińskim i 4 Siostrami.
VII. Urologiczny z prymariuszem doc. dr Pisarskim i 3 Siostrami.
VIII. Dziecięcy w szpitalu św. Ludwika, gdzie prymariusza chwilowo (w r. 1930) niema, z 10 Siostrami i z S. Walerią Kościńską jako przełożoną.
IX. Chirurgiczno-ortopedyczny z prymariuszem prof. dr Rutkowskim i 2 Siostrami.
X. Laryngologiczny z prymariuszem prof. dr Baurowiczem i 1 Siostrą.
XI. Roentgen z prymariuszem dr Korabczyńskim i 2 Siostrami.
XII. Szkoła położnych z prymariuszem prof. dr Markową i 1 Siostrą.

W aptece, która jest pod kierownictwem aptekarki p. Radwańskiej, pracują 3 Siostry, a nadto w izbie przyjęć 2, w kościele 1, w kuchni chorych 4, w pralni szpitalnej 2, w magazynie wiktualnym 2, głównym 2, chirurgicznym 1, w piekarni 1, w szwalni 1, w westjarni 1, na zastępstwo 4. Przełożoną od 1925 r. jest Siostra Wiktoria Sępek.

Jest jeszcze jeden urząd specjalny do spełnienia. Dzień w dzień rano, zaraz po Mszy św., która kończy się o godz. 6, jedna Siostra z latarką i dzwonkiem poprzedza kapelana, niosącego Pana Jezusa do chorych, których w dniu poprzednim wyspowiadał. Z pośród 4 najmłodszych Sióstr co tydzień inna spełnia ten urząd.

W szpitalu św. Łazarza jest więc Sióstr Miłosierdzia 60. A ponieważ szpital dziecięcy należy do św. Łazarza, jako oddział VIII. dziecięcy i ma wspólny zarząd i wspólną statystykę, dlatego i 11 Sióstr z szpitala św. Ludwika tu zaliczyć musimy, jakkolwiek te Siostry pod względem życia zgromadzeniowego stanowią

odrębny dom i mają odrębną przełożoną. Musimy więc liczyć wszystkich Sióstr 71. Prócz 14 prymariuszów ma szpital 123 lekarzy, a poza 71 Siostrami Miłosierdzia jest 7 pielęgniarek zawodowych i 296 służby pielęgniarskiej. Młode Siostry przechodzą poprzednio kurs pielęgniarski w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek na ul. Kopernika. Przełożone Sióstr były w ostatnim czasie następujące: S. Joanna Świętorzecka (1889 — 1908), S. Melania Czarlińska (1908 — 1916), S. Rozalia Wiśniewska (1916 — 1925), a obecnie S. Wiktoria Sępek od 1925 r.

Siostry we wszystkich sprawach dotyczących leczenia i chorych należą do kompetencji dyrektora szpitala, którym obecnie jest dr Topolnicki (od 1 IV. 1930) a na oddziałach do prymariusza tak, jak cała reszta personalu lekarskiego i pielęgniarskiego; tak samo pod względem gospodarczym kompetencja Siostry Przełożonej odnosi się do życia zgromadzeniowego Sióstr i do zmian ich personalnych. Pielęgniarki zawodowe i służba należy do rozkazów dyrektora, który je przyjmuje i zwalnia. Również dyrektor wyznacza wysokość wynagrodzenia. Siostra każda otrzymuje 33 zł, służąca niedekretowa zaczyna od 50 zł, dekretowa ma 90 zł miesięcznie, pielęgniarka zawodowa 170 zł. Wszystkie ponadto kuchnię szpitalną. Prawa własności Sióstr wygasły zupełnie i niepowrotnie.

Praca Sióstr nie mieści się w ramach 8 godzinnego dnia. Każda z nich jest przy pracy 12 i więcej godzin dziennie, już po odtrąceniu chwil posiłku i ćwiczeń duchowych. Dwie Siostry nocą czuwają na oddziałach chirurgicznym i wewnętrznym, a wszystkie Siostry po rannych modlitwach i Mszy św. już o godz. 6 40 są przy swoich chorych. Potem przez cały dzień w pracy, niektóre wieczorem do godz. 9 i 10 jeszcze są zajęte uzupełnianiem prac, których za dnia nie zdołały wykończyć. Wiele z nich żyje i gaśnie w wiernej służbie szpitalnej. Armia bezimienna. Żołnierz nieznany.

Cieszą się też szczerą wdzięcznością swoich chorych i uznaniem lekarzy, dyrekcji. Uznaniem wszystkich. Dziwnem byłoby — niezrozumiałem byłoby, gdyby mogło być inaczej.

A praktyki religijne w szpitalu? Jest swoboda zupełna. Siostry odmawiają z chorymi głośno pacierz poranny i pacierz wieczorny. Przysposabiają chorych do Sakramentów świętych, łącząc

zawsze troskę o ciało z miłosierdziem dla duszy. Kapelan w pełnej swobodzie udziela Sakramentów. Laicyzacja instytucyj państwowych, zwłaszcza szpitali, która w niektórych krajach jest integralną, w Polsce, w polskich szpitalach jest nieznaną. Może tak pozostanie. Może...

A jej stanowisko, znaczenie Siostry wobec chorych, wobec lekarzy, wobec świata? Takie, o jakim kardynał Newmann mówił: „Stworzony jestem, ażeby być i dokonać tego, do czego nikt stworzony nie został. Mam swoje miejsce w planach Boga, w świecie Boga, miejsce, które ja jeden tylko zajmuję. Mam swoje własne posłannictwo. Więc jestem potrzebny Bogu dla dokonania Jego planu, równie potrzebny na moim miejscu, jak Archanioł na swoim".

Ten żołnierz nieznany, bezimienny, przy łóżku chorego, ta Siostra w szpitalu jest na swoim miejscu, jak Archanioł na swoim.

III.

Z przeszłości kościoła.

Wśród zabudowań dzisiejszego szpitala św Łazarza zwraca na siebie uwagę kościół Niepokalanego Poczęcia, pokarmelicki, jeden z najpiękniejszych baroków miasta Krakowa. Odbywają się w nim wszystkie nabożeństwa szpitalne tak dla Sióstr, jak dla chorych. Wiek „Oświecenia" dekretem prymasa Michała księcia Poniatowskiego z r. 1788 przeznaczył go na zagładę i dlatego w pertraktacjach nalegał superior XX. Misjonarzy, aby przynajmniej część kościoła oddano na kaplicę dla Sióstr Miłosierdzia, obejmujących opiekę chorych w szpitalu generalnym św. Łazarza. Ale przeróbki kościoła na szpital byłyby zbyt kosztowne i tego zamiaru niszczycielskiego zaniechano.

Nie wiem czy przeszłość któregokolwiek kościoła krakowskiego jest tak zaniedbana i tak gruntownie zapomniana, jak historia kościoła pokarmelickiego na Wesołej. Tak prędko o niej zapomniano, że już inwentarz tego kościoła, spisany r. 1825 przez Wydział Spraw Wewnętrznych Senatu Rząd. Wielk. m. Krakowa zaznacza: „kiedy i przez kogo ten kościół był fundowany, nie wiadomo". Przy restauracji kościoła 1913 r. w gałce jednej z wież

znaleziono dokumenta, o których informuje Kalendarz Czecha za r. 1914 i z których wynika, że kościół z drewnianym klasztorem fundował Wawrzyniec Justimonti, kupiec krakowski w r. 1605, po czym zbudowano go ponownie w r. 1634, lecz nie na pierwotnym miejscu bagnistym, ale na wyższym miejscu. Klein w swoich „Barokowych kościołach krakowskich" o kościele Niepokal. Poczęcia na Wesołej nic nie wie.

Tyle. To wszystko. Poza tym nic, zgoła nic.

Jakie smutne zapomnienie. Ani kroniki, ni kamienie, ani obrazy, ni rzeźby marmurowe, nie znajdują posłuchu. One mają dużo do powiedzenia. Ale nikt ich nie pyta.

Jakie więc są dzieje tego kościoła, o którym dzisiejsza i wczorajsza literatura starego Krakowa tak uporczywie milczy? O którym takie głuche, takie beznadziejnie głuche milczenie? [1])

---

[1]) Do dziejów kościoła i klasztoru Karmelitów Bosych na Wesołej odnosi się następująca literatura:

1. Klein Fr. — Barokowe kościoły krakowskie (Rocznik Krakowski, t. XV). Ale w tym dziele, które z tytułu obiecuje dużo, akurat o kościele tak pięknego baroku, jakim jest kościół pokarmelicki w obrębie szpitala św. Łazarza, znaleść można zaledwie parę zdań ogólnikowych.
2. Krakowa Kościoły i Kleynoty. Druk Franciszka Cezarego z r. 1647. Dziełko o 88 str. in 4^0, na str. 62 ma wiadomość na jednej stronie o kościele Niepokalanego Poczęcia na Strzelnicy.
3. Ta sama wiadomość przedrukowana jest w 100 lat później w dziele większym »Klejnoty stoł. miasta Krakowa« przez Piotra Hyacynta Pruszcza w r. 1745 w drukarni Akad. Krak., str. 326.
4. Encyklopedia Kościelna Podręczna, tomik XIX—XX na str. 342 wiadomość o Karmelitach w dawnej Rzeczypospolitej zwięzła i dość dokładna.
5. Dłuższy opis tej fundacji w łacińskim dziele in folio »Historia Generalis Ord. Carmelit. Discal. Congregationis S. Eliae. Typis Romae 1671 na str. 730—36.
6. Dzieło tłómaczone na język polski pt. »Ozdoba Karmelu« przez o. Filipa od Trójcy Przenajśw. in folio 3 tomy. Do trzeciego dodatek pt. »Konterfekt z życiorysami niektórych zakonników tej kongregacji«, gdzie też jest życiorys o. Gerarda od Aniołów (Głuchowskiego), bardzo zapobiegliwego o wystawienie kościoła i klasztoru Wesołowskiego.
7. Jaroszewicz — Matka Świętych Polska, ma również jego życiorys w skróceniu.

Okazją do sprowadzenia Karmelitów Bosych był przejazd kilku misjonarzy tego zakonu, którzy przez ziemie polskie dążyli do Persji [1]). Obyczaje ich spodobały się dostojnikom tak duchownym jak i świeckim. Przeto też na prośby niektórych prałatów, osobliwie Hipolita Pocieja w maju 1605 r. kapituła generalna zadecydowała posłać do tych stron kilku księży swojego zakonu odnowionego przez św. Terozę, na zaczątek klasztoru krakowskiego. Tegoż roku 1605 definitorium generalne wybrało trzech księży o pierwotnym duchu żarliwości i jednego brata neapolitańczyka i dnia 19 września wysłało z Rzymu. Przełożonym mianowano o. Macieja od św. Franciszka (Hurtados de Mendoza). Przybyli 28 września do Krakowa, miejsce to upatrując za stosowne dla otrzymania nowicjuszów na przyszłość. W Krakowie za pośrednictwem X. Podkanclerzego W. Kor. Macieja Pstrokońskiego nabyli posiadłość, ogród spory z dwoma domostwami od Jadwigi Padniowskiej de Dembiany, wdowy po Albercie Padniowskim, kasztelanie oświęcimskim. Przed aktami ziemskimi Krak. weszli w posiadanie 7 grudnia 1605 r. w wigilię Niepokalanego Poczęcia. Jedno domostwo obrócili na pomieszczenie klasztoru, drugie, w którym dawniej był zbór kalwiński, na kaplicę pt. Poczęcia N. Marii Panny i po poświęceniu, zaraz 8 grudnia msze św. odprawili. Wszystko razem było bardzo ubożuchne.

W roku 1606 w lecie zachorował śmiertelnie w Krakowie p. Wawrzyniec Justimonti z Bononii, kupiec krakowski. Przesławny lekarz i wielki uczony X. Jerzy Pipan w ciężkiej chorobie oświadczył mu, że skoro środki lekarskie nie pomagają, niech doświadczy ufności w Bogu i przez modły nowych mnichów, co przyszli zeszłego roku, niech zrobi jaką Bogu obietnicę. Jakoż tego dnia ku zdumieniu wszystkich powstał i ozdrowiał. Wywiązując się zaś z obietnicy, w przeciągu 3 miesięcy drewniany kościół z klaszto-

---

8. X. Jan Korytowski — w V tomie dzieła Arcybiskupi i Prymasowie w żywocie Prymasa Michała Poniatowskiego podaje pewne szczegóły w tym przedmiocie na str. 184.

[1]) Wszystko według listu o. Jana Kantego, Karmelity B. z Czerny, z dnia 1 sierpnia 1916. W posiadaniu prywatnym X. H. Gintrowskiego.

Wiadomości te starannie pozbierał o. Jan Kanty z archiwum klasztoru w Czerny.

rem wybudował w tym ogrodzie na sposobnym miejscu. Kościół był drewniany z murowaną facjatą frontową i z portykiem drewnianym przed frontem. Długości miał 30, a szerokości 15 łokci. Klasztorny zaś budynek o dwu kondygnacjach na dole z oficynami, na górze z celami, biblioteką, chórem w formie czworoboku, był długi 60, a szeroki 35 łokci i przytykał do frontowej ściany kościoła.

Benedykcja uroczysta kościoła nastąpiła 28 października 1606 roku, dokonana przez X. biskupa podkanclerzego Macieja Pstrokońskiego w obecności króla Zygmunta III, kardynała Bernarda Ciołek Maciejowskiego i wielu dostojników duchownych i świeckich.

Lubo to miejsce było urocze, zagajone i ciche, to jednak dla sporej liczby stawów, bagien i zarośli było niezdrowe i malaryczne. Przeto postanowiono nabyć niektóre sąsiednie parcele i dalej ku drodze przenieść konwent i postawić murowany. Najważniejszą parcelą był pagórek, stanowiący część ogrodu Mikołaja de Podhoryce Wolskiego, hojnego fundatora Bielańskich Kamedułów, który to pagórek tenże marszałek W. Kor. odstąpił bezinteresownie. (Na tym miejscu leży dzisiejszy kościół i klasztor pokarmelicki). Cesje tej parceli w piątek przed św. Bartłomiejem przed aktami Urzędu Ławnicz. Krakowskiego załatwiono w imieniu marszałka przez jego urzędnika p. Zeidlicza 27 sierpnia 1626 r. Darowiznę potwierdził tenże marszałek r. 1630 testamentarnie. Za podjęcie zaś pewnej zaległości dla powiększenia tego placu ustąpiła Eufrozyna Sieniawska, chorążyna W. Kor., spadek w realności, przypadający jej po marszałku W. Kor. za bramą Mikołajską. Parcele te zwano zaifratowskie. Aktem w grodzie przemyskim we wtorek po św. Agnieszce 1632 r. zapisano je na ten konwent.

Od roku 1630 do roku 1646 wszyscy zakonnicy z tutejszego klasztoru Wesołowskiego przebywali w innym klasztorze, aby z dochodów jego splantować i wyrównać i zasypać doły i bagna osuszyć. Plan robót dotyczył tak samo nowego kościoła i klasztoru.

W r. 1634 położono uroczyście kamień węgielny pod murowany kościół na pagórku, zwanym Wolskie. Poświęcał go X. biskup sufragan krakowski Tomasz Oborski. Budowa trwała długo,

bo z pewnymi przerwami aż do r. 1683, a więc przez lat 50. W ciągu budowy wrócili tu zakonnicy w r. 1646.

Po 50-letniej z przerwami pracy koło budowy, wreszcie 16 maja 1683 r. kościół Karmelitów na Wesołej uroczyście konsekrował X. biskup sufragan krakowski Mikołaj Oborski z delegacji ordynariusza krakowskiego biskupa Jana Nałęcz Małachowskiego. Kazanie przy tej uroczystości do nader licznie zgromadzonej rzeszy wiernych wygłosił O. Franciszek Wolski, reformat. Dedykacja 16 maja 1683 r. opiewa: „Za panowania J. Świąt. Ojca św. Innocentego XI Papieża, Leopolda I Cesarza Rzymskiego, Jana III niezwyciężonego Króla Polskiego, pogromcy Turków, za generalstwa O. Br. Karola od św. Brunona, za prowincjalstwa O. Br. Bonawentury od św. Stanisława (Trezera), za przeorstwa w nowicjacie Wesołowskim O. Br. Gerarda od św. Aniołów (Głuchowskiego), obrządku dopełnił Najprz. X. Biskup Laodycejski, Sufragan Krakowski, Mikołaj Oborski za delegacją Najprz. X. Biskupa Ordynariusza Krakowskiego...".

Z biegiem czasu w miejsce drewnianych ołtarzy wystawiono pięć ołtarzy marmurowych za zabiegami osobliwie O. Gerarda od Aniołów, a z ofiar dobrodziejów, zwłaszcza Jana Opalińskiego, podstolego W. Kor., który na ołtarze marmurowe dał 3 000 złp. w legacie.

Klasztor murowany w czworobok dokończony został w r. 1689 obok kościoła. Będąc na przedmieściu wiele ucierpiał w czasie wojny od 21 czerwca 1768 r. do wiosny 1772 r. w czasie konfederacji Barskiej. Restaurację jego prowadzili przełożeni zakonu przy pomocy innych klasztorów karmelickich. Skończono reparacje 1780 r.

W r. 1783 klasztor na Wesołej liczył dziewięciu księży, dwu kleryków, dwu nowicjuszów i pięciu braci konwersów do posługi konwentu w kuchni, zakrystii, furcie etc.

Dnia 30 sierpnia 1787 aktem, podpisanym przez księcia Michała Poniatowskiego, Prymasa, a zarazem administratora pełnomocnego diecezji krakowskiej i przez O. Honorego od św. Elizeusza, prowincjonała karmelitów, odstępują karmelici klasztoru i kościoła, budynków, ogrodów i gruntów prymasowi na szpital generalny. Prymas Poniatowski, jako prezes Komisji Edukacyjnej

dużo spustoszeń narobił w Kościele polskim [1]). Ale z karmelitami na Wesołej nie mógł tak bezceremonialnie postąpić, jak to uczynił z bernardynami przy ul. św. Jana, których klasztor zniósł. Karmelici nie byli zakonem żebrzącym. Trzeba więc było wpierw uzyskać pozwolenie Stolicy św. i oprócz tego zapłacić. O pozwolenie wystarał się przełożony karmelitów, a za budynki i realności poklasztorne na Wesołej trzeba było zapłacić karmelitom 20 000 złp. Karmelici, jak już wiadomo, przenieśli się stąd do klasztoru św. Michała przy ul. Poselskiej [2]).

Zrozumiałą jest rzeczą, że wobec możliwości zmian w kościelnym budynku, o ile ten pozostaje w rękach władzy cywilnej, władza kościelna starała się o podstawy prawne do tego, aby kościołem dysponować zupełnie swobodnie. Toteż Konsystorz Krakowski wytoczył proces Wydziałowi krajowemu o wydzielenie kościoła Niepokalanego Poczęcia N. P. Marii z funduszu szpitalnego i o zahipotekowanie go na własność kościelną (1906). Ale we wszystkich trzech instancjach przegrał sprawę 1913 r. i kościół jest własnością funduszu szpitalnego.

Kto był budowniczym kościoła? Nie wiadomo.

Skąd brano marmury czarne i czerwone?

Kto rzeźbił ołtarz piękny, kto filary, kto kapitele, kto aniołów i figury świętych?

Kto malował Serce P. Jezusa nad w. ołtarzem, kto św. Wincentego, kto inne obrazy w bocznych ołtarzach, kto mniejsze obrazy w medalionach nad nimi? To wszystko są pytania, na które nie mamy odpowiedzi.

---

[1]) X. Chotkowski — »Ks. Prymasa Poniatowskiego spustoszenia kościelne w Krakowie«. Kraków 1918. Rozpr. hist. Fil. Ak. Um., T. 61.

[2]) Założono klasztor św. Michała 1611 r.

X. JAN WIŚLIŃSKI C. M.

Z niwy misyjnej na Ziemi św. Krzyża.

(Ciąg dalszy).

W jednym z ostatnich numerów Roczników Zgromadzenia powiada X. superior W. Szymbor, że istnieje u nas w Paranie jedna grupa misyjna, w której pracuje dwóch konfratrów. Twierdzenie to zawiera pewną nieścisłość. O ile mi wiadomo, to właściwa grupa misyjna w Brazylii istniała tylko przez jeden rok i to w czasie pobytu tutaj XX. Szymbora i Bieniasza, kiedy to powyżsi konfratrzy objechali najważniejsze centra Polonii brazylijskiej, udzielając misyj. Ani poprzednio, ani też po tym, aż po dzień dzisiejszy, tutejsza cząstka maluczkiego Zgromadzenia Prowincji Polskiej, nie mogła i nie może sobie pozwolić na to, by nawet dwóch tylko konfratrów przeznaczyć do tego *Missionum opus primum et potissimum*. Ustawiczny brak rąk do pracy, a *messis* naprawdę *multa* — uniemożliwia nawet najlepsze chęci tutejszych naszych przełożonych. Ponieważ jednak niwa misyjna nie może pozostać odłogiem, a my uszy zamykać na wołania duchowieństwa, a często samego ludu, o misje nie powinniśmy, trzeba jakoś radzić. Dawniej, kiedy nawet podkurytybskie parafie, miały po dwóch lub trzech konfratów, ostatecznie nie trudno było kogoś wyrwać na czas misyjny. Dziś zaś, kiedy nasze placówki są o wiele liczniejsze, a starzy konfratrzy zdarli już siły i zdrowie, sprawa misyjna napotyka coraz to więcej trudności. Robimy jednak co możemy, ale na dłuższą metę sił nie starczy.

Od pięciu lat misyj na tutejszym terenie udziela X. Wizytator Bronny i podpisany, a ostatnio także X. Julian Janiewski. Niektórych tylko rekolekcyj parafialnych czy rekolekcyj dla mło-

dzieży lub dla Dzieci Marii udzielali miejscowi konfratrzy lub też wyręczali ich najbliżsi sąsiedzi.

X. Wizytator nie zawsze jednak może pozostawić liczne swoje zajęcia i obowiązki na łaskę losu i wyruszyć na misje. Poza obowiązkami wizytatorskimi, piastuje godność dyrektora Sióstr Miłosierdzia — do czego w Polsce słusznie przeznacza się osobnego konfratra; jest dalej spowiednikiem w licznych domach zakonnych, radcą Kurii arcybiskupiej itd. Dłuższa jego nieobecność w Kurytybie z różnych względów, nie jest wskazana, a na tutejsze misje trzeba się wybrać zazwyczaj na kilka tygodni lub nawet miesięcy. Piszący zaś te słowa, nieodłączny towarzysz misyjny X. Bronnego, spełnia obowiązki duszpasterskie na św. Kandydzie, parafii, którą w Ameryce Północnej obsługiwałoby co najmniej dwóch konfratów. Opuszczając parafię z powodu misyj, musi szukać zastępcy, bo i parafii przez kilka tygodni, nawet w Brazylii nie można zostawić bez duszpasterza. Zrozumiałą także rzeczą, że na te ciągłe zastępstwa lud nie bardzo chętnie patrzy, a ciągłość pracy duchownej na tym cierpi.

Da Bóg, że i stosunki u nas się nie zadługo poprawią, bo i konfratrzy coraz to liczniej przybywają z dalekiej Polski, a X. Wizytator zamierza przystąpić do rozbudowy naszego domu w Kurytybie; znajdzie się wtenczas i odpowiednie mieszkanie dla przyszłej grupy misyjnej na terenie Brazylii.

Sądziłem, że w opisie dalszych misyj roku 1936 wyręczy mnie starego, młody mój towarzysz misyjny, X. Julian Janiewski. Tym razem X. Bronny na misje jechać absolutnie nie mógł, więc wyręczył go i pojechał ze mną — nolens volens — X. Julian. Po powrocie jednak z misyj, X. Julian dorwał się do redakcji „Ludu", o wszystkim zapomniał, a o misjach więcej słyszeć nie chce. A szkoda wielka, bo dzielny mówca i pisarz dobry; opisy jego byłyby zapewne więcej ciekawsze niż nudne i rozwlekłe moje artykuły. Nie moja wina, że się literatem nie urodziłem!

Z konieczności tylko zabieram się do naszkicowania obrazu naszej pracy misyjnej roku ubiegłego. Zaraz po misji w Araukarii miałem wyruszyć nad Uruguay, do północnego Rio Grande do Sul. Tutaj w okręgu erechimskim, Polacy tworzą silne skupienie; liczą ich na 40 tysięcy.

W drodze do Rio Grande do Sul.

Kurytybę, stolicę Parany, opuściliśmy w piękny, słoneczny poranek czwartkowy, zaraz po środzie popielcowej. X. Janiewski cały tydzień naprzód czynił starania o miejsce w wagonie sypialnym, ale bezskutecznie. Po karnawale bowiem ruch na kolejach ogromny — podobnie jak w Polsce w okresie świątecznym lub z końcem wakacyj. Z biedą prawdziwą zdobyliśmy dwa miejsca siedzące już i w tak przepełnionym pociągu. W dusznym, gorącym wagonie czas mijał dosyć szybko. Mimo niewygody i ciasnoty, gdyż część pasażerów zająć była zmuszona i w pierwszej klasie miejsca stojące, wesołość panowała powszechna, a od śpiewu i muzyki okna drżały; wszyscy prawie, prócz nas dwóch, byli pod wrażeniem wczorajszego karnawału. Bez przeszkody bylibyśmy dojechali do Ponta Grossy, gdyby nie wypadek nieprzewidziany przez rozkład jazdy kolei parańskiej. W Porto Amazonas zatrzymał się pociąg; godziny mijały, południe nadchodziło — pociąg nie ruszał. Gdzieś przed nami musiała się właśnie wtedy wydarzyć jakaś nie duża katastrofa — wykoleił się pociąg towarowy. Zaproponowałem nawet X. Julianowi przejażdżkę okręcikiem do X. Porzyckiego do Mateusza, ale on wolał zrezygnować z tej przyjemności. Paciencia — czekaliśmy cierpliwie. Wreszcie pociąg ruszył.

W Ponta Grossie ten sam ruch, natłok, ciżba. Pociąg z Sao Paulo nadszedł przepełniony, a stacja zapchana narodem. Gdyby nie spryt naszego tragarza, musielibyśmy zająć miejsca stojące. Ten widząc dwóch poważnych jegomości, obładowanych dużymi walizami, stojących i bezradnych, sam się ofiarował — licząc widocznie na sutą zapłatę — zdobyć dla nas dwa wygodne miejsca siedzące. I nie zawiódł. Lubię podróżować, ale przynajmniej z jaką taką wygodą; dlatego też szczęśliwy byłem, gdyśmy zajęli nasze miejsca, które mieliśmy opuścić dopiero po 36 godzinach. Humory nasze się poprawiły. Pustym stepem, wśród tumanu kurzu i pyłu, który się wciskał w usta, oczy, nos, uszy, pociąg mknął naprzód z zawrotną szybkością, jakby pragnął nadgonić opóźnienie z Ponta Grossy. Czas schodził na pogadance, czytaniu, a zwłaszcza na kiwaniu, bo gorąc a przy tym monotonny stuk kół pociągu, usypiająco działał na organizm. Przy wjeździe na

stację Teixeira Soares wita nas okrzyk: Anaué — revoluçao integralista. „Patrzymy, cała stacja pełna mężczyzn i młodzieży w zielonych koszulach z greckim Sigma na ramieniu. Sami integraliści. X. Julian Janiewski, jako niby redaktor najpoczytniejszego pisma polskiego w Brazylii: „Ludu", zerwał się natychmiast i poszedł po informacje, a ja tymczasem przypatrywałem się tej zielonej armii, do której jakiś osobnik wygłaszał ognistą mowę. Jak nas poinformowano, Integraliści manifestowali z powodu zwycięstwa swojej partii przy wyborach municypalnych".

Integralizm, to nowa organizacja a raczej partia polityczna, coś w rodzaju faszyzmu i hitleryzmu. Szefem jej sławny Plinio Salgado. Program integralizmu na ogół dobry, choć wielu z pewną rezerwą do niego się odnosi. Również władze nie bardzo chętnym okiem patrzą na ten nowy ruch w narodzie brazylijskim, który jednak coraz to szersze kręgi zatacza. Jako plus bezsprzeczny można policzyć integralizmowi to, że pragnie zbudować całe życie narodu brazylijskiego na trzech czynnikach: Bóg, rodzina i ojczyzna; dlatego też wypowiedział walkę zdecydowaną żydostwu, masonerii i komunizmowi. Na polu ekonomicznym dąży integralizm do wyzwolenia Brazylii z niewoli kapitalizmu zagranicznego.

Integralizm znajduje licznych zwolenników wśród brazylian pochodzenia niemieckiego i włoskiego, a także i nasi rodacy chętnie w jego szeregi wstępują.

O północy, zaspani i rozmarzeni, stanęliśmy na stacji granicznej Parany i Santa Cathariny — w Porto Uniao da Victoria. Granicę tę stanowią szyny kolejowe. Mimo późnej pory, na stacji znowu tłumy. Patrzymy i słuchamy i wierzyć się nie chce, wszystko „szwargoce" niemieckim językiem. Gdzie jesteśmy — powiadam do X. Juliana — gotów by człowiek myśleć, że znajduje się na Charlotten-Bahnhof w Berlinie. Dopiero później sprawa się wyjaśniła. Do naszego wagonu, który w miarę posuwania się pociągu w dalszy interior, powoli się opróżniał, wpadła z krzykiem, hałasem i śmiechem grupa młodzieży szkolnej obojga płci z poważnym kierownikiem na czele. A wszyscy gadają tylko szwabskim językiem. Widocznie jakiś Ausflug burszów niemieckich — pomyślałem sobie. Gdy jednak ci potomkowie tego „najkultural-

niejszego" narodu, nie bardzo kulturalnie się zachowywali, przystąpił do nas ich kierownik, przepraszając za niewłaściwe wybryki swych wychowanków. Przedstawił się jako pastor protestancki z Blumenau Santa Catharina — odwoził młodzież tę do seminarium nauczycielskiego niemieckiego i protestanckiego do Sao Leopoldo pod Porto Alegre. Z tym przygodnym towarzyszem podróży, a kolegą po fachu, spędziłem wiele godzin reszty podróży na ciekawej rozmowie. Znał on nieco Górny Śląsk, bo jako niemiecki porucznik walczył przeciwko powstańcom pod górą św. Anny.

— Na szkolnictwo kładzie się u nas największy nacisk — powiada do mnie rozmowny pastor. — I to po największej części na szkolnictwo na koloniach, bo i cóżby nam było po wzniesionych kolegiach, które stałyby pustką, gdyby nie były zasilane przez szkoły niższe. O szkoły na koloniach troszczymy się najwięcej i na nie wydajemy dużo pieniędzy. Konsul nasz co pewien czas odwiedza kolonie i dla każdej szkółki znajdzie zawsze parę słów zachęty i kilkadziesiąt milreisów pomocy. Na to idą pieniądze z kraju, na to my się składamy. I dlatego żadna szkoła nasza nie może upaść; owszem, coraz więcej ich powstaje. Jesteśmy zgodni, walk partyjnych ani religijnych nie prowadzimy, choć właśnie nas, naród niemiecki, dzieli religia. Przez to jesteśmy silni i wszyscy nas szanują. Ja na przykład jestem pastorem protestanckim, ale mimo to mam największy szacunek dla pracy duchowieństwa niemiecko-katolickiego w Brazylii, bo i ono pracuje dla potęgi niemieckiej poza granicami Rzeszy. — Nie trzeba jednak sądzić, że rzeczywiście takie idealne stosunki panują wśród Niemców brazylijskich, bo i tam są różne braki — światła i cienie — lecz chytry Niemiec, zwłaszcza o tym, co nie jest „Deutschland über alles", chętnie zamilczał.

Gdy jednak słuchałem wywodów pastora, przykro mi było, że nie mogłem tak pochlebnych rzeczy powiedzieć o Polakach w Brazylii. U nas prawie wszystko na opak. Jedną, z bardzo małym wyjątkiem, nasza emigracja wyznaje religię, a mimo to prowadzimy jakieś waśnie religijne, niektórym działaczom zachciewa się jakiegoś sekciarstwa — kościoła narodowego. Biedna Polska i społeczeństwo polskie nie szczędzą ofiar na potrzeby emigracji

i szkolnictwa na wychodztwie, a fundusze te marnuje się we walkach partyjnych, w których nie rozchodzi się bynajmniej o dobro ogółu, ale o interes ambitnych jednostek. Szkolnictwo na koloniach, jak to stwierdził osobiście X. biskup Kubina, w marnym stanie, nie ma dla niego należnego zrozumienia — ledwo wegetuje. Nie wiele lepiej się przedstawia, niż niegdyś, a przecież od 15 lat przeszło cieszy się opieką wolnej, mocarstwowej Polski, a czuwa nad nim cała falanga różnych, dobrze opłacanych instruktorów. I mimo woli rumieniec wybiegł mi na policzki — rumieniec wstydu za krzywdę, jaką wychodztwu i imieniowi polskiemu na emigracji wyrządzają różni warcholi, radcy i doradcy, przygodni, samozwańczy jego opiekunowie.

Dlaczego wśród nas tyle niezgody i zgubnego partyjnictwa? Na to pytanie w ciągu dalszej podróży starałem się znaleźć odpowiedź. A może już taka nasza słowiańska natura, że gdy inni nam pozostawiają wolność i pełnię swobody, my jej uszanować nie potrafimy; walczymy wtedy ze sobą, rujnując się wzajemnie i grzebiąc znaczenie i potęgę naszą na emigracji. Tak, uczmy się od innych, choćby od Niemców, a wtedy będziemy silni i liczyć się będą z nami i obcy.

Od Porto Uniao, poprzez stan Santa Catharina, podróż nie bardzo była przyjemna, bo ciemności egipskie zalegały na całym padole płaczu; świata widać nie było. Siedząc na niewygodnej ławie wagonu trudno się przespać; kiwaliśmy się niemożliwie, wzdychając po cichu za jasnością poranka. Nad ranem, w miasteczku Perdizes, X. Julian poszedł szukać kawy gorącej; wrócił z bardzo strapioną miną, bo nic nie znalazł. Mimo, że ją topią w morzu, tutaj nie było jej ani na lekarstwo. Z trudem zdobył na śniadanie pełny kapelusz niedojrzałych winogron i jedną „baśkę" milho czyli kukurydzy gotowanej. Ponieważ X. Julian widocznie nie bardzo grzeszy sprawiedliwością chrześcijańską, mnie wydzielił mniejszą cząstkę zdobyczy, a sobie zostawił resztę, niby, że ja miałem być mniej głodny od niego. Z sutym obiadem, naturalnie za dobre pieniądze, oczekiwało nas miasteczko Herval. Kolej Sao Paulo—Paraná—Rio Grande do Sul nie prowadzi wagonu restauracyjnego, ale posiłek przygotowuje się na niektórych

stacjach, gdzie zgłodniali pasażerowie mogą głód i pragnienie zaspokoić.

Kolej, wiodąca poprzez Stan Santa Catharina, obfituje we wiele pięknych widoków — oko nie nuży się jednostajnością. Z jednej strony duża rzeka z większymi lub mniejszymi wodospadami, a z drugiej skaliste wzgórza. Nieraz ma się wrażenie, że pociąg rozbije się o wystające głazy i kamienie.

Wreszcie stanęliśmy w Marcellino Ramos, na granicy Rio Grande do Sul, u zlewów rzeki Rio do Peixe i Pelotas, które od powyższej stacji płyną już wspólnym korytem pod nazwą rzeki Uruguay.

W Marcellino Ramos pociąg zatrzymuje się aż 6 godzin. Może bylibyśmy przez ten czas zaszli do Barro piechotą, lecz jakże się puszczać w nieznany i obcy kraj bez przewodnika? Woleliśmy zaczekać, aż nasz pociąg odsapnie, a maszynista odpocznie i powiezie nas dalej. Z Marcellino Ramos do Barro, miejsca pierwszej naszej misji, tylko 41 km., co po tutejszemu *muito pertinho*. X. Julian poszedł w odwiedziny do Ojców saletynów, gdzie jest i jeden ojciec Polak, X. Wyżykowski; ja zaś wolałem zrezygnować z uciążliwego wspinania się pod górę, bo już z poprzedniej mojej włóczęgi misyjnej znałem to nieduże, ale wspaniale położone miasteczko. Rzuciłem się w objęcia Morfeusza, by nadrobić nieprzespane godziny nocne. Pod wieczór spotkaliśmy przypadkowo na stacji jednego z Ojców franciszkanów z Barro i w jego towarzystwie odbyliśmy resztę podróży.

Misja w Barro—Rio Grando do Sul
(1—5 marca 1936 r.).

W Barro zamieszkaliśmy w klasztorze Ojców franciszkanów. Po przekroczeniu furty klasztornej powitał nas białowłosy Ojciec Pankracy, o obliczu rozjaśnionym doprawdy jakąś anielską dobrocią. Od razu spytał nas: „Sprechen Sie deutsch?“ Ojcowie franciszkanie w Brazylii to odłam prowincji niemieckiej, stanowiący już na Ziemi św. Krzyża jedną czy dwie prowincje samoistne i niezależne od Niemiec. Większość też ojców to Niemcy lub pochodzenia niemieckiego. Rozmowa nasza toczyła się w języku ojczystym Ojca Pankracego. Po skromnym, zakonnym po-

siłku, rozeszliśmy się na spoczynek, bo północ nadchodziła, a czekała nas kilkutygodniowa, uciążliwa praca. Z powodu niedzielnych nabożeństw parafialnych rozpoczęliśmy nasze misje dopiero w poniedziałek rano, a w niedzielę wygłosiłem tylko kazanie wstępne na wspólnej sumie do Polaków, a jeden z ojców prawił po brazylijsku do innych narodowości.

Barro jest to mała mieścina, tworząca 5-ty dystrykt municypium Boa Vista do Erechim. W samym miasteczku mieszka 400 rodzin, w tym 200 rodzin włoskich, 150 niemieckich i 50 polskich. Włosi i Polacy są katolikami, Niemcy częściowo, prawie po połowie, są protestantami lub katolikami.

Polacy w Barro i okolicy mało okazują życia. Są pracowici, religijni i uczciwi — naturalnie z małymi wyjątkami — a jednak nie mają tu znaczenia. W całym dystrykcie Barro zamieszkuje około 1 000 rodzin; większością bezwzględną są Włosi — około 500 rodzin. Niemców jest 300 rodzin, a Polaków 200. Na tak pokaźny procent powinny wzrastać także wpływy polskie na Łieg życia. Tymczasem Polaków usunięto na szary koniec; są bez wpływów pod każdym względem. Cieszą się opinią dobrych rolników, ale poza tym nie zdołali sobie wyrobić żadnego znaczenia politycznego; nie mają też żadnego przedstawiciela w kamrze czyli urzędzie swego dystryktu czy municypium.

O ile nasz rodak poza sêde Barro, jak na przykład na koloniach Caçador, Ligeiro itd. jest religijnym i praktykującym katolikiem, to większość naszych braci w samym miasteczku jest oziębła i obojętna pod względem religijnym; są nawet zwolennicy kościoła narodowego. Nie bardzo dobry wpływ wywierają na naszych rodaków Włosi, z których Kościół często nie ma wielkiej pociechy. Ten i ów wprawdzie idzie do kościoła, chętnie nawet składa ofiary na cele kościelne, ale życia religijnego, głębszego przekonania tak często brak. Ich nabożeństwo to często bezmyślne procesje z muzyką, krzykiem i hałasem, strzelanina i ognie sztuczne. A już o nabożeństwo w swoim, ojczystym języku, nie troszczą się wcale. Dlatego też Ojcowie franciszkanie nabożeństwa odprawiają i kazania głoszą w Barro tylko w języku brazylijskim. I w istocie Włosi tym językiem lepiej władają, niż nawet włoskim.

Włoch lubi zabawy, tańce i stąd ciągle się bawią; od chałupy do chałupy, kolejką, idą ciągłe bale i zabawy. A przy tym popijają czerwone wino, które doskonale uprawiają i wyrabiają. Niestety, te ciągłe i nocne zabawy kończą się nieraz bijatyką, strzelaniną... i śmiercią tego lub owego. Opowiadał nam jeden z Ojców franciszkanów, że na jednej zabawie weselnej w ich parafii ostatnimi tygodniami było aż 5 trupów.

I Polacy uczą się od Włochów, z którymi żyją w przyjaźni, a często łączą się z nimi związkami małżeńskimi, nie tyle tego co dobre, ale raczej wszystkiego złego. Uprawiają wino i wyrabiają, ale nie bardzo im to idzie. Jeżeli zaś idzie o spijanie czerwonego wina, to mogą śmiało konkurować z Włochami. I nasi Polacy w Rio Grande do Sul wprowadzają za przykładem Włochów, nieszczęsny zwyczaj tego ciągłego a nocnego balowania po domach prywatnych, zwłaszcza w soboty, gdzie leje się strumieniami czerwone wino, zakraplane tak często kaszasem, tutejszą wódką. Stąd i pijaństwo, zaniedbywanie obowiązku słuchania Mszy św. w niedzielę następną, obojętność potem religijna, a czasem nawet i zbrodnie. A ileż to niebezpieczeństw zwłaszcza dla młodych, młodzieńców i dziewcząt, dla ich cnoty, zawierają podobne zabawy, gdzie ciemność nocy zasłania nieraz najhaniebniejsze czyny i występki? Dlatego też duchowieństwo tamtejsze z całą energią zwalcza te nocne bale po domach prywatnych, lecz czy zwycięży? — trudno powiedzieć.

„Sporo, bo 200 przeszło rodzin polskich, pozostaje tu bez opieki kapłana polskiego i ze strony kościoła i ze strony placówki konsularnej“ — takie zdanie usłyszeliśmy z ust jednego poważnego Niemca-Wiedeńczyka w Barro. Twierdzenie to trzeba jednak przyjąć z pewnym zastrzeżeniem. Prawda, że opieka duchowna nad Polakami w Barro nie jest idealna, ale jako na warunki na wychodztwie zupełnie dostateczna. Pracował tutaj przez dłuższy czas Ojciec Maliński — Polak, a obecnie opiekę nad Polakami w Barro i okolicy powierzyły władze zakonne Ojcu Cyrylowi Stroce — dobremu Polakowi i gorliwemu pracownikowi we winnicy Pańskiej. Ojciec Cyryl pracuje w trudnych warunkach, bo Polacy rozrzuceni po licznych koloniach, dlatego też większość czasu spędza na grzbiecie muła.

Nie powiedziałbym również, że brak opieki konsularnej nad Polakami w Barro. Jest ona taką samą, jaką się cieszą Polacy także w innych częściach Brazylii. Nie można jednak od tych naszych polskich przedstawicieli wymagać rzeczy nadzwyczajnych i ciągle tylko żebrać o wszystko u Macierzy. Prawdą jest, że dzieci polskie w Barro chodzą do szkoły czysto brazylijskiej i w krótkim czasie już po polsku mówić nie będą i w ten sposób przyśpieszą proces wynarodowienia. Lecz wina może nie tyle konsulatu co samych Polaków. Mają bowiem w szkole stanowej, tak zwanej „Aula publica" nauczyciela narodowości polskiej, p. Węclewskiego, któryby, jak mnie sam zapewniał, w popołudniowych godzinach chętnie uczył i języka i historii polskiej, lecz rodacy nasi, małej opłaty — jednego czy dwóch milreisów miesięcznie od dziecka — płacić nie chcą. Domagają się, żeby to konsulat, a raczej Polska za nich czyniła. Nie wchodzę w to czy powinna to uczynić czy też nie; ani czy są jakie fundusze na szkolnictwo, zagraniczne czy ich niema, lecz przyznać trzeba, że ostatecznie tutejszy Polak-kolonista lepiej jest sytuowany od przeciętnego gospodarza w Polsce. Więc też nie może wymagać, by tylko Polska ponosiła ofiary dla jego dzieci, z których ostatecznie żadnego pożytku mieć nie będzie. Dziś i Polonia w Barro szkolnictwo polskie wziąć powinna na własne barki, jak to zresztą już zrozumiały i uczyniły liczne kolonie, a nie wyciągać — jak żebrak — ręki do niebogatej Matki-Polski.

Ojcowie franciszkanie pracują w Barro od 17 lat. Pobudowali na wzgórzu, widoczny zdala, duży kościół drewniany, obok niego klasztor. Prócz tego ich dziełem jest obszerne kolegium i szpital parafialny. Obydwie instytucje prowadzą siostry franciszkanki-Niemki. Lekarzem szpitala jest Włoch, dr Marcos Finocchio, ożeniony w Berlinie z Niemką, rodem z Gliwic, ze Sląska. Pod koniec misji spędziliśmy jeden wieczór z Ojcem przeorem u dr Finocchio. X. Julian zachwycał się wspaniałym programem z Berlina przy Telefunken, a ja spędziłem przyjemnie czas na rozmowie z sympatyczną doktorową o dawnym, naszym wspólnym „Heimacie".

Misję rozpoczęliśmy w rannych godzinach 1 marca. Prawie ze wschodem słońca zaczęły nadciągać grupy kolonistów i gromadzić się na obszernym placu przed kościołem. Jedni przybywali

piechotą, inni na koniach lub mułach; często na jednym bydlęciu cała rodzina. Na koniu siedzi kobieta, w jednej ręce trzyma lejce, w drugiej parasol i maleńkie dziecko, a za nią na tym samym grzbiecie uczepiło się jeszcze dwoje lub jedna z jej pociech. Czasem na jednym mule przyjechało troje lub czworo dzieci. Takich obrazków już w okolicach Kurytyby się nie ogląda. X. Julian z podziwieniem patrzał na tę pomysłową komunikację. Udział wiernych w misji był dość liczny. A byłby niewątpliwie liczniejszy, gdyby nie pewna pomyłka w dacie. Ogłoszono ludowi pierwotnie, że misje rozpoczną się 1 lutego, a misjonarze mogli przybyć dopiero na 1 marca. Z odleglejszych kolonii stawili się ludzie na pierwszy termin, bo już ich uwiadomić nie było można. Skorzystali z kilku nauk, które z konieczności musiał im głosić Ojciec Cyryl, a potem w drugim terminie już nie przybyli. Do spowiedzi przystąpiło przeszło 200 osób, a do I. Komunii św. przygotowaliśmy 38 dzieci. I za to Panu Bogu niech będą dzięki. Na zakończenie misji pozostałem w Barro, a X. Janiewski wyjechał do Balizy z Ojcem Stroką, by tam równocześnie rozpocząć naszą następną misję.

Misja w Balizie-Rio Gr. do Sul.

(5—10 marca 1936)

O Balizie, zapadłej osadzie w północnym Rio Gr. do Sul, wiele już poprzednio czytałem i słyszałem. Tutaj to heretycy z kościoła narodowego czuli się jakby panami, a znaleźli godnych siebie sojuszników w sekcie metodystów, którzy aż do cichej, zamarłej Balizy z Boa Visty do Erechim, zapuszczali swoje macki. Niejaki pastor Blum z Boa Vista do Erechim gorliwie tutaj apostołował. Początek zaś kościołowi polsko-starokatolickiemu-apostolskiemu, dał niejaki p. Bujno i pewien fotograf. Pan Bujno to wykolejeniec życiowy. Niegdyś, w roku 1905 walczył w bojówkach socjalistycznych w Kongresówce; potem był nauczycielem w Brazylii, a dziś u schyłku życia pożałowania godny człowiek. Mieliśmy szczęście czy nieszczęście poznać p. Bujnego. Złożył nam wizytę w naszej przygodnej kwaterze; może przybył tylko na zwiady. Gdy go zobaczył Ojciec Cyryl, niewiele brakowało, a byłby go za drzwi wyrzucił. My jednak, jako ludzie z kultu-

ralniejszej Kurytyby, przyjęliśmy niespodziewanego gościa, choć wolelibyśmy go widzieć na naszych misjach. Dla mnie wizyta p. Bujny nie była wcale pożądana, bo pragnąłem nieco po całodziennej pracy odpocząć, czując się niedobrze. Nocy bowiem poprzedniej, na przewiewnym strychu u pewnego Włocha, gdzieśmy na czas misji „namioty" rozbili, zaziębiłem się fatalnie; dostałem silnego kataru i gorączkowałem. Pozostałem jednak, bo ciekaw byłem w jakiej misji do nas przybył p. Bujno, znany wolnomyśliciel i niedowiarek. X. Julian natomiast wdał się w cale poważną dyskusję z inteligentnym Bujnem, bo nie można zaprzeczyć, że jest to człowiek o wysokiej inteligencji, lecz w głowie przewróciły mu różne teorie Marksa i Liebknechta. Ciekawą rozmowę X. Janiewskiego z Bujnym przytaczam w skróceniu.

„W toku rozmowy dowiedziałem się, że p. Bujno jest jawnym wolnomyślicielem. I na to się zgodziłem, tylko z małym zastrzeżeniem, by wolnomyśliciel był człowiekiem „swojej" zasady życiowej i konsekwentnie według niej prowadził swe życie, czyli innymi słowy, by wolnomyśliciel szedł drogą wytkniętej ideologii. A ponieważ orientuję się w tajnikach wolnomyślicielskich, prosiłem p. Bujno, by łaskawie zechciał mi scharakteryzować obecne wolnomyślicielstwo, jego kierunki i wytknięty sztandar ideologiczny. P. Bujno, oczywiście, jako wolnomyśliciel na ten temat nie miał wiele do powiedzenia. Temat rozmowy zręcznie przesuwał na inne tory. Kiedy spostrzegłem, że p. Bujno się wikła, grzecznie zwróciłem mu uwagę, że „zjeżdża z tematu". W odpowiedzi dowiedziałem się z ust wielkiego męża, że jestem dla niego za silnym partnerem. Wówczas oświadczyłem p. Bujno, że obecne wolnomyślicielstwo stanowią żydzi, że nie ma ono żadnej ideologii i że jest na usługach żydowskiego bolszewizmu.

To oświadczenie bardzo niemile dotknęło polskiego wolnomyśliciela w Brazyli, gdyż wniosek z tego jasny, że jest się wyznawcą tego, czego się nie zna. A więc postępowanie jest nielogiczne. Taką konkluzję wyprowadziłem z oświadczenia p. Bujny, że w rozmowie jest szczerym.

W dalszym ciągu dowiedziałem się, że p. Bujno jest a właściwie był przeciwnikiem „księdza" „doktora" fikcyjnego księdza narodowego, X. Kuszla z Floresty i X. Bartnickiego z Ponta

Grossy, sekciarzy starokatolickich. Miał on im swego czasu oświadczyć — jak sam nas o tem zapewniał — „widzę trzech kandydatów na jedną mitrę biskupią“. Ale kiedy się zapytałem, kto do Balizy sprowadził X. doktora, odpowiedzi nie otrzymałem. Wreszcie pod koniec naszej rozmowy na tematy narodowe, skonstatowałem, że p. Bujno jest jednak gorącym patriotą“.

Już w Capo Erê dowiedzieliśmy się, że aczkolwiek p. Bujno zapewniał nas, że jest opozycyjnie nastawiony do kościoła polsko-starokatolickiego w Brazylii, to jednak, kiedy Kuszel, narodowiec z Floresty, zaraz po naszych misjach przyjechał do Balizy, spędził z nim na rozmowie całe popołudnie, aż do wieczora.

Wzmiankowany X. narodowy Doktor, sprowadzony do Balizy, obiecywał złote góry. Znalazła się oczywiście spora garstka otumanionych, która w niego jako apostoła nowej ewangelii ślepo uwierzyła. Zdołał nawet przy ich pomocy wystawić nieduża kapliczkę, gdzie odprawiał swoje heretyckie nabożeństwa. A nawet przez niedługi czas prowadził szkołę. Przyznać trzeba, że jego szkoła początkowo cieszyła się pewnym powodzeniem, bo uczył po polsku. Liczba dzieci dochodziła do 60. Większość jednak kolonistów, która poszła za nim w przekonaniu, że to prawdziwy ksiądz, w krótkim czasie poznała się na oszuście. Otwarcie bowiem kpił z dogmatów Wiary św., a w kościele swoim uprawiał pijatykę tolerował zabawy i rozpustę, tak, że wielu nawet jego zwolenników nie na żarty było zgorszonych. Tuż przed naszą misją X. Doktor znikł tajemniczo z Balizy, zrabowawszy z kościółka swego cenniejsze przedmioty jak ornat, kielich i monstrancję. Nastąpiło wielkie rozczarowanie wśród reszty jego zwolenników.

Początek kolonizacji Balizy sięga roku 1912. W tym to roku wyruszyli pierwsi pionierzy ze starych kolonii położonych w municypium Alfredo Chaves i Guaporé i osiedlili się w okolicach dzisiejszej Balizy. Źródłem dochodu jest rolnictwo, które daje im niezłe zyski. Zbyt produktów nie trudny, bo stacja kolejowa na miejscu. Poza jednak stacją kolejową i budynkiem szkolnym w Balizie nie ma nic ciekawego. Baliza posiada dwie szkoły: jedną tak zwaną *Aula publica* prowadzi Włoch Ernesto Bogoni, któremu rząd płaci miesięcznie 200 milreisów, a jego pomocnikowi 100 milreisów. Drugą szkołę, subwencjonowaną przez stan

i municypium prowadzi Polak Jan Kaszewski, jeden i drugi urząd wypłacają mu miesięcznie po 50 milreisów. Po polsku nie uczy, bo tamtejsi koloniści nie chcą mu dać wynagrodzenia za nadprogramowe nauczanie języka polskiego. A szkoda wielka. Na Liniach są także szkółki, przeważnie brazylijskie, tylko na Linii 4-tej uczy p. Franciszek Skowroński, Polak, urodzony już w Brazylii, dobry i praktykujący katolik. Języka polskiego uczy on bezinteresownie.

Na misję św. w Balizie przeznaczyliśmy czas od 5—10 marca. O dłuższym pobycie nawet nie śmieliśmy marzyć, gdyż z góry przygotowany plan pracy, przewidywał inne miejscowości. Narodu zjechało się bardzo wiele, obszerna kaplica nie mogła ogarnąć wszystkich, wielu kruszyło się pod ścianami zewnętrznymi kaplicy. Aczkolwiek kościół p. Doktora liczył tutaj poprzednio wielu członków, na misję stawiła się prawie cała Baliza. Tajemnicze zniknięcie Doktora z Balizy ułatwiło nam pracę, a ludziom oczy otworzyło. Ze sêde Balizy nie wzięły udziału w misji tylko dwie polskie rodziny; w czasie misji naszej pertraktowały z narodowcem X. Kuszlem z Floresty, prosząc go aby odwiedził opuszczone swe owieczki w Balizie. Rzewny to był widok, jak poważni ojcowie, komitetowi kościoła Doktora, ze łzami wyrzekali się swego odstępstwa, przyrzekając wytrwać przy wierze ojców swoich i Kościele katolickim.

Praca była ciężka, cały dzień bez chwili wytchnienia byliśmy zajęci w kościele. Z radością jednak wielką znosiliśmy upał dnia i zmęczenie, dziękując Bogu za tak obfite żniwo. Do spowiedzi św. przystąpiło przeszło 600 osób, a do I Komunii św. przygotował X. Julian razem z Ojcem Cyrylem 80 dzieci, zamęczając ich przez całe 5 dni naukami i katechizacją. Jak na 250 rodzin polskich w najbliższej i dalszej okolicy Balizy, liczba wcale pokaźna. Jak zmora trapiła mnie ciągle myśl, kiedy my tę dziatwę — ostatecznie tylko pobieżnie do św. Sakramentów przygotowaną — wyspowiadamy. We wszystkich wolnych chwilach, poza naukami i nabożeństwami, słuchaliśmy spowiedzi starszych; a zwłaszcza w ostatnim dniu tych spowiedzi było niemożliwie dużo i to takich, które naprawdę wymagają i wysiłku i dłuższego czasu. Kończę wreszcie ostatnią naukę misyjną i nabożeństwo pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ i z trudem siadam do konfesjonału, bo miała się

rozpocząć dziecięca spowiedź. Czekam, nikt nie przychodzi, ludzie się rozeszli, kaplica opustoszała. Nerwy już grały we mnie, pomyślałem: „Oni jeszcze dzieci zamęczają rachunkiem sumienia, a tu wieczór nadchodzi". Wychodzę poza kaplicę, a tutaj najspokojniej X. Julian przechadza się pod drzewami, uśmiechnięty i zadowolony ze siebie. „A gdzie dzieci" — wołam. Wyspowiadane — powiada X. Julian — kiedyś ksiądz prawił w kaplicy, siadłem na pniu pod alwerą, a Ojciec Cyryl na drugim pieńku i wyspowiadaliśmy dzieci. „Oby Ci Pan Bóg dał niebo za taką przemyślność, lżej się człowiekowi na sercu zrobiło". Jeszcze jutrzejszy dzień i koniec naszej drugiej misji.

Misja w Balizie była wprost palącą potrzebą. Ludzie nie tyle byli źli jak zbałamuceni. Błądzili, bo nie było komu zedrzeć łuski z ich oczu. I kiedy otwarły się ich oczy i poznali błąd, wówczas z serdecznym szlochem porzucili odstępstwo i wrócili do prawdziwej owczarni Chrystusowej.

Dziwi mnie tylko że Ojcowie franciszkanie nie przeznaczą jednego z Ojców, wyłącznie dla Balizy, który by tam osiadł. Wówczas wszyscy mieliby dostateczną opiekę duchową. Kaplica obszerna, plebanię można łatwo zbudować, a wiernych do pasterzowania poddostatkiem. Samych polskich rodzin 250, a są Włosi bardzo liczni, Niemcy, Brazylianie itd. Naturalnie musiałby ten Ojciec znać polski język, bo większość polska. Wtedy znikłoby zupełnie niebezpieczeństwo kościoła narodowego. Mówiłem nawet o tym z Ojcem Cyrylem, lecz on, zależny od przełożonych narodowości przeważnie niemieckiej i dlatego nierozumiejących dostatecznie duszy polskiej i jej potrzeb, jest, mimo najlepszych chęci, bezsilny.

Na zakończenie misji wznieśliśmy duży, potężny krzyż misyjny. Włosi mają swój krzyż pamiątkowy, Polacy nie chcieli zostać w tyle, bo liczba ich większa. Ostatnie wygłosiłem pod krzyżem kazanie, gdzie pożegnałem się z tym dobrym ludem w Balizie. A potem, gdy po raz ostatni ściskałem spracowaną dłoń swych rodaków, jakieś dziwne rozrzewnienie wypełniło me serce. Żal mi było opuszczać ten lud, dobry i zacny, którego łatwowierność wyzyskują różni wykolejeńcy i oszuści na podobieństwo Doktora, Kuszla i im podobnych.

Ostatnie do widzenia i nasze polskie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i z X. Janiewskim pospieszyłem na pobliską

stację, bo pociąg niebawem miał nadejść. Na stacji tłumy narodu, wszyscy prawie z kościoła podążyli do pociągu, by tutaj ostatecznie pożegnać się z misjonarzami. Im również ciężko przychodziło się rozstać z nami, mimo, że nie szczędziliśmy w czasie nauk i w konfesjonale nieraz słów ostrych i napomnień surowych. Odczuwali jednak dobrze, że i te surowe napomnienia i przestrogi pochodzą ze serc, które zrozumiały doskonale ich bóle, smutki i radości, które się wczuły w ich ułomności i trudności życiowe. Zapewne stacja w Balizie nigdy jeszcze naraz takich tłumów nie oglądała.

Wchodzimy do ostatniego wagonu, gdzie u drzwi czeka konduktor. Z powodu braku pasażerów był zupełnie pusty. Dowcipny urzędnik kolejowy, spostrzegłszy nieco nasze zdziwienie, powiada z uśmiechem: *Trem especial para os missionarios.* Pociąg ruszył, a wdzięczny nasz lud polski z Balizy, odczepić się nie mógł od naszego wagonu. Dzieląca nas przestrzeń rosła, pociąg niby wydłużony wąż, sapał, znikając w lesistym obrazie najbliższych okolic. A oni wciąż stali, patrząc w dal, powiewając kapeluszami i chusteczkami.

Misja w Capo Erê. Rio Grando do Sul.
(11 – 15 marca 1936 r.).

W rozpalonym od podzwrotnikowego słońca wagonie ogarnęła mnie senność, zasnąć i zapomnieć o całym świecie. Lecz sen nie przychodził, bo wagon nasz jako ostatni niemożliwie szarpał, skakał, bujał się na wszystkie strony, a maszynista gwizdem przeraźliwym co chwilę spędzał bydło włóczące się po torze kolejowym. A po tym od samej Balizy prześladowała mnie myśl, zatruwająca całą radość, jaka zapełniała serce na widok pięknych owoców misji: „czy ten lud naprawdę wytrwa w obietnicach i przyrzeczeniach? A może niezadługo, gdy zjawi się jaki nowy apostoł ewangelii szatana, znowu porzuci swego Boga i Kościół Chrystusowy. Nie daj Boże!".

Po dwóch godzinach jazdy stanęliśmy na małej stacyjce Capo Erê. Miejscowość dla mnie znana, bo trzy lata temu głosiłem tutaj misje z X. wizytatorem Bronnym. Ledwośmy też wygramolili się z wagonu otoczyło nas liczne grono kolonistów z komitetem kaplicy na czele. Prawie wszystkich znałem z poprzedniego

tutaj pobytu. Zamieszkaliśmy niedaleko stacji, u niejakiego Augusto Friedricha, sympatycznego Niemca-katolika. Mimo bliskości stacji pociągi nam nie przeszkadzały, bo kursują rzadko — co trzeci dzień. Po zachodzie słońca, na znak, że przybyli misjonarze i by *Urbi et Orbi* ogłosić, że czas misji się rozpoczyna, strzelano z wielkiego moździerza gazem karbitowym. Wynalazek włoski. Przeraźliwy to był huk. Słyszano go napewne w promieniu jakich 20 kilometrów. Przy pierwszym strzale, wcale niespodziewanym, X. Julian omal nie spadł z krzesła, a mnie przypomniała się kanonada z czasów wojny bolszewickiej, kiedy to cała bateria armii Budiennego dała salwę z naszego ogrodu w Milatynie Nowym. Tak silna kanonada na nasze powitanie wstrząsnęła cichym, spokojnym miasteczkiem Capo Erê.

Nieduża to mieścina, o ile Capo Erê tak wogóle nazwać można. Około stacji, na wzgórzach skupia się jakie 50 lub 60 domów, a wśród nich dominujące miejsce zajmuje dość obszerna, drewniana kaplica. Stosunkowo jest to młode osiedle. Pierwsze loty pomierzono w roku 1911, lecz dzięki stacji z roku na rok znać tu postęp i rozmach. W samym Capo Erê mieszkają przeważnie kupcy, trudniący się handlem drzewa, wina i innych produktów. Większość stanowią Włosi. Łącznie z przyległymi koloniami Capo Erê liczy około 500 rodzin, polskich coś 200. Polacy i Włosi żyją ze sobą w przykładnej zgodzie, darząc się wzajemnie zaufaniem.

Na pierwszy rzut oka uderza każdego przyjezdnego do Capo Erê, wielka ilość złożonych na stacji desek. Istniejąca tutaj kooperatywa drzewna zajmuje się w pobliskich koloniach wykupem piniorów, które we własnych tartakach przerabia na deski i odstawia na stację. Deski pierwszej i drugiej klasy idą do Argentyny i Uruguayu, trzecia i czwarta klasa pozostaje w kraju. Niestety wśród udziałowców kooperatywy nie ma ani jednego Polaka, sami Niemcy i Włosi. Na handlu drzewem nie tylko przedsiębiorcy się wzbogacają, ale i nasi koloniści, bo mają sporo piniorów. Wskutek jednak rabunkowej gospodarki leśnej, widać już wszędzie przeświecające okna leśne, ale też widać na nie jednej spracowanej dłoni naszego rodaka „grube“ pieniądze. I rzeczywiście nikt się tam nie skarżył na kryzys, najwyżej na brak „troco“, czyli drobnych, bo papierków po 500 milreisów niejeden posiadał dość grubą paczkę.

Drugim źródłem dochodu mieszkańców Capo Erê i okolicy jest wino. Ponieważ w okolicy jest wiele winnic, postarali się zapobiegliwi synowie słonecznej Italii o stworzenie na miejscu fabryki do wytłaczania winogron. Jest tak zwane *Entreposto da Sociedade Boavistense Ltd.* Z okien naszej tymczasowej siedziby obserwowaliśmy, jak co chwilę nadciągały duże karosy o skrzypiących niemożliwie kołach, które ciągnęły duże, powolne i leniwe woły riograndeńskie, zwożące w olbrzymich ilościach soczyste winogrona. Wokół zaś samej fabryki wznosiły się całe sterty winogron, które powoli znikały w przepaścistych kadziach.

Nasi rodacy, jak wszędzie, i tutaj trudnią się głównie uprawą roli. Po największej części uprawiają kukurydzę, pszenicę i ryż. Poza tym hodują nierogaciznę, którą tuczą niedrogą kukurydzą. Niejeden z nich ma w swojej portrerze czyli ogrodzeniu więcej niż sto sztuk; często sam nie wie, ile ich właściwie posiada. Hodowla nierogacizny daje dobre dochody, bo za smalec naogół dobrze płacą.

Bolączką naszych kolonistów w Capo Erê, to brak szkoły polskiej. W samym miasteczku jest szkoła państwowa, gdzie uczy brazylianin Adelino Pereira Simoes, który cieszy się wielkim poważaniem i uważany jest za dobrego nauczyciela - wychowawcę. W okolicy znajduje się również kilka szkółek, więcej lub mniej dobrze prosperujących z nauczycielami Włochami lub Brazylianami, ale nie ma Polaka. Spotkałem w Capo Erê tylko jednego nauczyciela-Polaka, niejakiego Linderskiego, szlachcica, człowieka inteligentnego, z wykształceniem podobno akademickim. Niestety, niedużo z niego pociechy, bo mocno zagląda do kieliszka. Uczy prywatnie, za bardzo marne wynagrodzenie, u majętniejszego kolonisty kilkoro zaledwie dzieci.

Na misje zjechało się bardzo wiele ludzi z pobliskich i dalszych kolonii. Ze wschodem słońca przybywali ludzie: jedni na pieszo, inni na wozach lub koniach. Piękny i pocieszający to był widok, kiedy się rzuciło okiem na rozsłane drogi, widząc jak nasi koloniści śpieszą na tę ucztę duchowną. Od świtu też do zmierzchu pracowaliśmy z X. Julianem, głosząc kazania, katechizując dzieci i spowiadając garnących się do Trybunału Pokuty. Spowiedzi było 550. Do pierwszej zaś spowiedzi i Komunii św. przy-

gotował X. Janiewski 50 dzieci, w tym 5 włoszek. Pomagał mu w tym wspomniany p. Linderski.

W Capo Erê była rzeczywiście nad wyraz miła praca. Aczkolwiek wiele bylo tej pracy, jednak jakieś dziwne zadowolenie wkradało się do mej duszy, jakaś niewypowiedziana radość z tego, że się jest pomiędzy ludźmi dobrej woli, gdzie nie ma kłótni, rozbicia ani sekciarstwa. Przez tych kilka dni zapoznaliśmy się z tym ludem i pokochaliśmy go szczerze. Po skończonej pracy przychodzili poważni ojcowie jeszcze do domu Friedricha, gdzie długo jeszcze rozmawialiśmy na różne tematy. Opowiadali nam swoje kłopoty, troski i chwile radości, zapewniając, że czując w żyłach swoich krew polską, nie dadzą się najrozmaitszym trudnościom życiowym. Podziwialiśmy też wiarę tych ludzi, umiłowanie tradycyj polskich i ukochanie mowy polskiej. Xiędza polskiego nie mają, odwiedza ich czasem tylko X. Połłom z Floresty, a poza tym dojeżdża ksiądz włoski z Getulio Vargas. A mimo to trzymają się kurczowo tego wszystkiego, co wywieźli z Polski. W czasie misji św. pięknie śpiewali „gorzkie żale" i inne pieśni kościelne. Każdy starszy ma książęczkę do modlitwy, a niektórzy nawet nasze śpiewniki kościelne X. Siedleckiego. W kaplicy wszyscy śpiewają na jeden głos i pięknie to wygląda, a ma swoje dobre strony i na przyszłość.

Jest to najlepszy dowód, że w żyłach Polaka za granicą płynie krew polska, czysta. I ten zew krwi polskiej nakazuje mu być Polakiem; Polakiem z krwi, a Brazylianinem z tytułu urodzenia na Ziemi św. Krzyża.

Dnia 15 marca 1936 r. uroczystą sumą i kazaniem pożegnalnym zakończyliśmy te piękne misje, a może raczej renowację misji na Capo Erê.

Pod koniec misji odwiedził nas sympatyczny wikary z Getulio Vargas, X. Basso. Capo Erê należy właśnie do parafii dawnego Erechim, a dzisiejszego Getulio Vargas. Nieraz w czasie misji słyszałem zdanie, tak od Polaków jak i Włochów, że Capo Erê powinno być samodzielną parafią i mieć stałego kapłana do obsługi duchownej, bo do sêde-Getulio Vargas przeszło 30 kilometrów, a kapłan tylko raz na miesiąc przyjeżdża. Z czasem może i te życzenia się spełnią, ale dziś, wobec braku kapłanów, trudno.

Paciencia — cierpliwości. Zresztą obecnie Getulio Vargas, jako stolica municypium, buduje wspaniałą matriz kosztem kilkuset tysięcy milreisów; więc tamtejszy proboszcz dąży do scentralizowania całego wysiłku materialnego, by rozpoczęte dzieło do końca doprowadzić. Dlatego też o odłączeniu Capo Erê na razie mowy być nie może.

III.

Misja w Papagaios Novos. Parana.

(15 — 20 czerwca 1937 roku).

Na usilne starania i zabiegi naszych rodaków wybrałem się w towarzystwie X. wizytatora L. Bronnego z misją do Papagaios Novos. Po raz pierwszy miałem odwiedzić okręg palmeryjski, choć sama kolonia Papagaios Novos znana mi była już poprzednio z licznych korespondencyj, jakie o niej czytałem w naszym „Ludzie". Mimo to jechałem tam z dużą ciekawością, bo interesuje mnie zawsze praca, życie i wysiłek naszych kolonistów w dalszym czy bliższym interiorze.

Po trzech i pół godzinach wysiadamy na nowej stacji w Palmierze. Oglądamy się za przyobiecaną furmanką, któraby nas odstawiła na miejsce. Jest wygodny powóz, dwa czy trzy auta, ale nie dla nas. Z Papagaios Novos nie ma nikogo. Poszliśmy więc do miasta, by zasięgnąć informacyj u zacnych Ojców Słowa Bożego, którzy opiekę duchowną sprawują nad całym municypium Palmiera. Wita nas z serdeczną gościnnością X. Weber, spracowany starzec, o białej jak mleko głowie i o anielskiej dobroci na twarzy. Pomocnik jego X. Halama, był nieobecny; nie powrócił jeszcze z Papagaios Novos, gdzie na św. Antoniego „festę" odprawiał. Zagadki, dlaczego dotąd niema furmanki, sam X. Proboszcz rozwiązać nie potrafił. Coś musiało zajść, ale właśnie co? Wypadało zatem zaczekać, korzystając z gościnności Ojców Werbistów; może się zjawią. Zresztą o jakąś nieprzewidzianą przeszkodę w naszych warunkach nie trudno. Wracać do Kurytyby nie mogliśmy tak samo, bo pociągu nie było. Wreszcie po południu nadjechało nieduże auto z X. Halamą i prezesem komitetu kościelnego po misjonarzy. Spotkaliśmy ich na mieście, bo po dłuższym

wyczekiwaniu na plebanii, wybraliśmy się na poszukiwanie jakiegoś przynajmniej karosjera do Papagaios Novos. Rzeczywiście, jak się okazało, zaszedł wypadek nieprzewidziany. Komitet kościelny zapewnił sobie auto po misjonarzy do Palmiery, ale gdy miano wyruszyć na stację, okazało się, że auto wprawdzie jest, ale niema gazoliny, a samą wodą jechać niepodobna. Dopiero po kilku godzinach wyczekiwania, nawinęło się jakieś auto ciężarowe, rozwożące kawę i ono to podjęło się dostawić nas do Papagaios Novos. Ulokowawszy się jako tako, wyruszyliśmy natychmiast, bo 21 klm dzieliło nas od miejsca naszej pracy. Droga była dobra, więc też auto z zawrotną szybkością pędziło przez falisty step, o dalekim i otwartym widnokręgu. Nawet piaszczyste przeszkody pokonywało bez trudności. Po przeszło godzinnej jeździe, mijamy niedużą rzeczkę Canhao, i wjechaliśmy w prawdziwą wieś podolską. Domy po obydwuch stronach szerokiej i piaszczystej drogi, a przy tym jakieś inne od dotychczas oglądanych. W połowie zaś wsi jeden i drugi kościół.

„To Papagaios Velhos czyli stary, zamieszkały przez Niemców z nad Wołgi", objaśnia mnie X. wizytator Bronny. Dziwnym mi się wydawało, bo dotychczas znane mi kolonie miały domy rozrzucone, każdy kolonista zaś mieszka prawie w pośrodku swojej działki, nieraz jeden kilometr, a nawet więcej oddalony od najbliższego sąsiada. Który system kolonizowania i zamieszkania lepszy i praktyczniejszy, niech osądzą sami czytelnicy, bo na tym kompletnie się nie rozumiem. Niemcy zamieszkali w Papagaios Velhos to wszystko protestanci i choć ich zaledwie 40 rodzin, dzielą się podobno na dwa czy trzy wyznania. Niegdyś mieli nawet dwa zbory heretyckie, z których dziś jeden przeznaczyli na szkołę, a na nabożeństwa wspólnie uczęszczają do drugiego. Utrzymują nawet własnego pastora na miejscu. Z Polakami żyją w zgodzie, ale w bliższe stosunki z nimi nie wchodzą. Przedział, jaki tworzy właśnie religia pomiędzy obydwiema narodowościami, wychodzi tylko na korzyść narodowości naszej. Nawrócenia zaś na religię katolicką są bardzo rzadkie, bo starzy zwłaszcza, to twardzi wyznawcy Lutra.

Z Papagaios Velhos do Papagaios Novos zaledwie cztery kilometry dobrej drogi przez piaszczysty step. Niespełna 15 minut

upłynęło, a stanęliśmy przed bramą kościoła. Papagaios Novos to niby miasteczko niby kolonia; jak kto chce. Niegdyś wszystka ziemia, gdzie dziś mieszkają nasi koloniści, należała do fazendy Macielów. Dwadzieścia i kilka lat temu rozparcelowano fazendę pomiędzy nasz lud. Duży kawał ziemi przeznaczono na cele kościelne jako „Terra do Santo Antonio“, gdzie wybudowano niewielką kaplicę. Dziś w około kościoła wznosi się jakie dwa tuziny budynków, przeważnie nasze brazylijskie wendy, tak, że miejscowość robi wrażenie miasteczka, naturalnie bardzo prymitywnego, i stąd powszechna nazwa Villinha. W roku 1922, gdy stara kaplica groziła już kompletną ruiną, przystąpiono do budowy dużej, murowanej świątyni. Wiele trudności trzeba było pokonać, nim stanął nowy kościół. Kolonia bowiem nie duża, zaledwie 100 rodzin; więc też ciągły brak pieniędzy jak zmora gnębił twórców nowego przybytku Pana. Po kilku dopiero latach, dzięki ofiarności naszego ludu i przy poparciu gorliwych duszpasterzy polskich jak X. Cebuli, X. Pogrzeby i innych, ukończono budowę i kościół poświęcono w roku 1928. Jest on widoczny z daleka, w promieniu przynajmniej jakich 10 klm, bo stoi na wzgórzu. Długość jego wynosi 25 metrów, a szerokość 10 metrów. Świątynia to naprawdę okazała, jakich niewiele w Paranie na koloniach. Posiada też wszystkie paramenta kościelne i piękny, gustowny ołtarz, ofiarowany przez rodzinę Czeluśniaków. Dowód to najwymowniejszy i świadectwo żywej i ofiarnej wiary naszego ludu w Brazylii. Kościół został zbudowany prawie wyłącznie ofiarnością naszego kolonisty, choć nieco pomagali także inni, których kilka rodzin mieszka w miasteczku Komitet kościelny składa się wyłącznie z naszych rodaków Świątynia służy wszystkim narodowościom bez wyjątku, jednak głównie korzystają z niej nasi ludzie.

Poza tym nie ma nic ciekawego we Villinhi. Jest tam podobno także jakiś zbór szabatystów czy badaczy Pisma św. ale nie miałem przyjemności go oglądać. Odprawia w nim swoje heretyckie nabożeństwa kilku „czarnych“, z naszych nikt tam nie należy.

Rodzin polskich lub pochodzenia polskiego liczy Papagaios Novos około 100. Są to przeważnie galicjanie z pod Gorlic, którzy przenieśli się tutaj ze starych kolonij jak: Thomas Coelho,

Araucaria i Campo Largo. Osiem rodzin mieszka w samej Villinhi przy kościele, a reszta na przylegającej do miasteczka kolonii. Ludzie to dobrzy, religijni; nic dziwnego, bo z wielu z nich wyszło z pod ręki roztropnego i gorliwego duszpasterza X. B. Bayera, misjonarza. Nieco spustoszenia narobili tutaj nasi kurytybscy liberały, wolnomyśliciele i bezbożniki, ultrapatriotyczni postępowcy z pod znaku piśmidła Kosobucczyzny „Świt", ale dziś już o „Świcie" zapomniano, a i ci, co pobłądzili, wracają do wiary Ojców. Charakterystyczne właśnie, że owi postępowcy najgorliwiej opiekowali się każdą kolonią, gdzie nie było na miejscu duszpasterza.

Koloniści w Papagaios Novos, to dobrzy gospodarze, więc też biedy wśród nich nie ma. Posiadają przeciętnie po 30 alkrów ziemi; niektórzy nawet 50 i 60 alkrów. Ziemia dobra; sadzą — jak powszechnie nasi ludzie — kukurydzę, fiżon, sieją żyto, pszenicę, a nawet poczynają we większej ilości uprawiać ziemniaki. Zbyt produktów łatwy, bo i na Villinhi można wszystko dobrze spieniężyć, a do stacji kolejowej w Palmierze nie tak daleko, a droga dobra. Są i herwale, które przy obecnej zwyżce herwy dają dobre dochody. Na ostatniej wystawie rolniczej w Palmierze wzięli Polacy z Papagaios Novos kilka nagród. Polacy zaś w samym miasteczku zajmują się handlem, prowadzą wendy, a przy tym pośredniczą w zakupie herwy czy bydła, którego całe stada wypasają się na okolicznych fazendach. Są także dwa młyny polskie: Czeluśniaków, jeden parowy w miasteczku, a drugi wodny na kolonii.

Wpływy Polaków w Papagaios Novos są duże; mają oni tam znaczenie i liczą się z nimi. Delegatem rządowym jest p. Piotr Święch, pochodzenia polskiego, choć już rodowity Brazylianin. On również jest prezesem komitetu kościelnego. Miał nawet syna w Seminarium kurytybskim, lecz ten w roku bieżącym naukę porzucił, zakład opuścił czy raczej kazano mu pójść.

Zdrowo myślący koloniści w Papagaios Novos marzą ciągle o rozwoju tak kolonii, jak i miasteczka. Ziemi do osiedlania w pobliżu jest jeszcze dosyć. Zaraz obok Vellinhi jest tanio do sprzedania fazenda 180 alkrów, a nieco dalej druga 1 000 alkrów dobrej ziemi. Kilkanaście rodzin, które przybędą na tułaczkę wychodźczą do Parany najbliższym okrętem, można by tam ulokować.

A wtedy zaoszczędziłoby się tym niedoświadczonym biedakom wiele zawodów, jakie ich niewątpliwie spotkają na dalekich terenach kolonizacyjnych w głębokich borach i puszczach parańskich. Przyzna każdy, że sam patriotyzm nakazuje nam konsolidację naszego żywiołu, a nie rozpraszanie go po dalekich a bezludnych obszarach dla widzimisię tego czy owego kolonizatora.

Koloniści w Papagaios Novos rozumieją także konieczność łączenia się w organizację i to taką, która nie jest fikcją, ale tryska życiem i czynem. Taką właśnie organizacją jest tamtejsze Tow. Białego Orła. Cel jego, to przede wszystkim oświata w kolonii, a potem podniesienie wydajności rolniczej.

W ostatnią niedzielę naszego pobytu w Papagaios Novos zaproszono nas z wizytą do Towarzystwa. Bardzo chętnie przyjęliśmy zaproszenie. Zaraz też po końcowym nabożeństwie misyjnym wszyscy: starzy, młodzi i dzieci, pospieszyli do odległego o 3 klm budynku szkolnego, własność właśnie Towarzystwa. Obszerna sala szkolna, udekorowana gustownie w zieleń i przyozdobiona obrazami prezydentów Brazylii i Parany, zapełniła się szczelnie. Naczelne miejsce nad katedrą profesorską zajmował obraz Serca Jezusowego i duży, piękny krzyż. „Jestem w szkole katolickiej" — pomyślałem sobie. Zebranie zagaił prezes Towarzystwa p. Ludwik Teledziński, witając nas misjonarzy i zebranych kolonistów. W pięknym, treściwym przemówieniu wskazał na pracę i wysiłek Towarzystwa, na trudności, jakie napotykało, nim doszło do dzisiejszego rozkwitu. W gorących słowach podniósł zasługi p. profesora Sałaty, który już czternaście lat pracuje owocnie w Papagaios, poświęcając swoje siły tak Towarzystwu jak i szkole.

„Szkoła nasza jest katolicka i taką pozostanie" — powiada pod koniec szanowny p. prezes. Rozumiemy dobrze, że jeżeli szkoła ma spełnić swe zadanie, musi nie tylko uczyć, ale i wychowywać. A niepodobna wychować dobrych obywateli i dzieci katolickiego narodu brazylijskiego bez zasad Chrystusa, których nas uczy Kościół katolicki. Dlatego też u nas najlepsza zgoda, jedność i współpraca między kościołem, szkołą i towarzystwem". Serca się nasze radowały, gdyśmy słuchali tych słów, w których przebijało tak wyraźnie u tego prostego kolonisty tyle zrozumienia

we wychowaniu człowieka wartości religijnych, a którego tak często brak dyplomowanym oświatowcom.

Zabrał głos następnie X. wizytator Bronny. W ojcowskich słowach wyraził uznanie jak najszczersze dla tej wielostronnej pracy kolonisty w Papagaios Novos, a zwłaszcza na polu religijnego wychowania dziatwy. Mówił potem dłuższą chwilę o różnych sprawach, interesujących naszych kolonistów, zachęcając do wytrwania i dalszej, zgodnej pracy dla dobra szkoły i postępu na każdym polu. Byłem przekonany, że na mowie X. Wizytatora skończą się wszelkie przemówienia urzędowe, a mnie ten nie zawsze miły obowiązek gadania minie. Siedziałem też cicho, jak mysz pod miotłą; może zapomną o mnie. A tu, zaledwie X. Bronny skończył, odzywają się głosy, by jeszcze X. Wiśliński powiedział kilka słów ku zbudowaniu. Znalazłem się właśnie w tym trudnym położeniu, że miałem przemawiać dopiero wtedy, kiedy już inni wszystko powiedzieli. Mówić jednak musiałem; a że człowiek nie zwykł zapominać języka w gębie, mówiłem i o tym i o owym, ale o czym właściwie, dziś już wszystkiego, tak jak było, powtórzyć nie potrafię. Wspomniałem coś o znaczeniu religii katolickiej w ogólnym naszym życiu zbiorowym; mówiłem o Zjednoczeniu katolickim na Południową Amerykę „Oświata", naczelnej naszej organizacji, która w myśl wskazań Ojca św. urzeczywistnić pragnie program Akcji katolickiej w celu szerzenia Królestwa Chrystusowego, a do walki z bezbożnictwem i zasadami komunizmu, wciągając do pracy także ludzi świeckich. Streściłem dalej przeszło 15-letnią działalność „Oświaty" dla dobra rzesz wychodźczych, zachęcając przy tym wszystkich dobrych katolików do współpracy z tą jedynie katolicką organizacją naszą naczelną w Ameryce Południowej. Nie mogłem pominąć także tej najżywotniejszej dziś sprawy „Oświaty", budowy własnego domu w Kurytybie. Ponieważ „Oświata" nie ma tak potężnych opiekunów jak inne, wolnomyślne, bezbożnicze i bezwyznaniowe organizacje, liczyć musi tylko na własne siły, a budować wdowim groszem, o który to grosz zwraca się do wszystkich po katolicku myślących rodaków w Brazylii. Może Bóg natchnie i te zacne serca z Papagaios Novos, że i stamtąd popłynie ten wdowi grosz na budowę gmachu, godnego naprawdę katolickiej Polonii w Południowej Ameryce. Wi-

docznie nieźle musiałem mówić, bo gdy skończyłem, cała sala biła „brawo". Sądzę jednak że to „brawo" odnosiło się nie do mojej mowy, ale do tej zbożnej myśli, jaką jest budowa domu „Oświaty". Zawstydzony usiadłem i czekałem, by kto inny począł mówić, a wtedy o mnie zapomną. Nareszcie. Na ogólne żądanie przemówił p. profesor Sałata. A mówił tak cudnie i pięknie, takim ślicznym językiem polskim, że niemało byłem zdziwiony, bo jest to nauczyciel zrodzony i wychowany już w Brazylii. Wspomniał p. Sałata, że już kilkakrotnie zamierzał się przenieść gdzie indziej; nawet władze szkolne brazylijskie ofiarowały mu posady wygodniejsze i korzystniejsze. Mimo wszystko pozostał. Jego zacne serce nie mogło pozostać obojętnym na prośby kolonistów, płacz niewiast, a zwłaszcza dziatwy, która ogromnie się do niego przywiązała. Czternaście lat pracuje p. Sałata na tej samej kolonii, co w naszych warunkach rzeczywiście za rekord poczytać trzeba.

Wreszcie skończyło się gadanie, a na zakończenie popisywały się jeszcze dzieci szkolne pięknym śpiewem na sali, a na podwórzu gimnastyką. Reszta czasu aż do wieczora upłynęła na miłej pogadance z kolonistami. Wspomnę jeszcze, że towarzystwo liczy 60 członków czynnych, co na liczbę 100 rodzin wcale pokaźna ilość.

Gmach szkolny i kawałek ziemi, ofiarowany przez jednego z kolonistów, jest dziś własnością Towarzystwa Białego Orła. Nauczyciela, a raczej dwie siły nauczycielskie opłaca rząd parański, a koloniści wynagradzają go za naukę religii i inną pomoc jakiej im udziela. P. Sałata zajmuje się również kościołem, uczy śpiewu, a w razie nieobecności duszpasterza, odprawia z ludem zwykłe niedzielne nabożeństwa: czyta ewangelię czasem ludowi i udatną naukę powie, przewodniczy w różańcu czy godzinkach i Gorzkich Żalach. A rzeczywiście wszystko to czyni z całą powagą, bo człowiek to na wskróś katolicki. Dzieci w szkole jest 75; pomaga panu profesorowi jego żona, która również jest skończoną normalistką czyli dyplomowaną nauczycielką. Przypuszczam, że w Papagaios Novos nie ma analfabetów, bo jak mogłem zauważyć w kościele, wszyscy mają książeczki do modlitwy, nawet i dzieci. A czytelnictwo bardzo rozszerzone; prawie 50 procent kolonistów prenumeruje nasze pisma z Kurytyby.

Późnym już wieczorem, przy świetle księżyca powróciliśmy do Villinhi, pełni miłych wrażeń i przeżyć. Cześć naprawdę naszym pionierom w Papagaios Novos.

* * *

W Papagaios Novos po raz pierwszy odprawiały się misje św. Wielu też, zwłaszcza młodych, nigdy nie brało udziału w misjach, dlatego też nie mieli pojęcia, na czym one polegają. Niektórzy sądzili, że będzie to jakieś wieczorne nabożeństwo na sposób nowenny lub praktykowanego nieraz „terço". Już w dniu przybycia zauważyliśmy, że duże ożywienie i przejęcie się misją panuje w kolonii. Następnego też dnia, od wczesnego ranka, ściągali religijni koloniści do kościoła. Odprawiliśmy wstępne nabożeństwo misyjne już przy bardzo licznym udziale wiernych. Celebrowałem uroczystą sumę, a X. Wizytator Bronny, jasno i dobitnie, w nauce wstępnej wytłumaczył ludowi cel naszego przybycia do Papagaios, znaczenie misji św. dla życia naszej duszy, oraz ogłosił cały regulamin, obowiązujący wszystkich na cały tydzień misyjny.

Następnego dnia kościół obszerny już prawie szczelnie się wypełnił. Od godziny 7 rano do 5 po południu, z krótką przerwą obiadową, byliśmy zajęci w kościele. I tak przez wszystkie dni; a gorliwość ludu nie ustawała, lecz owszem rosła z dnia na dzień. Nie było trzeba zwoływać na nabożeństwa czy kazania i napędzać do świątyni, jak czasem gdzie indziej miało miejsce; długi już czas przed odezwaniem się dzwonu, kościół był wypełniony modlącym się ludem. Budowaliśmy się też nabożnością tego polskiego kolonisty. Całe jego zachowanie się w czasie misji świadczyło, że rzeczywiście poważnie rzecz całą bierze, że przyszedł na misję św. nie z ciekawości tylko, lecz, by duchowo się odrodzić i skorzystać z tej wyjątkowej łaski Bożej. Praca na roli ustała, zajęcia konieczne załatwiono późnym wieczorem, po powrocie już z kościoła. A jak nam opowiadano, we wielu rodzinach był istny kłopot, bo nikt dla opieki gospodarstwa w domu pozostać nie chciał. O ile mogliśmy się dowiedzieć, to z bardzo małym wyjątkiem, cała parafia brała udział. Nie było rodziny, by żona i dzieci nie brały udziału, a ojców rodzin nieobecnych, nie naliczyłoby się i tuzina. Trudno, i w najbardziej ożywionej pod względem reli-

gijnym parafii jeden czy drugi wyjątek zawsze się znajdzie. Budującym przykładem świecił przede wszystkim p. profesor Sałata z zacną swoją żoną. On to na pierwszym miejscu czynił starania, by misja przyszła do skutku; a potem w czasie misji pięknym śpiewem chóru upiększał wszystkie nabożeństwa misyjne. Opatrznościowy to rzeczywiście nauczyciel i kierownik duchowy naszych kolonistów w Papagaios Novos. Oby jak najwięcej podobnych nauczycieli w Brazylii, a wtedy o nasze szkolnictwo możemy być zupełnie spokojni. Do Sakramentów św. przystąpiła także cała parafia. Rzeczywiście był to widok rzewny, gdy na zakończenie misji cała parafia, pojednana z Bogiem i pogodzona pomiędzy sobą, wspólnie się spotkała przy uczcie eucharystycznej. Szczęście niebiańskie napełniało serca, a majestat Stwórcy wypełniał przybytek Pański.

W samo południe, w niedzielę 20 czerwca, X Bronny, po uroczystej sumie, poświęcił duży krzyż misyjny i ostatnie wygłosił kazanie. Gdy potem spracowane dłonie podniosły drzewo krzyża, i On wysoko ponad głowami ludu swego rozpostarł ramiona niejedno westchnienie popłynęło do tego Boga, co przez „krzyż i mękę odkupił świat“, a ciche szlochanie wtórowało pieśni: „Krzyżu św. nade wszystko...“.

I poprzez całe pokolenia krzyż misyjny, na froncie kościoła w Papagaios, stać będzie na świadectwo żywej wiary i przywiązania naszego kolonisty do Kościoła katolickiego. Lud polski w Papagaios Novos niewątpliwie nie zdradzi Chrystusa, ani też nie zerwie z Wiarą św. ojców naszych. W tych sercach gorących, religijnych, nie wzejdzie nigdy kąkol, heretycki posiew, jaki i tam sekciarz kościoła polsko-katolickiego narodowego Bartnicki z Ponta Grossy lub jego poplecznicy usiłowali zasiać.

Prawda, że Papagios Novos nie ma kapłana na miejscu, lecz jak sami koloniści to dobrze czują, dziś, przy obecnej liczebności swojej, nie są w stanie go utrzymać, a z pomocą chyba im żaden heretyk nie pośpieszy. Nie są jednak opuszczeni, bo często, prawie co miesiąc ten kapłan do nich na kilka dni przybywa, a po tym mają swoją świątynię katolicką, gdzie chętnie się gromadzą w niedziele i święta na swoje nabożeństwa katolickie. A gdy kapłan przyjedzie, śpieszą, by zaspokoić swój głód duchowy. Może z cza-

sem nadejdzie i ta chwila, że spełnią się najgorętsze życzenia tego ludu i duszpasterz wśród nich znowu zamieszka. Wszak nasz katolicki Kościół czyni wszystko, w granicach naturalnie możliwości, by tylko ludziom uprzystępnić dary i łaski Boga.

Z żalem prawdziwym żegnaliśmy zacny ten nasz lud w Papagaios Novos. Pod koniec misji przyszły delegacje z innych centrów naszych rodaków w Municypium Palmiera, jak Santa Barbara, Canta Gallo, Vieiras, Rio dos Patos, by także u nich misje odprawić. Nie mogliśmy im przyrzec, bo ani X. Wizytatorowi ani mnie obowiązki parafialne nie pozwalają na dłuższą nieobecność w parafii, a nie stać nas na to, by poświęcić, choćby tylko dwóch księży, do wyłącznej pracy misyjnej. Nasze „primum opus" musi z tej konieczności leżeć odłogiem i czekać lepszych czasów.

Misje w parafii Castro. Paraná.

(29 września — 11 października 1937 r.).

W piękny, roześmiany słońcem poranek, wyjechałem na pracę misyjną do Castro. Słońce rzeczywiście prażyło nielitościwie, a w dusznym, rozpalonym wagonie, ciężko było oddychać. Wszędzie też, gdzie okiem rzucić, ścielił się spalony step, a mknącemu naprzód pociągowi, towarzyszyły tumany kurzu, wciskającego się się wszelkimi szczelinami nie tylko do wnętrza wagonu, ale i do nosa, oczu i uszu. Nudna i męcząca podróż!

Od Ponta Grossy jechałem w miłym towarzystwie sympatycznych oo. redemptorystów, którzy w tym samym Castro mieli głosić misje dla narodowości brazylijskiej. Po godzinie 3 po południu, nasz pociąg — z Sao Paulo - Rio Grande — zziajany i umęczony gorącem i spiekotą, wtłoczył się na małą stację Castro, gdzie przez dwa tygodnie miałem pracować wśród naszych rodaków i to po raz pierwszy. Na stacji zebrały się tłumy narodu; był obecny i prefekt miasta i komendant garnizonu. Przybyli i przedstawiciele tamtejszej Polonii, by powitać misjonarzy. Po powitaniach i przedstawieniu się wzajemnym, szereg aut ruszył do miasta.

Tu znowu niespodzianka. Plac przed kościołem i ulice zalegało mrowie narodu. Domy przystrojone we wieńce i udekorowane sztandarami i chorągiewkami. Dzieci ze wszystkich szkół

ustawiły się w szeregu po obu stronach ulicy. A gdyśmy w procesji posuwali się tym szpalerem rozradowanej dziatwy, padał na nasze mizerne głowy rzęsisty deszcz, mimo nawet pogodnego nieba. Nie był to jednak ten upragniony przez ziemię zmęczoną długotrwałą posuszą, lecz deszcz kwiatów, jakimi nas dzieci obrzuciły. U bram kościoła przemówił jakiś wybitny obywatel miasta, wyrażając w słowach pełnych entuzjazmu niekłamaną radość, z powodu przybycia misjonarzy. Wśród bicia dzwonów wprowadził nas X. proboszcz Władysław Majbuk do kościoła, gdzie witał nas w czułych słowach, po tym przemawiał superior xx. redemptorystów, na końcu — ja do naszych rodaków, zebranych bardzo licznie w świątyni. Na tym skończyły się wstępne uroczystości.

Późnym wieczorem głuche i ciężkie grzmoty zwiastowały zbliżającą się burzę. Rozszalała rzeczywiście nocą, spadł ulewny deszcz, tak bardzo pożądany, a częściowo nawet duży grad, wyrządzając w okolicach miasta mniejsze lub większe szkody.

Miasto Castro.

Castro, to miasteczko nie duże, liczące coś ponad 5 tysięcy mieszkańców. Wygląd ma wcale przyzwoity i sympatyczny. Ulice szerokie, czyste; domki aczkolwiek skromne, robią miłe wrażenie. Okolica pagórkowata. Miasto Castro musi sobie liczyć już sporo lat istnienia, bo wskazuje na to stary kościółek Matki Boskiej Różańcowej i duży, obszerny kościół parafialny, obydwa w stylu czysto kolonialnym. Wskutek swego położenia na drodze do Sao Paulo, przy tym otoczone wieńcem dobrze rozwijących się kolonij i fazend rozwija się też w pośpiesznym tempie. Prócz wyżej wymienionych kościołów jest jeszcze trzeci Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, zbudowany jako votum przez jedną majętną rodzinę brazylijską. Jest tam i Kolegium Sióstr zakonnych dla dziewcząt, prywatne gimnazjum męskie i obszerne „grupo escolar“, zbudowane przez obecnego gubernatora Stanu, Manoel Ribasa. Miastro Castro słynie jeszcze ze źródła wody mineralnej pod nazwą „Santa Terezinha“, gdzie za dwieście reisów można pić, ile kto chce, tylko zabierać wody ze sobą do domu nie wolno. Butelka jednak tej smacznej i leczniczej wody stołowej w wagonie restauracyjnym kosztuje „tylko“ 1 600.

Polacy w Castro.

Polaków w Castro lub ludności pochodzenia polskiego będzie w mieście jakie sto głów; maleńka więc garstka, która ginie wśród pięciotysięcznej rzeszy jak kropla w morzu. Nieliczni też nasi rodacy nie odgrywają wielkiej roli ani w mieście ani w municypium. Bez organizacji, bez własnej szkoły i pozbawieni długie lata duszpasterza, są bez znaczenia i wpływów, a nawet niewidoczni. Owszem, powiedzieć można, że w przyśpieszonym tempie postępuje zupełny zanik polskości, bo młodzież, a zwłaszcza dzieci, z małymi wyjątkami, już języka naszego nie znają. Gdy jeszcze w zaświaty przeniesie się tych kilku starszych, za lat kilka, polskość w mieście należeć będzie do zabytków muzealnych. Mieszka jednak w Castro kilku wybitnych naszych rodaków, którzy cieszą się szacunkiem nawet wśród obcych, a pracą swą przyczynili się w dużej mierze do rozwoju miasta. Do takich należy niewatpliwie p. Mikołaj Musiałowski, członek honorowy Zjednoczenia Katolickiego „Oświata", niegdyś ruchliwy prezes Tow. Kościuszki na Santa Leopoldina. Dziś ten zacny działacz już prawie u schyłku życia, o umyśle jednak bystrym, interesującym się sprawami naszego wychodztwa. Pan Mikołaj z żalem wspominał dawne, dobre czasy, bolejąc nad skłóconym elementem polskim w Brazylii.

W jego mieszkaniu czułem cząstkę tej „nadwiślańskiej" ojczyzny; przypominały mi ją liczne obrazy, nasze, narodowe jak: p. Prezydenta, p. Marszałka i wiele innych. A długie godziny wsłuchiwałem się w muzykę i śpiew polskich pieśni, wygrywanych na płytach gramofonowych. Liczne bardzo płyty przywiózł p. Musiałowski z Targów Poznańskich, kiedy po raz ostatni odwiedził Polskę. A posiada ich taką moc, że bezsprzecznie jego zbiór należy zaliczyć do najbogatszych w Brazylii. Pan Musiałowski jako kupiec, pracą rzetelną i uczciwą, dorobił się niezgorszego majątku tak, że dziś w posiadaniu jego i synów, znajduje się cały kompleks budynków, z hotelem Cruzeiro i dużym składem metalowo-porcelanowym. Za zasługi na polu narodowo-społeczno-organizacyjnym został przez Rząd Polski odznaczony „Krzyżem Zasługi".

Poznałem również rodzinę p. Wojciecha Niecia, przemysłowca. O ile sobie przypominam, prowadzi on dużą piekarnię. Choć żo-

naty z brazylianką, nie zapomina, że jest pochodzenia polskiego i tego się nie wstydzi. Dzieci jego mówią także po polsku, jak o tym miałem sposobność się przekonać. Wyraziłem nawet zdziwienie, w jaki sposób, kiedy żona nie włada językiem polskim, ani do żadnej szkoły polskiej nie uczęszczają, zdołał ich tego języka nauczyć? Z pewną dumą i zupełnie słusznie powiada p. Nieć: „Dzieci moje muszą znać dobrze język tutejszy jako Brazylianie, a znać powinny i język moich ojców, bo to im tylko zaszczyt przyniesie. Nie będą wtenczas wcale gorszymi patriotami pięknej Brazylii. Żeby zaś poznały język polski, rozmawiam z nimi prawie zawsze po polsku, a rano i wieczór wspólnie mówię pacierz w tym języku". Obyśmy więcej mieli takich domów.

Zwiedziłem także fabrykę cukierków p. Federowicza; słyszałem także o fabryce kawy p. Kupskiego, którego synowie mieszkali niegdyś w naszej bursie w Kurytybie, lecz nie starczyło czasu, by i tam złożyć hołd polskiej pracy i polskiemu wysiłkowi na emigracji. Więc choć tych Polaków mało w Castro, w handlu i przemyśle zajmują jednak dosyć znaczne stanowisko.

Na kolonii Santa Leopoldina.

Nie daleko od Castro, bo zaledwie dwa kilometry — a powiedziałbym językiem średniowiecznym — za bramami miasta, w pagórkowatej okolicy, na ziemiach urodzajnych, założono r. 1884 kolonię polską, nazwaną Santa Leopoldina. Na czyją cześć albo na jaką pamiątkę ją tak nazwano, nie mam pojęcia, ani nikt też nie umiał mi powiedzieć. Zamieszkał tam lud dziarski, twardy, mazurzy z pod Gorlic. Jak podaje p. konsul Głuchowski w swej książce „Pionierzy na Antypodach", zamieszkało tam początkowo 220 dusz. I dziś nie naliczonoby się ich tam więcej. W czasie 50-letniego istnienia kolonii wielu wymarło, inni poszli dalej, sprzedając ziemię swoją sąsiadom lub krewnym, tak, że Leopoldina dziś liczy jakie 30 do 40 rodzin. A sąsiednia kolonia Conçeiçau ma może 10 rodzin. Pan Głuchowski naliczył na Santa Clara i Leopoldinie razem 300 rodzin polskich. Niezrozumiałe to dla mnie, bo trudno przypuścić, żeby ci ludzie w kilku latach zaledwie zdołali wyemigrować gdzie indziej; dziś ich tam tylu nie ma. O św. Klarze nikt mi nawet nie wspominał; choć infor-

formowałem się na prawo i lewo. Prawda, że są jeszcze pojedyńcze rodziny polskie w bliższych i dalszych okolicach Castro, wątpię, czy naliczonoby choćby drugie 30 do 40 rodzin. Informował mnie tamtejszy X. proboszcz Władysław Majbuk, rodem z Prudentopolis, że w całej parafii Castro mieszka Polaków do 150 rodzin maksimum, a według p. Głuchowskiego musiałoby ich tam być najmniej 400, co rzeczywiście jest grubą przesadą. W mej statystyce nie liczę Rusinów, odnoszących się prawie zawsze wrogo do wszystkiego, co polskie, a nawet katolickie, których widocznie p. Głuchowski za Polaków policzył. A i wtedy nie osiągamy liczby podanej przez p. Głuchowskiego.

Rodacy nasi na Santa Leopoldina mają się nieźle, bo ziemia na ogół dobra, a w pobliskim Castro można wszystko spieniężyć Niestety, pole oświatowe i organizacyjne leży tam odłogiem. Nie ma tam ani żadnej organizacji, ani szkoły. Kilka lat temu, jak mi opowiadano, inaczej się działo na Santa Leopoldina. Było i Tow. imienia Tadeusza Kościuszki; była i szkoła własna, gdzie dziatwa zaznajamiała się ze sztuką czytania i pisania, a przy tym, choć w skromnej mierze, przyswajała sobie cenne skarby języka i historii narodu naszego. Dziś to wszystko należy do przeszłości. Duży, obszerny gmach towarzystwa, gdzie mieściła się szkoła, sala teatralna i mieszkanie nauczyciela, stoi ponury, pusty, a chyba tylko nietoperze wyprawiają w nim swe nocne harce. Wiatr zrywa z niego dachówki, a w ostatnich dniach jakiś psotnik powybijał w nim wszystkie szyby.

Gdy pytałem o przyczynę tej martwoty i smutnego stanu szkolnictwa i życia organizacyjnego na Santa Leopoldina, powiadali wiarogodni świadkowie, że winno temu jakieś nieporozumienie, więc niezgoda, ta nasza nieszczęsna wada czy cnota narodowa, po tym przyczyniło się do tego i zobojętnienie młodszego pokolenia do spraw narodowych i organizacyjnych. Towarzystwo i szkoła na Santa Leopoldina rozwijało się pomyślnie i dużą rzutkością się odznaczało, kiedy nim kierował p. Mikołaj Musiałowski. Wtedy i szkoła istniała, a młodzież często na scenie towarzystwa niejedno przedstawienie wystawiła. Z różnych jednak powodów, a może i ze względu na podeszły wiek, p. Musiałowski usunąć się czuł zmuszony i odtąd też zamarło życie narodowe

i oświatowe na Santa Leopoldina. Może dałoby się wszystko jeszcze naprawić, gdyby się znalazł człowiek energiczny, z poświęceniem się dla dobra ogółu i z inicjatywą, ale o takiego prawdopodobnie trudno.

Santa Leopoldina posiada także niedużą, murowaną kapliczkę, gdzie jednej niedzieli mszę św. dla tamtejszych kolonistów odprawiłem. Misyj tam nie głosiłem z powodu bliskości miasta, dokąd powinni byli uczęszczać na misje, co gorliwsi rzeczywiście czynili.

Misje na Sao Sebastiao

(3-go do 5-go października 1937 r.).

Po tygodniowym pobycie w samym mieście Castro wyruszyłem na kolonię Sao Sebastiao. Lekki, rozklekotany fordek, własność X. proboszcza, z zawrotną szybkością, jak oszalały, pędził po równych drogach, wiodących poprzez rozległe fazendy. Nie upłynęło nawet godziny i ford nasz, zdyszany, zatrzymał się przed kaplicą. Garstka naszego ludu, z patriarchą kolonii p. Wiśniewskim na czele, oczekiwała przed bramą misjonarza. Gdy wysiadłem z auta, w rzewnych, serdecznych słowach, przemówił p. Wiśniewski, ze łzami radości witając kapłana polskiego. Od samego południa czekali, wciąż się lękając, by z powodu niestałej pogody zawód ich nie spotkał. Słuchając tych prostych a szczerych słów tego spracowanego i w podeszłym już wieku kolonisty, jakieś dziwne uczucie rzewnej radości napełniało moje serce. Jakże dobry i zacny ten nasz lud — pomyślałem sobie — ileż to w nim przywiązania do Kościoła katolickiego i szacunku dla jego kapłana i ukochania wszystkiego co polskie i katolickie. Ze wzruszenia mówić nie mogłem; po bratersku przywitałem się z tym ludem polskim i z pieśnią: „Kto się w opiekę...“ ruszyliśmy do kaplicy, by zaraz rozpocząć misje św. Czasu nie było dużo, bo z góry ułożony plan przeznaczał dla Sao Sebastio tylko trzy dni. Zresztą był to czas wystarczający, bo około powyższej kaplicy gromadzi się zaledwie 20 rodzin. Korzystali z misji wszyscy bez wyjątku, pojednali się z Bogiem, a jak cudownie śpiewali; rozkosz było słuchać. Po skończonych nabożeństwach jeszcze przychodzili na pogawędkę, opowiadając o swoich biedach, troskach,

smutkach i radościach. Cieszą się, że obecnie mają w Castro kapłana, pochodzenia polskiego, u którego sprawy swej duszy mogą załatwić w języku swych ojców. Późnym już wieczorem przychodziły jeszcze na krótkie nabożeństwo i naukę katechizmową dzieci murzyńskie, mieszkające w sąsiedztwie kaplicy. Potem przystąpiły do sakramentów św., a z nimi i kilkoro starszych, matki ich i ojcowie. Takie milutkie to dzieciaki, że je można naprawdę pokochać. W czasie misji mieszkałem w bardzo ciasnej zakrystyjce kapliczki razem z chłopakiem, który mi z Castro towarzyszył, a stołowałem się u najbliższego sąsiada, zaraz obok kaplicy, u pewnej rodziny murzyńskiej, która nader dumną się czuła, że gości u siebie misjonarza aż ze stolicy stanu.

Garstka naprawdę jest tych Polaków na Sao Sebastiao. W roku 1914 osiedliło się tutaj na fazendzie dra Mirosława Szeligowskiego 14 rodzin, a przez te dwadzieścia i kilka lat przybyło zaledwie 6 rodzin. Pochodzą wszyscy ze starych kolonij podkurytybskich, jak Orleans, Don Pedro, Catanduva. Dr. Szeligowski część swoją fazendy Macedów, którą otrzymał jako wiano swej żony, z domu Macedówny, rozparcelował i posprzedawał pomiędzy naszych rodaków. Istniał podobno wówczas projekt rozparcelowania wszystkich przyległych obszarów fazendy Terra Nova Maracaná i Terra Nova Garcez pomiędzy Polaków. Takie też zapewnienie otrzymała ta garstka naszych rodaków, gdy kupowała te nowe tereny na fazendzie dra Szeligowskiego. Dlaczego się to później nie stało i dlaczego dziś te ziemie znajdują się w rękach jakiejś kompanii niemieckiej, czy nawet w posiadaniu samego rządu Rzeszy niemieckiej, to dla mnie jest tajemnicą. A kompania ta parceluje te ziemie pomiędzy swoich rodaków Niemców. Malutką tylko cząstkę tych rozległych fazend zajęli Polacy, zwiedzeni nadzieją dobrej ziemi, co ostatnio okazało się nie bardzo słuszne i łudząc się, bo tak im obiecywano, że nie będą odosobnieni, bo cała ta ziemia zapełni się naszym ludem. I to się nie ziściło, niestety. Jeden więcej z tych licznych, a niczym nie usprawiedliwionych zawodów, jakie tak często spotykają nasz zacny i dobry lud na emigracji. Dziś ta garstka naszych rodaków, otoczona i zamknięta szczelnie żywiołem niemieckim, daleko od kościoła i duszpasterza swojego, bez szkoły i organizacji, jest prawie że stracona.

Kaplica Sao Sebastiao należy do Dario Macedo. Zbudowana została jeszcze dawniejszymi czasy za niewolnictwa, jako wotum w czasie zarazy, która dziesiątkowała ludność murzyńską. Niegdyś należał do kaplicy duży szmat ziemi — Terra do Santo — dziś rozparcelowany przez potomków szlachetnej ofiarodawczyni. Przyznać jednak trzeba, że i obecnie ładny plac, obszerny zalesiony park, ogrodzony, starannie otacza kaplicę. Sama kaplica, choć stara, ale murowana, także bardzo czysto utrzymana i wymalowana gustownie. Zasługa to po części i naszych kolonistów, którzy w głównej mierze z niej korzystają. Jak najlepsze wrażenia wywiozłem z tej małej, lecz sympatycznej kolonii naszych rodaków w pobliżu Castro.

Wśród Niemców na Terra Nova.

Już w Castro nasłuchałem się dużo o nowych koloniach niemieckich, znajdujących się o kilka kilometrów na wschód od miasta. Jadąc na Sao Sebastiao miałem właśnie przez te kolonie przejeżdżać. Gdy minęliśmy rzekę Maracaná, wjechaliśmy na szeroki, o dalekim horyzoncie, lekko falisty kęp, na którym, jak grzyby po deszczu, wyrastają nieduże domki kolonistów. Informuje mnie mój towarzysz podróży, że to ta sławna Terra Nova. Zainteresowany sprawami kolonizacyjnymi, w drodze powrotnej, zatrzymałem się u tamtejszego duszpasterza Niemców-katolików, by nieco języka zasięgnąć o tej głośnej kolonizacji niemieckiej pod Castro.

Jak mnie informowano, to całą Terra Nova stanowią dwie fazendy: Terra Nova Maracaná, własność niegdyś rodziny Macedów i Terra Nova Garcez, której właścicielem był Jeronymo Cabral. Kolonizację na tych terenach rozpoczął jeszcze kanclerz Rzeszy dr Brüning, katolik. Przeznaczył też te ziemie dla Niemców-katolików. Kiedy do władzy doszedł Hitler i jego szajka, przekreślono plany dra Brüninga, a nastąpił na Terra Nova masowy napływ Niemców-protestantów, a zwłaszcza ludzi o ideologii Hitlera.

Kolonizacja Maracaná jest starsza; widać tam już pewne zagospodarowanie się kolonistów; domki ich, choć skromne, otoczone zielenią drzew, a na przestrzeniach zielonego kępu coraz to częściej spotyka się duże połacie falującego zboża. W centrum

kolonii rzuca się w oczy obszerny budynek szkolny, wybudowany i utrzymywany przez rząd Rzeszy. Opodal zaś szkoły, iście europejskiego folwarku czynią wrażenie zabudowania fazendy byłego konsula generalnego Niemiec, gdzie wśród własnych rodaków gospodarzy jego syn. Sam konsul generalny podobno nie cieszył się zupełnym zaufaniem obecnego reżimu Hitlera i dlatego przeniesiony został na jakąś podrzędniejszą placówkę na daleki wschód. Chociaż protestant przychylnie bardzo odnosił się i do Niemców-katolików, był to człowiek sprawiedliwy. Ale już syn jego to zdeklarowany hitlerzysta z krwi i kości.

Początkującą zaś kolonią niemiecką jest Terra Nova Garcez; zdaje mi się, że istnieje dopiero trzeci rok. Dotychczas osiedlono tam 50 rodzin, z których wielu już zdołało się przenieść na lepsze ziemie i w korzystniejsze warunki. A niektórzy prorokują, że uczyni to większa część. Szakier 12-akrowy kosztuje 5 kontów, oprócz kosztów przepisu. Ziemia nienadzwyczajna, owszem można powiedzieć, że licha. Przy ciężkiej pracy i wzmożonym wysiłku jednak rodzi; widzieliśmy nawet piękne kawałki żyta lub ziemniaków. Domki kolonistów małe, biedne, rozrzucone po jałowym kępie, stoją samotne, bez otoczenia drzew, bo sady jeszcze nie podrosły. Wszędzie widoczne, że to młoda kolonia, a ludzie dopiero poczynają się zagospodarowywać. Jest jednak szkółka, naturalnie utrzymywana przez czynniki Rzeszy; obecnie buduje się dosyć obszerny kościół katolicki, murowany. Jak mi opowiadał tamtejszy duszpasterz, sami koloniści mało mogą przyczynić się do budowy, bo są na ogół bardzo biedni. Nieco z pomocą przy budowie przychodził im fundusz dla Niemców-katolików za granicą z Niemiec, ale dziś wobec zamknięcia granicy Niemiec dla wysyłki pieniężnej i to źródło się wyczerpało, a budowa boryka się z trudnościami prawie że nie do przezwyciężenia. Zacny ten kapłan, sam przymusowy wychodźca z Niemiec, ufa Opatrzności i dzieło prowadzi dalej. Dużo pomagają mu i Polacy z Sao Sebastiao.

Zwykliśmy patrzeć na Niemców jako na wzór wszelkich cnót obywatelskich, a zwłaszcza jako na naród jednolity, zgodny i zharmonizowany, gdy chodzi o prestiż ich niemieckiego „Vaterlandu". W rzeczywistości nie zawsze takie idealne panują wśród

nich stosunki. I tutaj na Terra Nova są rozbici. Najpierw dzieli ich wyznanie. Połowa z nich to katolicy, skupiający się około swego duszpasterza. To żywioł najlepszy, a owocem ich zbiorowej pracy to świątynia własna, która powoli wznosi się pośród nich. Niestety, tych katolików jest bardzo mało, a zhitleryzowana dyrekcja kolonii naumyślnie podobno uniemożliwia przybycie dalszych rodzin katolickich na Terra Nova. Lęka się widocznie przewagi żywiołu katolickiego. Nieznaczną większość kolonistów stanowią Niemcy-protestanci, których obsługuje jakiś przyjezdny pastor. Nie posiadają oni własnego zboru, a nabożeństwa odprawiają w domu prywatnym.

Drugą przyczyną rozbicia to sam hitleryzm. Tak jak w kraju nie wszyscy Niemcy godzą się z dzisiejszą polityką Hitlera, tak samo i tutaj na Terra Nova są jego zagorzali zwolennicy, lecz są także jego przeciwnicy, których duch buntuje się przeciwko szykanom rządu niemieckiego względem wszelkiej religii, a zwłaszcza Kościoła katolickiego. Ci, aczkolwiek przyznają Hitlerowi nawet duże zasługi dla Rzeszy niemieckiej i pochwalają jego stanowisko zdecydowane, jakie zajął względem żydostwa, masonerii i komunizmu, nie mogą się jednak w sumieniu swoim pogodzić z tym, by mu oddawać aż cześć bałwochwalczą. A do tego zmierzają wszelkie wysiłki hitleryzmu, z pogwałceniem nawet wolności sumienia. Zresztą na Terra Nova są jednostki, które w ojczyźnie porzucić musiały wybitne nawet stanowiska, a poszły na tułaczkę emigracyjną przymusowo, lękając się ciągle więzienia lub nawet śmierci z powodu odmiennych przekonań i zapatrywań. Ci o Hitlerze słyszeć nie chcą i całą duszą go nienawidzą.

Spotkałem tutaj wśród Niemców niejakiego Walentego Krawczyka, polskiego Niemca, albo raczej niemieckiego Polaka; jak kto woli. Pan Krawczyk urodził się w Berlinie z rodziców polskich i katolickich. Wychowany po tym w samym centrum germanizmu, a ożeniony z Niemką, uchodził powszechnie za Niemca stuprocentowego. Piastował nawet jakiś urząd w ministerstwie. Rodzice jego, dobrzy, praktykujący katolicy, wpoili w duszę jego zasady wiary św., a nawet od nich poznał nieco język polski, którym dziś nawet nienajgorzej włada. Gdy więc hitleryzm wzniecił niecną walkę z religią i rozpoczął nieuzasadnionymi wyrokami ścigać du-

chowieństwo, zwłaszcza katolickie, sumienie katolickie Krawczykowi nie pozwalało milczeć. Naraził się swej władzy i zagrożono mu więzieniem. Nie namyślając się długo wobec takiej sytuacji, p. Krawczyk wyjechał do Brazylii, przedostawszy się przez zieloną granicę poza obręb władzy Hitlera. Początkowo tułał się po Rio Grande do Sul, nad Uruguayem, a wreszcie osiadł na Terra Nova, pod Castro. Poznałem go w czasie misji na Sao Sebastiao, w której brał bardzo żywy udział razem ze swoją żoną, chociaż ta ani słówka po polsku nie rozumiała. Budująco przystąpili obydwoje do Sakramentów św. A jakim cudownym basem śpiewał on nasze pieśni; zdawało się, że głos mu piersi rozsadzi. Ja zaś miałem wrażenie, że to krzyk, zwłaszcza, gdy całym sercem wołał „Zmiłuj się, niech się nie tułamy" — tej duszy polskiej, skazanej przez długie lata na niewolę i skrępowanie wśród obcych wiarą i narodowością, a która dopiero na wolnej ziemi brazylijskiej poczuła się wolną i swobodną.

Nie wszystko więc na tej niemieckiej kolonii jest „über alles", jak powszechnie i pyszałkowato głoszą Niemcy. Są światła i cienie, a tych cieni widocznie więcej. Tutaj właśnie miałem możność przekonać się, jak chorobliwy i bałwochwalczy kult człowieka, choćby i najgenialszego, miasto spajać i łączyć naród, dzieli go, i jak znamienną przeszkodą dla skonsolidowania społeczeństwa są różnice religijne.

My Polacy jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że nas łączy tutaj jedność wiary św. Całe bowiem wychodztwo polskie na Ziemi św. Krzyża jest katolickie, z wyjątkiem naturalnie kilkunastu jednostek, najczęściej wykolejeńców życiowych, bezbożników i wolnomyślicieli. Ta jedność religii powinna być podstawą naszej siły, tężyzny i łączności. Charakterystycznym jednak, że właśnie ci, którzy tak ciągle krzyczą i wołają o tę konsolidację naszego elementu w Brazylii, usilnie starają się rozbić tę zbawienną jedność religijną wśród naszych kolonistów, faworyzują różnych sekciarzy-wywrotowców. „Sapienti sat" — czyli mądrej głowie dość na słowie.

Misja w Yapó.

(6—9 października 1937 r.).

Na mapie Parany, cośkolwiek na północny zachód od Castro, znajduje się dość duży punkcik, z podpisem: Yapó. Wskazywałoby, że to Yapó, to jakieś miasto lub przynajmniej nasze parańskie miasteczko. Nic podobnego, jak niebawem miałem się przekonać. Ów kartograf widocznie owego Yapó nigdy na oczy nie widział, bo zresztą po co miał się trudzić, kiedy to świat deskami zabity, a przynajmniej tam się kończy droga, wiodąca z Castro do tej polskiej kolonii nad rzeką Mirim; dalej już tylko ścieżka prowadzi.

Do tego Yapó, jako na ostatni teren mojej pracy misyjnej w parafii Castro, wyjechałem pewnego południa, kiedy to całe strugi wody lały się na nasze biedne głowy. Padał ulewny deszcz od rana, a ciężkie, ciemne cielska chmur przelewały się na wschód, na naszą pociechę, że jeszcze więcej deszczu dostaniemy. Dłużej zwlekać nie mogłem, bo na wieczór tegoż dnia misja na Yapó była zapowiedziana. Ha, trudno — pomyślałem sobie i z rezygnacją wsiadłem do auta proboszczowskiego; obok mnie usadowił się mój towarzysz z dużą walizą z przyborami do Mszy św. Nasz wehikuł, kierowany wprawną ręką szofera, potoczył się zygzakowato po ulicach miasta. Po niedługim czasie minęliśmy most na rzece Yapó, płynącej leniwie tuż za miastem. Droga stawała się coraz trudniejsza, a auto, mimo łańcuchów, wyprawiało różne harce. Nie znaliśmy drogi, nie znał jej i nasz szofer, dlatego co chwilę byliśmy zmuszeni przystawać, informując się, czy aby we właściwym kierunku jedziemy. Po godzinie minęliśmy rzekę Pirahy; zacząłem się wtedy nie na żarty obawiać, czyśmy nie pobłądzili. Jednak jakiś przechodzień uspokoił nas, zapewniając, że droga ta zaprowadzi nas sama do Yapó. Niebo zapłakane zaczęło się wyjaśniać, miłościwe słońce pokazało swe żarzące oblicze. Nasze humory się poprawiły. Po dwóch godzinach wreszcie zbliżyliśmy się do celu. Ostatni ułamek drogi był najfatalniejszy. Jechaliśmy u stóp znacznego wzgórza nad ogromną przepaścią, w której głośno szumiały mętne wody rzeki Mirim. Droga zaś była tak wąska, że nasz Ford z trudem się przedostawał, a nam każdej chwili na obślizgłej ziemi groziło stoczenie się w brudne wody rzeki.

Wreszcie ostatni most nad rzeką Mirim, a zaraz za nim kaplica po prawej, a po lewej dom kolonisty-młynarza, gdzie mieliśmy zamieszkać. Bogu dzięki, odetchnąłem z prawdziwą ulgą.

Z powodu marnej pogody i ustawicznej prawie ulewy, koloniści w Yapó już prawie że zwątpili o moim przyjeździe. Tym większa była ich radość, gdy auto zatrzymało się przed domem opiekuna kaplicy. Zaraz też fogetami dali znać bliższej i dalszej okolicy, że misjonarz już jest na miejscu. Skutkowało rzeczywiście, bo pod wieczór zgromadzili się bardzo licznie na rozpoczęcie misji. Pracowałem tutaj od środy wieczora do soboty rana. Pogoda w pierwszy i drugi dzień sprzyjała doskonale, dlatego też bez większej przeszkody mogli wziąć udział w misji nawet ci, co daleko mieszkali. Dopiero w piątek po południu zachmurzyło się znowu niebo, rozpętała się burza i spadł ulewny deszcz. Nie stanowiło to już żadnej przeszkody w misji, bo był to prawie jej koniec.

Kolonia Yapó zrobiła na mnie wrażenie mojej podkurytybskiej kolonii Antonio Prado. Tak samo tam okolica górzysta, domki rozrzucone po stokach wzgórz lub po parowach, by bliżej było do wody. Kilka metrów od kaplicy szumi głośno rzeka Mirim. Cisza i spokój, jedynie wody rzeki nie znają tego spokoju, lecz od wieków kłębią się i szumią, torując sobie drogę naprzód; przewalają się przez ogromne głazy kamienie, tworząc hałaśliwe wodospady. Kiedy późnym wieczorem, po długiej pogawędce, poszedłem na odpoczynek, mimo znużenia i utrudzenia nie mogłem zasnąć; przeszkadzała ta wieczna muzyka szumiących i hałasujących wód. A w nocy bujałem gdzieś nad potężnym Niagara Falls Ameryki Północnej. Rano pytam się mego miłego gospodarza, czy im ten ustawiczny szum wodospadów nie przeszkadza? Myśmy zwyczajni i nie robi on na nas żadnego wrażenia" — odpowiada. Ot przyzwyczajenie. Mimo to, jak mi opowiadano, niektórzy słuch tracą z powodu tego ustawicznego szumu niespokojnego żywiołu, który zwłaszcza w czasie deszczów jest bardzo silny.

Yapó, to kolonia stosunkowo bardzo młoda. Pierwsi koloniści przybyli tutaj w roku 1914. Jedni z nich, to uciekinierzy z kolonii Cruz Machado, gdzie, jak wspominają starzy, panowały początkowo stosunki nie do wytrzymania. Ponieważ nie wolno było ko-

lonii opuszczać, uciekali nocą. Chłopi ze szczupłym dobytkiem na koniach, a niewiasty z dziećmi na ręku, szły piechotą, nieraz kilka nocy, bo za dnia kryły się po lasach przed pościgiem. Tydzień i więcej trwała taka ucieczka, nim przybyły do Marechal Mallet, a stąd już koleją dalej na północ. Jest to jedna z kart martyrologii naszego ludu na emigracji. Później przybyło do Yapó nieco ludu z Prudentopolis, tej metropolii ruskiej na ziemi brazylijskiej, z Barra d'Area i innych. Ci ostatni dobrze i mile wspominają X. wizytatora Bronnego, a zwłaszcza X. Ignacego Krausego, misjonarza, dzisiejszego prefekta apostolskiego w Shuntehfu w Chinach. Lud w Yapó jest mieszany: 23 rodziny są polskie i rzymsko-katolickie, a drugie tyle, to rusini. Z tych 19 rodzin schizmatyckich.

Kaplicę zbudowano kilka lat temu. Jest drewniana, ale obszerna i bardzo czysto utrzymana. Koloniści też pilnują kaplicy jako największego swojego skarbu, który ich łączy, gdzie w smutkach i troskach znajdują pocieszenie, a w ciężkiej walce o byt, moc i zgadzanie się z wolą Najwyższego. Tutaj się gromadzą na wspólne nabożeństwa, bo do kościoła parafialnego aż 42 kilometry, a kapłan do nich najwyżej raz lub dwa razy na rok zagląda; tutaj się modlą i śpiewają językiem swoich ojców. A rzeczywiście ten lud polski na Yapó dużo i pięknie śpiewa. Ma bowiem doskonałego przewodnika-śpiewaka, byłego kaprala austriackiego z pod Brodów, który długie lata przeżył w Bośni, a na starość, po wojnie, wyemigrował do Brazylii.

Rusini w Yapó.

Razem z Polakami gromadzi się w tej rzymsko-katolickiej kaplicy kilka rodzin ruskich. Choć są obrządku grecko-katolickiego, rozumieją jednak dobrze, że dogmaty wiary św. są jedne i te same, a zbawienie znaleźć mogą jedynie w Kościele, którego głową jest Namiestnik Chrystusowy w Rzymie, to jest Ojciec św. I te rodziny ruskie, wierne Kościołowi katolickiemu, życzliwe i przyjazne stosunki utrzymują z naszymi rodakami. Wszyscy też z misji korzystali.

Wspomniałem już poprzednio, że część rusinów w Yapó zerwała łączność z Kościołem katolickim i stała się schizmatycką. Po-

wodem schizmy miał być pop ruski, niejaki Zombra. Był on dawniej „świaszczennikiem" ruskim w Dorizonie, skąd musiał uchodzić, bo go dla różnych powodów napędzono. Tutaj na Yapó kupił sobie szakier ziemi i gospodarzy, a przy tym obsługuje niby garstkę tego ludu, który na manowce sprowadził. Wystawiono tam także jakąś cerkiewkę schizmatycką, której jednak nie widziałem, bo nie miałem czasu ani ochoty trudzić się kilka kilometrów, by to cudo oglądać. Niejeden z obałamuconych rusinów przez popa-odstępcę, chętnieby dziś porzucił schizmę i swego opiekuna pijaczynę, lecz nie pozwala mu niestety fałszywy wstyd i pycha. I dlatego dziś jest niczym, i nigdzie nie należy; nie uczęszcza ani do kaplicy katolickiej, jak to niegdyś czynił, ani do swojej schizmatyckiej cerkwi. To samo dzieje się tutaj z naszymi odstępcami od wiary św., heretykami kościoła polsko-staro-katolicko-narodowego; początkowo tacy gorliwi wyznawcy jego błędów i fałszu, a dziś są niczym i do żadnego kościoła nie chodzą ani nie należą. W stu procentach jest prawdą, że łatwiej nawraca się poganin dziki, niż odpadły od wiary św. katolik.

Schizmatycka część ludu ruskiego w Yapó, w przeciwieństwie do swoich braci wiernych Kościołowi katolickiemu, odnosi się także nieprzyjaźnie, a nawet wrogo do Polaków; znowu widoczny dowód, jak solidną podstawą do konsolidacji społeczeństwa na emigracji jest właśnie „jedność religijna". Oby to chcieli zrozumieć wszyscy nasi działacze emigracyjni!

Sprawy organizacyjne i szkolne w Yapó.

Polacy w Yapó nie są zorganizowani w żadne Towarzystwo o celach narodowych czy społecznych lub oświatowych. Łączy ich tylko wyznanie katolickie i życie religijne, skupiające się przy kaplicy. Dotychczas żaden z naszych społeczników nimi się nie zaopiekował. Powiadali koloniści tamtejsi, że był tam niegdyś p. Sekuła, ów „genialny" znawca stosunków na emigracji, a protegowany przez czynniki nasze urzędowe. W jakim celu tam się wałęsał, nie mam pojęcia i nikt mi powiedzieć nie potrafił. Dość, że dużo niestworzonych rzeczy naopowiadał, jeszcze więcej naobiecywał i na tym do dnia dzisiejszego koniec. Niczego nie otrzymał. Mówią niektórzy, że i piekło samymi obietnicami wybruko-

wane. Do jakiego jednak licha obiecywać, kiedy nie myśli się potem obietnic dotrzymać. Już i tak nasz lud na emigracji ma mało zaufania do tych wszystkich urzędowych opiekunów, a przez takie postępowanie jeszcze więcej je traci.

Bolączką kolonii Yapó, to sprawa szkoły. Zaraz obok kaplicy wznosi się nieduży budynek szkolny, gdzie obowiązki nauczycielki spełnia popadia, żona tego schizmatyckiego popa. Lud nie ma do niej żadnego zaufania i dlatego też liczba dzieci bardzo nikła, i to tak dalece, że sami koloniści się dziwią, poco władze szkolne ją opłacają. Jako schizmatyczka, podobno wrogo odnosi się do religii rzymsko-katolickiej, a dzieci karze, gdy biorą udział w nabożeństwie w kaplicy. Pewnego razu urządziły kobiety nawet najazd na szkołę w obronie swoich dzieci, bo nauczycielka groziła im surową karą, że z powodu nabożeństwa opuściły naukę szkolną. Przestraszona profesorowa zabarykadowała się w budynku szkolnym, a cała awantura skończyła się tylko na ostrej walce językowej. Opowiadali mi koloniści, że i profesorowa nie bardzo pilnuje nauki szkolnej, a bardzo często dziatwa się zejdzie, a nauczycielki nie ma. Starczy — jak dowcipnie jeden z kolonistów powiadał — że zagrzmi wieczorem, to już napewno nauki następnego dnia w szkole nie będzie. Coś w tym wszystkim musi być prawdy, bo koloniści razem z X. Proboszczem z Castro czynią u władz szkolnych starania, by się pozbyć profesorowej, z której kolonia nieduży ma pożytek. Z upragnieniem oczekują jakiejś dobrej siły nauczycielskiej i chętnieby wtedy dzieci swoje na naukę posyłali.

W sobotę rano — 9 października — skończyłem swoją misję w Yapó. Serdecznie pożegnałem się z tym ludem, który mi tyle serca okazał w czasie krótkiego mojego pobytu wśród nich. Siadłem na wóz i rozmokłą po wczorajszej burzy drogą, ruszyłem z powrotem. Przeszło 5 godzin upłynęło, nim stanęliśmy przed plebanią X. proboszcza Majbuka. Na misji w Yapó skończyła się właściwie moja misja wśród Polaków w parafii Castro.

Misje w Castro olbrzymią manifestacją wiary św.

Równocześnie z moją misją dla Polaków, OO. redemptoryści pracowali dla innych narodowości, głosili misje w języku brazylijskim. Mimo prawie ustawicznych deszczów, udział w nich

był bardzo liczny. Korzystały nie tylko niewiasty, ale, co właśnie jest znamienne, mężczyźni, zwłaszcza młodzież. Bardzo wybitny udział w misjach brało także wojsko z tamtejszego garnizonu. Na wieczornych nabożeństwach i naukach obszerny kościół zapełniał się w połowie mężczyznami, wśród których odbijały liczne, zielono-szare mundury wojskowych. I to nie tylko tego prostego żołnierza, ale i szarży czyli wyższych oficerów. Tłumnie też mężczyźni garnęli się do Trybunału Pokuty, a niejeden składał tam, brzemię całych dziesiątek lat. Były i nawrócenia. Bardzo korzystne wrażenie zrobiło pojednanie się z Bogiem jakiejś wybitnej osobistości, notorycznego masona.

Miałem sposobność przypatrzeć się misji wśród Brazylian, tak odmiennych usposobieniem i charakterem od naszego ludu, zwłaszcza tych starych, przybyłych jeszcze z Europy. A potem interesował mnie sposób odprawiania misyj przez duchownych synów św. Alfonsa Liguori'ego. Podziwiałem ich umiejętność zbliżania się i zainteresowania szerokich mas narodu misjami. Nie poprzestawali na suchym wykładzie prawd Wiary św. ale przez różne nabożeństwa, procesje, pochody religijne, co tak bardzo odpowiada tutejszemu ludowi, starali się wszystkich ogarnąć i do Przybytku Pańskiego przyprowadzić na nauki.

Misja cała obfitowała rzeczywiście we wiele rzewnych i podniosłych momentów. Do takich należy niewątpliwie procesja z figurą patronki Brazylii „Nossa Senhora Apparecida". Czem dla Polski jest Częstochowa, tem dla Brazylii właśnie Sanktuarium Nossa Senhora Apparecida w Stanie Sao Paulo, którego stróżem są właśnie OO. redemptoryści.

Figurę Matki Boskiej, słynącej cudami, z Apparecida umieszczono na pięknie przybranym ołtarzyku w domu prywatnym pewnej pobożnej obywatelki. Wieczorem zaś przy biciu dzwonów, dźwiękach muzyki wojskowej i pochodniach wyruszyła z kościoła procesja, by Matkę Boską wprowadzić do świątyni, gdzie ją na tronie przystrojonym w kwiaty i światła umieszczono. Pozostaje tam aż do końca misji św. Entuzjazm ludu nie miał wówczas granic; ustawiczne „Yiva Nossa Senhora Apparecida", rozlegało się wśród pieśni maryjańskich.

Pięknym i miłym był pochód dzieci miasta, na który patrzałem z rzewną radością. Kilkaset dzieci, z chorągiewkami, sztandarami i figurą Matki Boskiej, obeszło procesjonalnie główne ulice miasta, śpiewając pieśni religijne, manifestując swe uczucia katolickie i przywiązanie do Kościoła katolickiego. Widok ten musiał poruszyć i najobojętniejsze serca, a jak zapewniano, to innowiercy ze łzami i żalem patrzeli na tę rozmodloną dzieciarnię. Niebiański wprost nastrój zapanował w Przybytku Bożym, gdy setki mężczyzn, wojska i oficerów gremialnie przystępowało do Stołu Pańskiego. Musiało się wtedy radować serce pracowitego duszpasterza X. Majbuka. A z jaką wiarą i pobożnością zbliżali się po ten chleb anielski.

Tryumfem Chrystusa-Króla był niewątpliwie ostatni dzień misji św. Był to dzień poświęcenia i ustawienia Krzyża misyjnego. Już kilka dni naprzód, przed głównym wejściem do kościoła, spoczywał olbrzymi krzyż z twardego drzewa, na jakie 10 m wysoki. Około niego gromadziły się wciąż grupki] ludzi, czyniąc sobie uwagę, kto go poniesie i gdzie go postawią. Wreszcie X. Superior zaspokoił ogólną ciekawość. Ogłosił z ambony, że krzyż ten stanie na szczycie dużego wzgórza tuż za miastem, by był widoczny dla całej okolicy, na świadectwo, że Castro pragnie stać wiernie pod sztandarem Ukrzyżowanego i przy wierze Jego świętej. A poprowadzi go i poniesie cała ludność katolicka miasta. Dziewczęta zaś przystroiły krzyż we wieńce i kwiaty.

W niedzielę po południu o godzinie 4, wyruszyła ogromna procesja z krzyżem. Nie było trzeba szukać Szymona Cyrenejczyka, bo liczni mężczyźni, nawet żołnierze, wzięli na swoje barki drzewo krzyża. Cisnęły się nawet kobiety, bo i one chciały mieć zasługę w niesieniu krzyża Chrystusowego. Powoli z pieśnią i modlitwą, ze skupieniem i nabożeństwem towarzyszących tłumów, posuwał się ten pobożny orszak na wzgórze poza miasto. Mimo woli, jak rzeczywistość, stanął mi przed oczami ten tragiczny pochód Zbawcy naszego przez ulice Jerozolimy na wzgórze Golgoty. Lecz jaka różnica? Tam bluźnierstwa, szyderstwa i urągania narodu żydowskiego towarzyszyły ciężko skatowanemu Odkupicielowi rodzaju ludzkiego; tutaj przeciwnie, po dwudziestu prawie wiekach, lud ten z Castro, wszelkich narodowości i wszystkich stanów, wpa-

trzony w Chrystusa i Jego krzyż, ze czcią go całuje i podnosi i dźwiga, śpiewając Bogu swemu, szczerze i dziękczynne „Hosanna Synowi Dawidowemu".

Po przybyciu na miejsce, na owe wzgórze, podniesiono krzyż w górę i utwierdzono w ziemi. Rozpostarł on swe ramiona szeroko, by przygarnąć i przytulić do siebie całą tę ludność zebraną u jego stóp i to miasto, kąpiące się w blaskach zachodzącego słońca i całą tę ukochaną naszą Brazylię — Ziemię św. Krzyża — Terra da Santa Crus. Po podniosłej mowie przewodniczącego misji, te niezliczone rzesze ludu podniosły swoją prawicę, składając uroczyste ślubowanie i przysięgę, że po wszystkie czasy stać będą na straży praw Boga i zasad Ewangelii św. a katolickiej ojczyzny swojej bronić, nawet ofiarą życia swojego, przed zakusami największego wroga krzyża, żydowsko-masońskim komunizmem. W imieniu licznie zebranych pod krzyżem integralistów, ich szef lokalny, odczytał znamienną rotę przysięgi, przyrzekając Bogu wierność i posłuszeństwo dla Jego najwyższych nakazów, a miłość ofiarną dla Ojczyzny-Brazylii. Entuzjazm nie miał granic.

Wracając po tych wszystkich uroczystościach do miasta, natrętnie wprost męczyło mnie pytanie, czy podobieństwem wobec takich faktów, że nasza kochana Brazylia mogłaby się stać kozłem ofiarnym dla zwyrodniałych zbrodniarzy czerwonej Moskwy? Nie, nigdy, bo naród brazylijski jest katolicki, zanadto kocha swoją ojczyznę, by ją chciał utopić w morzu krwi bratniej, a Brazylię i jej szlachetny naród rzucić w niewolę najpotworniejszą wrogom wszelkiego ładu i porządku społecznego. Z sercem przepełnionym otuchą i radością wróciłem do przepełnionej wiernymi świątyni, zaraz po tym nastąpiło zamknięcie całej misji. Jeszcze tego wieczora już po wszystkim, do późnej nocy pracowaliśmy w konfesjonałach, dokąd niejednego przyprowadziły podniosłe i wzruszające ceremonie poświęcenia krzyża. Bogu dzięki, że już na tyle sobie język brazylijski przyswoiłem, że i w czasie misji dla Brazylian mogłem być pomocny.

Spowiedzi w czasie tej dwutygodniowej misji było przeszło 2000, licząc w to przeszło 400 spowiedzi samych Polaków nie tylko z miasta, ale i Sao Sebastiao i Yapó. Szkoda tylko wielka, że czcigodni oo. redemptoryści poprzestali tylko na misji w samym

mieście, a nie odwiedzili licznych kaplic wśród Brazylian poza miastem nieraz kilkadziesiąt kilometrów od niego oddalonych. Dla tego biednego narodu, który widzi przelotnie tego kapłana raz na rok, a może i rzadziej, a przy tym nie posiada nieraz najprymitywniejszych wiadomości Wiary św., misje kilkudniowe byłyby z ogromną korzyścią. Na moje polskie misje na Sao Sebastiao uczęszczało kilku murzynów, którym wieczorami wykładałem katechizm, a potem z Bogiem się pojednali. Tak samo na Yapó byli obecni murzyni i metysi, choć nic po polsku nie rozumieli; brali udział jednak w nabożeństwach i pierwsi do Sakramentów św. przystąpili. OO. redemptoryści tłumaczyli się, że ich zwyczajem odprawiać misje we wielkich centrach; brak im księży, więc nie mogą podołać pracy. Zupełnie słusznie, bo gdyby chcieli przeorać misjami całe terytorium parafii Castro, musiałyby one trwać, nie dwa tygodnie, ale najmniej całe dwa miesiące. A jednak do tego dążyć musimy, by nie poprzestać tylko na misjach w naszych „matrizes", ale ogarnąć trzeba całą parafię ze wszystkimi kaplicami i osiedlami.

Następnego dnia oo. redemptoryści odprawili nabożeństwo za zmarłych na cmentarzu, a ja w kościele parafialnym dla naszych rodaków, modląc się za duszę ich byłego proboszcza ś. p. X. Andrzejewskiego, rodaka, przemówiłem po raz ostatni — i trzeba było myśleć o powrocie do Kurytyby.

Powrót z przeszkodami.

Zazwyczaj każda podróż jest męcząca, połączona z pewną niewygodą, a czasem zdarza się jeszcze mniej lub więcej nieprzyjemny wypadek, który do reszty może obrzydzić człowiekowi każdą włóczęgę po świecie. Tych różnych przypadłości, w dość częstych moich podróżach, miałem już kilka; zawsze, Bogu dzięki, szczęśliwie z nich wychodziłem. Opuszczając kilka lat temu miasto Providence w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, nasz pociąg pośpieszny z powodu fałszywego nastawienia zwrotnicy, mało co nie zderzył się z drugim ekspresem. Gdy ten w ostatniej chwili dał gwałtownie kontrparę, myśmy wszyscy z ławek pospadali. Skończyło się na lekkim potłuczeniu kilku pasażerów. Innym razem zgubiłem bilet podróżny i gdy już zmuszony byłem

kupować nowy i jeszcze w dodatku płacić karę jako pasażer na „gapę“, przystępuje murzyn i szczerząc swe białe zęby, podaje mi zgubę. Na ulicach Brooklyna zderzyliśmy się autem z jakimś bogatym żydowinem. Wyszedłem cało, ale towarzyszka żydowskiego jegomościa ze złamaną chrząstką nosową. Kto winę ponosił nie wiem, bo na kierowaniu autem nigdy się nie znałem ani nie znam. Sumienie mi jednak mówiło, że mój superior X. Ignacy, który właśnie w tym dniu zdał egzamin na szofera i auto nasze prowadził. Ale mniejsza o to. Sympatyczny jednak policjant ajrysz i katolik, machnął ręką i „Father you are right“, przepuścił nasze auto wolno, a żyda zabrał na komisariat policji. Może, gdybyśmy byli natrafili na jakiego Ku Klux Klana - policjanta, powędrowałby nasz Ignacy na policję zamiast żyda. W Polsce, na stacji w Inowrocławiu, skradziono mi portfel z paszportem. Poza kilkoma złotymi nie było w nim żadnych skarbów, bo skądże biedny misjonarz może mieć jakieś kapitały? Uczciwy widocznie złodziej, bo i tacy muszą być pomiędzy nimi, wrzucił portfel do skrzynki pocztowej na stacji w Poznaniu, przywłaszczywszy sobie tylko pieniądze, ale niewiele tam tego biedak znalazł. Nazajutrz w komisarjacie policji w Poznaniu odebrałem skradziony mi portfel z paszportem. Gdyby nie ta wyjątkowa uprzejmość złodziejska, nie byłbym w dwóch miesiącach odbył mojej podróży z New Yorku via Polska, Francja do Rio de Janeiro. Paszport bowiem był wystawiony przez Konsulat polski w New Yorku i tam bym się musiał po nowy drogą telegraficzną zwracać, jak mnie informowano w urzędzie w Poznaniu, co by naturalnie i nieco czasu zajęło, a potem i trochę pieniędzy kosztowało. A do najpaskudniejszych zajęć przy różnych włóczęgach po świecie, należą sprawy paszportowe i one same mogą poczciwemu człowiekowi obrzydzić wszelką chęć podróżowania. Nie wspominam różnych mniejszych, niepozornych wypadków, jak to, że najmniej z pół tuzina parasoli pozostawiłem i zapomniałem w różnych pociągach na obydwu półkulach.

Tak samo teraz, w drodze powrotnej z Castro, musiał się zdarzyć nie bardzo przyjemny dla podróżujących wypadek. Nasz pociąg, idący z Sao Paulo, zdążał do stolicy parańskiej bez przeszkody. Byliśmy już na stacji Engenheiro Bley. Tutaj zaintrygował

nas już cośkolwiek przydługi postój, bo trwający przeszło godzinę. Nadszedł pociąg z Rio Negro; ludzie przesiedli się z niego do naszego paulisty, co nigdy nie bywało, i czekamy dalej. Może jakie zmiany pociągów — pomyślałem sobie i czekam z przysłowioną „paciencią". Wreszcie ruszylimy, a pociąg zamiast nabrać rozmachu od stacji Serrinhi wlókł się iście żółwim krokiem. W pustym polu, jaki kilometr od Serrinhi, zatrzymał się znowu, a nam oznajmiono, że dalej nie pojedziemy i z walizkami mamy się przenieść do pociągu, który po nas przybędzie z Kurytyby. Nieszczęście chciało, że właśnie przed nami wykoleił się pociąg towarowy, a tor został zabarykadowany wywróconymi wagonami. Chcąc nie chcąc, przenosimy się na drugą stronę miejsca katastrofy, wśród zbliżającej się ciemności, potykając się na kamieniach i podkładach kolejowych. Przechodząc, rzuciłem okiem na miejsce katastrofy. Kilkanaście wagonów, wypełnionych deskami, leżało w przydrożnym rowie, a szyny na przestrzeni kilkuset metrów porozkręcane. Przy świetle lamp acetylenowych krzątało się i pracowało kilku ludzi, by za pomocą dźwigni, podnieść przewrócone wagony i tor naprawić.

„Potrwa do północy, nim ruch normalny na torze nastąpi" — powiada do nas inżynier, kierujący pracą. Nas to niewiele obchodzi, bo spodziewamy się pociągu ratunkowego z Kurytyby. Po drugiej stronie jednak dotąd go nie ma; był zapowiedziany, ale nikt nie umiał powiedzieć, kiedy rzeczywiście nadejdzie. A tymczasem noc czarna jak ciemności egipskie, pośpiesznie rozpościerała się po ziemi, a za nią nadciągały od zachodu groźne chmury, zwiastujące burzę lub przynajmniej deszcz. Wszyscy też trwożnie spoglądali na złowrogi zachód, już to wpatrując się w ciemność, czy nie wypatrzą zbliżającego się pociągu. Ponieważ to oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność, a wilgotny chłód, wiejący od pobliskiego Iguassú, począł dokuczać, pomysłowość ludzka porozpalała przy torze kilka ognisk i grzaliśmy zziębnięte kości z rozbrajającą cierpliwością, gwarząc, politykując, dowcipkując, jakby nigdy nic. Brakowało tylko szimaronu. Przypomniały mi się ognie nocy świętojańskiej. Nareszcie daleki stukot kół pociągu, kilkakrotny gwizd lokomotywy i długi wąż wagonów sunął w naszą stronę. Zbliżał się powoli jak rak, bo lokomotywa pchała wagony

przed sobą. Przy pomocy jakiejś życzliwej duszy, ulokowałem się w wagonie z moją dużą walizą misyjną — uczynili to wszyscy inni z większym lub mniejszym trudem. Miejsca starczyło dla wszystkich, bo roztropna dyrekcja kolejowa wysłała po nas rozbitków aż 10 wagonów wygodnych — *primeira*. Wśród ciemności i ogólnego zamętu nie poginęli ludzie ani nawet dzieci; ale potraciły się walizy; niejeden z pasażerów ze zdziwieniem przypatrywał się pakunkowi, który w ręce trzymał, a jakiś obcym mu się wydawał. Gdy pociąg ruszył, we wagonach nastąpiło ogólne odszukiwanie i rozpoznawanie waliz, walizek, pakunków, paczek, pacuszek, które niechcąco w czasie tych przenosin pogubiły swoich właścicieli.

Dalsza podróż odbyła się już bez najmniejszej przeszkody. Minęliśmy pociąg zdążający z Kurytyby do Jacaresinho, przepełniony pasażerami; może ani jeden z nich nie przypuszczał ani przeczuwał, że po niedługim czasie zbierać będą swoje tłumoczki, by wśród ciemności i deszczu tułać się po rozgrzebanym torze kolejowym, aż zajmą nasze miejsca w pociągu, który tam cierpliwie czeka poza miejscem katastrofy. Ze spóźnieniem 5-cio godzinnym prawie wjechaliśmy na stację kurytybską...

X. FR. ŚMIDODA.

Misje ludowe dawnej polskiej prowincji Zgromadzenia XX. Misjonarzy[1]).

W r. 1651 stanęli na ziemi polskiej pierwsi członkowie Zgromadzenia Misji. Założył je św. Wincenty a Paulo 1625 r. w Paryżu. Głównym jego celem, od którego otrzymało nazwę, były misje ludowe po wsiach. Później przybyło mu nadto prowadzenie seminariów diecezjalnych, w myśl wskazań soboru trydenckiego, a wraz z nim pielęgnowanie nauk teologicznych, śpiewu kościelnego i ceremonii. W szczególny sposób oddawała się również kongregacja ta od początku, za wzorem swego założyciela, akcji charytatywnej. Dzieła specjalnie w tym celu utworzone, tj. Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia (1617) i Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia (1633), były jej w tym względzie dużą pomocą.

Do Polski sprowadziła XX. Misjonarzy królowa Ludwika Maria Gonzaga, podówczas żona Jana Kazimierza. Znała ona osobiście św. Wincentego a Paulo z Paryża. Należała tam bowiem do Stowarzyszenia Pań Miłosierdzia, którym kierował. Potrzeba szerszej działalności misyjnej wśród ludu oraz nowych organizacyjnych form miłosierdzia, skłoniły królowę do uproszenia Świętego o przysłanie swych dzieci do Polski. Spełniając tę prośbę, zlecił on równocześnie jej trosce stworzenie na miejscu dogodnych warunków rozwoju dla jego dzieł. Uczyniła to królowa przez wyjednanie 1653 r. u biskupa poznańskiego oddanie parafii św. Krzyża w Warszawie Zgromadzeniu Misji i hojne zaopatrzenie fundacyjne tego domu, oraz przez nabycie w r. 1659 dworku

[1]) Artykuł niniejszy, to wykład habilitacyjny X. Fr. Śmidody, wygłoszony 10 listopada 1938 r. na Uniwersytecie Jagiell. w Krakowie. (Redakcja).

i przyległego doń gruntu dla Sióstr Miłosierdzia na Tamce. Odtąd nabierają prace tych Zgromadzeń w Polsce charakteru stałego i idą zwolna, w duchu swego powołania, ku ciągłemu rozwojowi.

Pomijając inne dzieła św. Wincentego a Paulo na ziemi naszej, zwrócimy tu uwagę jedynie na XX. Misjonarzy. Zgromadzenie to traciło zwolna swój charakter francuski w miarę jak wstępowali doń coraz liczniej Polacy. Już w r. 1685 utworzono polską prowincję Kongregacji z domem centralnym przy kościele św. Krzyża w Warszawie. Pierwszym przełożonym jej, czyli wizytatorem, został X. Bartłomiej Tarło, od r. 1710 biskup poznański. Mimo powstania prowincji narodowej, przybywali jeszcze przez kilkadziesiąt lat, w razie potrzeby, misjonarze Francuzi do Polski. Prowincja wspomniana istniała do r. 1864, kiedy uległa kasacie przez rząd carski. Przejściowo tylko tworzyły domy na terytorium zabranym przez Austrię, w latach 1799—1810, tzw. prowincję galicyjską, a położone na Litwie w latach 1796—1842, litewską. Domy istniejące na terytorium pruskim zostały zniesione w r. 1836, a nowopowstałe w czasie kulturkampfu; położone w Austrii, a częściowo ocalałe, stworzyły w r. 1865 nową prowincję polską, istniejącą dotąd z centralą w Krakowie.

Zgromadzenie XX. Misjonarzy rozwinęło się u nas powoli, obejmując stopniowo właściwe sobie pola pracy. Na każdym z nich dokonało wiele, więcej niż się to naogół przypuszcza. Kasata Kongregacji po powstaniu styczniowym i brak odpowiednich publikacyj, stały się bowiem z czasem zapoznania jej działalności powodem. Stąd też będą niewątpliwie przyszłe studia historyczne o pracach Zgromadzenia Misji w Polsce dużą rewelacją dla historiografii kościelnej. Rzucimy tu okiem tylko na jeden odcinek tej działalności, dziś może mniej głośnej i znanej, lecz tej, która jest pierwszym celem i zadaniem Zgromadzenia, na misje ludowe jego dawnej, polskiej prowincji.

Literatury, dotyczącej bezpośrednio tego tematu nie ma żadnej. Pewien materiał przynoszą w tym względzie prace z zakresu dziejów Zgromadzenia Misji w Polsce. Należą tu przede wszystkim: X. Mariana Kamockiego, La Congrégation de la Mission en Pologne, Paris 1863; X. dra Wojciecha Wdowickiego, Historya Księży Misjonarzy w Polsce (Pierwszych lat dziesięć

od r. 1651—1660), Kraków 1902; Roczniki Obydwóch Zgromadzeń, kwartalnik wychodzący od r. 1895 w Krakowie na Stradomiu; Księga pamiątkowa trzechsetlecia Zgromadzenia Księży Misjonarzy 1625—1925, Kraków 1925; X. Piusa Pawellka, Działalność księży Misjonarzy domu wileńskiego, Kraków 1931; X. J. Kurczewskiego, Biskupstwo wileńskie, Wilno 1912; X. biskupa Nowowiejskiego, Płock, monografia historyczna, Płock 1917; X. Stanisława Chodyńskiego, Seminarium włocławskie, 1904; X. Stanisława Wysockiego, Seminarium Zamkowe w Krakowie, Lwów 1910 i Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Z zapałem opowiadają też o misjach Zgromadzenia XX. Misjonarzy, przytaczając różne ciekawe szczegóły: Pruszcz P. H., Klejnoty stołecznego miasta Krakowa, Kraków 1745; X. Jędrzej Kitowicz, Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III, Poznań 1840/41; X. Tomasz Dobszewicz, Wspomnienia z czasów, które przeżyłem, Kraków 1883; Giżycki (pseudonimy: Wołyniak, Smora), Z przeszłości powiatu wołkowyskiego, Kraków 1905; Księża Misjonarze w Wilnie, Kraków 1916; Gustaw Manteuffel, Krasław, Warszawa 1901 i i.

Lepiej niż z literaturą przedstawia się sprawa z archiwalnymi zapiskami o odbytych misjach. Z polecenia bowiem X. wizytatora Tarły winien był każdy dom Zgromadzenia w Polsce prowadzić dokładną kronikę swych misyj, *liber missionum.* Było ich tyle, ile było placówek w Polsce; gdyż każda bez wyjątku, chociażby to było seminarium duchowne czy parafia, miała pamiętać o pierwszym celu Kongregacji i jemu, w miarę możności, się oddawać. Dziś nie wszystkie *libri missionum* są znane, zwłaszcza najstarsze. Nie ma bowiem katalogów rękopisów dawnych i obecnych archiwów polskiej prowincji. Uzupełniają te wiadomości szeregiem ważniejszych danych listy okólne generałów Zgromadzenia, a także w wielu wypadkach, zwłaszczą gdy chodzi o czasy nowsze, kroniki parafij, gdzie raz po raz dawano misje.

Już przed przybyciem Misjonarzy w r. 1651 do Polski były tu znane misje ludowe. Dawali je dominikanie i franciszkanie konwentualni, jezuici i reformaci. Misje dominikańskie rozwijały się podówczas głównie na Litwie, zwłaszcza od r. 1647, gdy powstała tam oddzielna prowincja zakonna. Pracowali tam również,

oraz na całym wschodzie Polski, jezuici, usiłując zwłaszcza odciągać lud od grożącej mu schizmy. W innych częściach kraju dawali oni misje przeważnie tylko w okolicach bliższych swych rezydencyj. O franciszkańskich misjach w Polsce nie ma z tego czasu żadnych wiadomości. Reformaci rozwinęli żywszą akcję misyjną dopiero od r. 1757, gdy papież Benedykt XIV wezwał ich do tego osobną bullą. Pole pracy stało zatem otworem, gdy Zgromadzenie, którego głównym celem jest dawanie misyj ludowych, przybyło do Polski.

Pierwsze u nas misje dali XX. Misjonarze w roku 1654 w Skułach, w pow. błońskim, a potem aż dwukrotnie w kościele św. Krzyża w Warszawie. Głosili je księża Wilhelm Desdames i Kazimierz Żelazewski, Polak, przybyli z Francji w r. 1651. Ku niezmiernej radości św. Wincentego a Paulo pobłogosławił Bóg w przedziwny sposób pierwszym pracom misyjnym Zgromadzenia w Polsce. Pod wpływem rozgłosu tych misyj postanowił biskup poznański, Kazimierz Czartoryski, zobowiązać ordynandów swej diecezji do odprawienia rekolekcji przed święceniami kapłańskimi w domu św. Krzyża w Warszawie. X. biskup Karol Ferdynand zaś wezwał Misjonarzy do dawania podobnych misyj w diecezji płockiej. Zamierzeń wspomnianych nie udało się jednak zrealizować, gdyż wypadki polityczne r. 1655 i późniejsze przerwały na siedemnaście lat działalność misyjną Zgromadzenia w Polsce.

Dopiero 1672 r. podjęto na nowo głoszenie misji. Pisze o tym 28 lutego 1674 r. X. Jolly, generał Zgromadzenia, w następujących słowach „Nasi Misjonarze w Polsce odprawiają znów od jednego czy dwóch lat misje z nadzwyczajnym powodzeniem i ku podziwowi najwyższych dostojników państwa". Duszą tych misyj stał się pierwszy wielki misjonarz ludowy Zgromadzenia na ziemi naszej, X. Paweł Godquin. Przybył on do Polski w r. 1670, gdzie nauczył się w krótkim czasie języka i poświęcił całą duszą działalności misyjnej. Głośne misje jego w Chełmnie, dane 1674 r., wpłynęły na sprowadzenie tamże na stałe Misjonarzy dla dyrekcji seminarium i prowadzenia parafii. X. Godquin był też w latach 1676—1680 pierwszym przełożonym tego domu. Obok rozlicznych zajęć swego urzędu znajdował raz po raz czas na dawanie

misyj w różnych stronach diecezji. W latach 1680—1682 jest X. Godquin przełożonym u św. Krzyża w Warszawie. Ożywił tu w niesłychany sposób ruch misyjny. Dawali je podówczas kapłani tego domu w archidiecezji gnieźnieńskiej, oraz w diecezjach poznańskiej i przemyskiej. W r. 1682 został pierwszym ze Zgromadzenia prefektem, czyli rektorem seminarium zamkowego na Wawelu. I stąd ruszał często, już to sam, już też w towarzystwie kilku księży, a nawet kleryków, na misje w bliższe i dalsze okolice Krakowa. Najgłośniejszą była w tym czasie misja jego w Mikołowie, 1683 r., w księstwie pszczyńskim, gdzie wielu zagorzałych luteranów wróciło na łono Kościoła. Szczególny jednak podziw budził zapał apostolski X. Godquina, gdy szedł z misjami w góry, w Tatry, pełne przeróżnych niebezpieczeństw. Wspomniano o tym w lizbońskim wydaniu reguł Zgromadzenia z r. 1743 w następujących słowach: „Zdarzało się, że rozbójnicy opuszczali swe jaskinie, by wziąć udział w misjach, a co w największy podziw wprawiało bohaterskiego króla Sobieskiego, to gorliwość jednego misjonarza Francuza, który nie wahał się z narażeniem życia iść w niedostępne góry, by tam wyszukać opryszków i gromić ich występne życie. Ludzi tych rozbrajała wprost ta niezwykła gorliwość i nie tylko nie uczynili misjonarzowi nic złego, lecz dali wyraz swej czci i swego podziwu dla takiej odwagi". W latach 1685—1697 był X. Godquin pierwszym przełożonym domu misyjnego w Wilnie, po czym wrócił do Chełmna, gdzie zmarł 1712 r., doprowadziwszy dzieło misyj ludowych w Polsce do niezwykłego rozkwitu.

W jaki sposób dawano misje, które tak duży zyskiwały rozgłos? Trwały one od 2—6 tygodni, najczęściej 3 lub 4 tygodnie. Przez cały ten czas utrzymywali się misjonarze własnym kosztem, mieszkając zwykle poza plebanią. Sami też prowadzili kuchnię, przywożąc co potrzebne z sobą. Na misje składały się rozłożone planowo: kazania i proste nauki, katechizacje i konferencje ludowe, medytacje, modlitwy, publiczne nabożeństwa, uroczyste procesje, odwiedzanie chorych, poświęcenie krzyża, spowiedź i wspólna Komunia św. Katechizacji ludu dokonywali przeważnie klerycy, których przywozili misjonarze z sobą. Ciekawe bardzo były, wprowadzone przez XX. Misjonarzy, konferencje, czyli poufałe

rozmowy z ludem. Odpowiadał tu misjonarz na pytania i zarzuty, jakie mu stawiano. Ponieważ jednak lud był na ogół nieśmiały, wybierano z góry jednego człowieka świeckiego lub misjonarza, który stawał między pospólstwem albo na drugiej ambonie i stamtąd prowadził rozmowę z nauczającym kapłanem. Dysputy te były niemałą atrakcją Zgromadzenia XX. Misjonarzy. Przypuszczalnie głoszono też wówczas, jak dziś, niektóre nauki oddzielnie dla mężczyzn i kobiet, młodzieńców i panien.

Drugim, niezwykle zasłużonym w misjach ludowych w Polsce, jest X. Augustyn de Monteils, następca X. Godquina na przełożeństwie domu św. Krzyża w Warszawie. Podtrzymywał on niezmordowanie dzieło misyjne swego poprzednika. Dnia 15 listopada 1682 r. pisze o nim X. Jolly, generał Zgromadzenia: „Donoszą mi z Warszawy pod dniem 23 października, że X. de Monteils wciąż jeszcze przebywa na misjach w diecezji łuckiej, na Wołyniu. Pan Bóg błogosławi jego pracy, lud zadowolony, a X. biskup, by utrzymać owoce misyj, wysłał do naszego domu w Warszawie dziesięciu z pomiędzy duszpasterzy na rekolekcje“. W r. 1686 został X. Monteils pierwszym przełożonym domu misyjnego na Stradomiu w Krakowie, gdzie danym mu było kłaść podwaliny dzieła, które samo jedno przetrwało wszystkie burze czasów, pozostając bez przerwy aż dotąd w posiadaniu Zgromadzenia. Szły stąd misje co roku w różne strony rozległej diecezji. Głośnymi zwłaszcza były dane w Krakowie w latach jubileuszowych 1726 i 1751. W pierwszym roku głosili je kapłani i klerycy domu stradomskiego w sąsiednim kościele św. Sebastiana. Gromadziły one na kazaniach 5—8 000 osób. Jeszcze większymi były misje 1751 r. W czterech kościołach krakowskich: u Panny Marii, św. Anny, św. Piotra i św. Floriana, dawały je kolejno różne zakony od 7 marca do 5 września. Księżom Misjonarzom wyznaczono kościół Mariacki. Głosili oni tam w półroczu wymienionym trzy misje, dwie trzytygodniowe i jedną dwutygodniową. W pierwszej przewodniczył X. Błażej Sikorski, jeden z najsłynniejszych kaznodziei ludowych swego czasu. W całej Polsce głośne było jego imię; wszędzie podziwiano zapał apostolski, którym płonął, oraz niezwykłą wymowę i potęgę słowa. X. Kitowicz pisze w swych pamiętnikach o X. Sikorskim i misji tej, co następuje: „Najsław-

niejszym był z tego Zgromadzenia Misjonarzem za czasów Augusta III Sikorski. Głos miał wielce donośny i wdzięczny, udanie żarliwe i przenikające, styl prosty, retorycznymi wdziękami nieokraszony; wzbudzał jednak w słuchaczu afekty, jakie chciał: płacz, żal, miłosne serca ku Bogu rozrzewnienie, obrzydzenie grzechów i tym podobne dotkliwości. Widziano nieraz cały kościół na jego kazaniu łzami zalany, krzykiem powszechnym kochanie Boga oświadczający, albo jak rój pszczół zamięszany, do przeproszenia jeden drugiego szukający i do nóg sobie upadający. Jednego razu na misji w Krakowie taki miał nacisk ludu, że aż w polu za miastem musiał do nich kazania czynić z wystawionego na ten koniec rusztowania na formę kazalnicy; na pamiątkę tej tak sławnej misji bite były kopersztychy. Sikorski stoi na ambonie wysokiej w komży i stule z krucyfiksem w ręku, do góry podniesionym i ludem różnego stanu i płci na kilkoro stai dokoła otoczony".

Równocześnie z misjami u Panny Marii dawali księża stradomscy nieustanne półroczne misje przed Szpitalem Zakaźnych obok łąk św. Sebastiana dla ubogiej ludności miasta i okolicy. Misje te zyskały tak niespodziewany rozgłos, że przybywali na nie również bogaci, nawet senatorowie i prałaci, kler świecki i zakonny w przekonaniu, że nie dostąpią odpustu, jeżeli nie wezmą udziału w misji ubogich.

Nader piękną jest też karta misyjna lwowskiego domu Księży Misjonarzy, powstałego 1748 r. Do r. 1780 dano stamtąd przeszło 130 misyj w diecezji lwowskiej, chełmskiej, kamienieckiej i łuckiej. Rozpoczęto je od wielkiej misji miesięcznej w kościele M. B. Śnieżnej na Krakowskim Przedmieściu we Lwowie. Udział ludu, mimo różnych przeszkód i starań odciągnięcia go od misji, rósł z każdym dniem. W końcowej uroczystej procesji uczestniczyło około 20 000 ludzi z arcybiskupem i dużym zastępem kleru na czele. Gdy przewodniczący misji, X. Melwiński dziękował w pożegnalnym kazaniu wszystkim stanom za pilny udział w kazaniach i nabożeństwach, powstał ogromny płacz i lament. „Przez kilka jeszcze dni po misjach — mówi kronikarz — przychodzili ludzie tłumnie do domu Misjonarzy, dziękując im za trudy, jakie ponieśli dla ich zbawienia".

Obok wymienionych powstał jeszcze w Polsce cały szereg innych domów Zgromadzenia XX. Misjonarzy, przeważnie fundacyjnych, o charakterze wybitnie czy nawet wyłącznie misyjnym. Należą tu domy: w Gdańsku (1710), w Mławie (1712), w Lublinie (1717), w Siemiatyczach (1719) dla dawania misyj w diecezji łuckiej, w Horodence (1743), diecezja lwowska, w Brzozowie (1745), diecezja przemyska, w Śmiłowiczach (1747), diecezja mińska, w Zasławiu na Wołyniu (1748), w Tykocinie i Łyskowie (1751), diecezja wileńska, w Orszy na Rusi Białej (1755) i w Głogowie (1763) w diecezji krakowskiej, dziś przemyskiej.

Było też dawnym zwyczajem XX. Misjonarzy przyjmowanie w swych domach na własny koszt zgłaszających się na rekolekcje. Udzielano ich, gdy tego żądano, każdego czasu, nawet jednej tylko osobie. Stąd też znajdujemy w księgach misyjnych wielu domów spisy osób, którym dawano w różnych czasach rekolekcje zamknięte. — O zwyczaju tym i pewnym ciekawym wypadku nadużycia gościnności misjonarskiej opowiada X. Kitowicz co następuje: „Misjonarze mają pobożną wielce ustawę, że każdego z świeckich i z duchownych, kto tylko żąda, przyjmują na rekolekcje na pięć dni, dając mu przez tęn czas bez żadnej nagrody: stancją, pościel i porcją taką, jak swoim domownikom w refektarzu. Miewają rekolektantów ustawicznie — czasem po kilku, a czasem po kilkunastu razem — bo się im według woli św. Fundatora nie godzi nikomu odmówić tej duchownej oraz i doczesnej uczynności; lubo wielu wprasza się na rekolekcje nie dla pożytku duchownego, ale dla odpędzenia na niejaki czas dokuczającego im głodu. — Jest podanie w tym zgromadzeniu, że jeden rekolektant z takowych gałgancjuszów, umieszczony w komorze, w której stał okseft z winem, wysuszył go do połowy; i nie spostrzeżono tej szkody, aż przyszła potrzeba zaczęcia okseftu; domyślano się zaś, że ów rekolektant wypił to wino, ponieważ ile razy przyszedł do niego ojciec duchowny dla dawania mu według zwyczaju nauki, zawsze go zastał leżącego na ziemi krzyżem. Znać ów łotr, opiwszy się, kładł się spać tym sposobem, aby nie był poszlakowany w pijaństwie i szkodzie, którą uczynił. Mimo atoli takowego zdarzenia i ekspensy koniecznej na podejmowanie rekolektantów, św. Fundator synom swoim kazał mieć za wielki zysk, je-

żeli by z tysiąca zmyślonych rekolektantów jednemu, drogi zbawiennej prawdziwie szukającemu, przysługę duchowną uczynili".

Obok udzielania misyj i rekolekcyj wydawali też XX. Misjonarze od początku różne druki: obrazki, modlitwy, broszury, katechizmy i zbiory kazań, głoszonych na misjach.

Rozbiory Polski i czasy zaborcze przyniosły stopniową likwidację wszystkich domów misyjnych Zgromadzenia XX. Misjonarzy. Dekretem cesarza Józefa II z r. 1782 zniesione zostały domy: we Lwowie, Brzozowie, Głogowie i Horodence. W r. 1798 ustaje działalność misyjna domu stradomskiego, w r. 1801 w Siemiatyczach, w r. 1818 w Gdańsku. Ukazem cara Mikołaja I z r. 1842 zniesiono wszystkie domy litewskiej prowincji Zgromadzenia, między innymi, domy misyjne w Zasławiu, Łyskowie i Śmiłowiczach. Pozostała wreszcie tylko jedna znaczna placówka, promieniująca nadal w całej pełni dawnym ruchem misyj ludowych, a był nią dom świętokrzyski w Warszawie. Zasłynęli zeń w tym czasie, tj. w XIX w., gorliwą pracą misyjną księża: Kasper Kłopotowski († 1834) i Andrzej Polakiewicz († 1823), których pamięć działalności żyje dotąd wśród ludu od Warszawy do Łowicza.

W r. 1864 zniesiono ukazem carskim całkowicie Zgromadzenie Misji w b. zaborze rosyjskim. Odrodziło się ono wszakże już następnego roku w innej części ziemi polskiej — w Krakowie. Praca misyjna tego domu, na Kleparzu, rozwinięta niebawem z wielkim zapałem, łamała też z czasem coraz śmielej kordony graniczne zaborców, będąc tym samym świtem lepszych dni dla Zgromadzenia i kraju.

X. J. GÓRAL

Początki domu XX. Misjonarzy w Kurytybie.

(Ciąg dalszy).

Związek Towarzystw Katolickich „Oświata"

7. Znaczenie i rozkwit „Oświaty".

Nie będę się zbytnio rozwodził, bo może nie wszyscy czytelnicy „Roczników Zgromadzenia" interesują się pracą naszych XX. Konfratrów w Brazylii i ich Związkiem Stowarzyszeń Katolickich „Oświata". Wspomnę jednakże pokrótce o kursach nauczycielskich, o kółku nauczycielskim, o nauce wieczornej, o biblioteczkach wędrownych i o nauczycielu wędrownym.

1) Nowe prawa dla szkół prywatnych.

Po wojnie światowej wzrosło bardzo wśród ludów poczucie narodowe i nie tylko w Europie, ale i w Ameryce Południowej; także i u nas w Brazylii. Każde państwo chce i żąda, żeby przybysze i cudzoziemcy, w jego terytorium mieszkający, jak najprędzej się wynarodowili. Początek i środek najlepszy do wynarodowienia, to szkoły ludowe.

Przed wojną światową było wolno uczyć w Brazylii Południowej, w szkołach prywatnych, każdemu nawet koloniście, co umiał jako tako czytać i pisać. Zniesiono tę swobodę po wojnie. Stanowe kongresy (sejmy) uchwaliły szczegółowe przepisy, których trzymać się muszą nauczyciele szkół prywatnych, w przeciwnym bowiem razie czeka ich kara i nastąpi zamknięcie szkoły.

Nas obchodzi przede wszystkim stan Parany, w którym się grupuje większa część Polonii brazylijskiej, to też pisać będę o ustawie uchwalonej dla szkół prywatnych tegoż stanu, tym wię-

cej, że odnosi się ona i do Sióstr Miłosierdzia, uczących w tutejszych szkołach.

Dnia 8 kwietnia 1922 roku uchwalił stanowy kongres parański prawa odnoszące się do szkół prywatnych. Ważniejsze z nich są następujące:

1. Nie wolno nikomu otworzyć szkoły lub zakładu prywatnego bez pozwolenia generalnego inspektora stanowego. W prośbie o pozwolenie trzeba podać różne szczegóły, jak: miejsce kolonii, imię i nazwisko nauczyciela, stan jego wykształcenia, świadectwo zdrowia, moralności itp.

2. Zobowiązać się trzeba na piśmie: obchodzić święta narodowe, tak zwane feriado; uczyć nie mniej, niż 4 godziny tygodniowo języka brazylijskiego, a 3 godziny geografii i historii w języku brazylijskim.

3. Kto przekracza to prawo podlega karze i to pierwszy raz od 100 do 200 milreisów; w następnym wypadku od 300 do 1 000 milreisów i szkoła zostanie zamkniętą.

Przed rokiem uchwalił kongres federalny, że ma się mówić język „brazylijski", a nie portugalski, choć z Portugalii pochodzi. Zapewne duma narodowa nie pozwala Brazylianom, których kraj obszarem równa się niemal całej Europie, nazywać swój język od małej Portugalii. Koloniści nasi zawsze mówią, iż znają tylko język brazylijski, a nie wierzą, że to właśnie jest język portugalski. Dla informacji nauczycieli i kolonistów przytoczył nasz „Lud" to prawo szkolne w dosłownym brzmieniu, w języku brazylijskim i polskim, z uwagą wstępną „nowe prawo szkolne [1]).

Wprawdzie Siostry Miłosierdzia i w niektórych polskich szkołach w koloniach uczono języka brazylijskiego, ale nie tak, w tej mierze, jak tego nowa ustawa szkolna wymagała. Inspektorowie szkolni zaczęli przeto polskie szkoły i szkółki w różnych miejscowościach zamykać z braku stosowania się do nowej ustawy szkolnej.

Z tego wynika, że władze szkolne wolały raczej nic, niż coś, czyli innymi słowy: raczej analfabetów, niż umiejących czytać i pisać, ale nie po brazylijsku.

---

[1]) »Lud« nr 40 z 5 października 1922 r.

Rzecz jasna, że nauczyciel mający uczyć dzieci po brazylijsku, musi przede wszystkim sam znać ten język w mowie i w piśmie. W tym były wielkie braki w szkołach polskich; nauczyciele i nauczycielki polskie nie znały dostatecznie tutejszego języka krajowego, brazylijskiego. Trzeba było temu zaradzić, przeszkody usunąć, a zastosować się do nowego prawa szkolnego.

2) Srodki zaradcze.

Polskie Towarzystwo Kurytybskie, w których wielki udział brał Związek „Oświata“ i XX. Misjonarze, zawiązały osobną komisję kursów nauczycielskich. Jej zadaniem było urządzenie i przeprowadzenie kursów nanczycielskich, z żądanych przez brazylijskie władze szkolne przedmiotów i z innych, należących do zawodu nauczycielskiego. Na zakończenie kursów mieli kandydaci na nauczycieli składać egzaminy. Po ich złożeniu z dobrym skutkiem i po otrzymaniu świadectwa rządowego, mogli nauczyciele bez przeszkody uczyć w szkołach i zakładach polskich i brazylijskich. Dostawali początkowo nawet zapomogę od rządu w szkołach prywatnych.

W czasie pobytu w Kurytybie polskiego posła z Rio de Janeiro hr. Czesława Pruszyńskiego, przedstawiła komisja kursów jemu swój plan i prosiła o pośrednictwo w tej sprawie przed prezydentem stanowym dr Munhoz da Rocha.

Skutek pośrednictwa polskiego posła hr. Pruszyńskiego był bardzo pomyślny. Nastąpiło zawieszenie nowego prawa szkolnego na rok, aby dać możność nauczycielom polskim odbycia kursów i złożenia wymaganych egzaminów. Otworzone również polskie szkoły, które na polecenie inspektorów zostały zamknięte z powodu nie zastowania się nauczycieli do wydanych przepisów.

Komisja kursów udała się do prezydenta stanu dr Munhoz da Rocha z prośbą, aby wyznaczył profesorów do przedmiotów brazylijskich, do czego on się chętnie przychylił. Wyznaczono profesora Modesta Falarza, który będąc Polakiem z pochodzenia, włada poprawnie językiem polskim, a dla nauczycielek profesorkę Bittencourt. Inne przedmioty w języku polskim wykładał instruktor p. Stefan Szumowski, kilku zdolniejszych nauczycieli, a z naszych

konfratrów: X. Jan Rzymełka, X. St. Piasecki i X. Józef Góral z Abranches.

3) Kursy nauczycielskie.

Na odezwy i zachęty tutejszych gazet polskich zgłosiło się około 60 osób na zapowiedziane kursy nauczycielskie, między nimi 8 Sióstr Miłosierdzia i 8 Sióstr Rodziny Marii.

Ponieważ nauczyciele są zazwyczaj bez zasobów, przeto komisja kursowa odzywała się publicznie do tych kolonij, gdzie oni uczą, aby się przyczyniła ofiarami do ich utrzymania w Kurytybie w czasie kursów. Skarbnikiem składek i ofiar wybrała komisja X. Piaseckiego, który do niej należał. Zresztą w Bursie XX. Misjonarzy w Kurytybie znalazło mieszkanie i utrzymanie kilkunastu kandydatów nauczycielskich za małym wynagrodzeniem.

Uroczyście otwarto kursy nauczycielskie wśród licznych gości dnia 22 stycznia 1923 roku. Wygłoszono mowy w języku brazylijskim i polskim. Wykłady w języku brazylijskim rozpoczęto dnia 4 stycznia o godzinie 8 z rana [1]).

Cały rok 1923 poświęcono kursom nauczycielskim. Trzy razy składali kandydaci nauczycielscy egzamina: w lutym, w sierpniu i listopadzie. Sprawę brano bardzo poważnie i ściśle. Kandydaci składali egzaminy piśmiennie i ustnie z wymaganych przedmiotów przez rząd w języku brazylijskim, z innych w języku polskim.

Ostatecznym rezultatem egzaminów tego roku było, że 56 nauczycieli i nauczycielek złożyło wymagane egzaminy, a wśród nich 20 Sióstr zakonnych, lubo sił nauczycielskich wtedy potrzeba było przynajmniej jeszcze raz tyle.

Jest to jednakże piękny owoc Rządu polskiego, Związku „Oświata" i innych towarzystw, bo wskutek ich zabiegów tutejsza Polonia zyskała w jednym roku tak pokaźną liczbę polskich sił nauczycielskich na ziemi brazylijskiej. Nauczyciele, mając świadectwo złożonych egzaminów, mogli już spokojnie uczyć w szkołach i szkółkach polskich. Owszem, mogą się wystarać o miesięczną zapomogę rządową w tych miejscowościach, gdzie nie ma szkoły rządowej.

---

[1]) »Lud« nr 2 z 5 stycznia 1923 r.

Władze szkolne przyjmują i w późniejszych latach i obecnie prośby kandydatów, chcących złożyć egzaminy nauczycielskie z przedmiotów przepisanych, aby uczyć w szkołach ludowych.

4) Szkoły Sióstr Miłosierdzia.

Mówiąc o nauczycielach i szkołach polskich w Brazylii, wspomnieć mi wypada choć krótko o tutejszych szkołach Sióstr Miłosierdzia, tym więcej, że one także do Związku „Oświata" należą.

Szkół siostrzeńskich jest spora liczba, a z każdym rokiem otwierają się nowe domy, a więc i nowe zakłady i szkoły naszych Sióstr. Ogólnie zaznaczyć trzeba, że szkoły siostrzeńskie stoją pod względem nauki na wysokim poziomie, czego jednakże niektóre jednostki „postępowe" uznać nie chcą.

Jak już wspomniałem, Siostry Miłosierdzia brały także udział w kursach nauczycielskich i to z pomyślnym skutkiem. W późniejszych latach również urządzają kursy pod przewodnictwem Siostry Stanisławy Perz, która jest zarazem instruktorką i inspektorką szkół siostrzeńskich. Każdego roku, przynajmniej dwa razy, odwiedza szkoły, bada ich poziom naukowy i udziela potrzebnych wskazówek na miejscu.

Nawet aspirantki siostrzeńskie przygotowują się w Abranches z przepisanych przedmiotów do egzaminu nauczycielskiego. Egzaminatorzy z Kurytyby zazwyczaj przyjeżdżają do Abranches i tu egzaminują piśmiennie i ustnie kandydatki, chcące składać egzaminy nauczycielskie.

Obecnie już wszystkie Siostry nauczycielki mają tutejsze egzaminy rządowe, mogą przeto uczyć bez przeszkody. Owszem, kilka z nich urodzonych w Brazylii, ukończyło szkołę n o r m a l n ą, czyli rządowe seminarium nauczycielskie, co poziom szkół naszych Sióstr znacznie podnosi.

W szkołach zakonnych pracują Siostry zwykle staranniej, sumienniej, stąd też widoczny jest skutek ich pracy. Lud polski, a także innej narodowości, ma często na miejscu szkołę rządową, w której za naukę nic się nie płaci, owszem dają darmo zeszyty i książki, a przecież posyła swe dzieci do szkół siostrzeńskich, choć w nich opłaca naukę, bo tam się ich dzieci więcej nauczą.

Takie jest ogólne przekonanie kolonistów polskich i nie polskich, jako też nieuprzedzonej inteligencji.

Spośród zakładów siostrzeńskich, dwa zasługują na szczególniejszą wzmiankę: w Abranches i w Iraty.

Szkoła w Abranches jest pierwszą, którą Siostry objęły w Paranie, do której je zaprowadzono w 1904 roku. Dzięki swemu bliskiemu położeniu podmiejskiemu stolicy Parany, Kurytyby, rozwinęła się bardzo, powiększano ją kilka razy [1]). Obecnie trzebaby ów zakład znów powiększyć, ale brak na ten cel funduszów. Mieści w sobie do stu dzieci internatowych, przeważnie brazylijskich, a uczęszcza do szkoły przeszło 150 dzieci, przeważnie polskich z Abranches i sąsiednich kolonij.

Na żądanie udziela się niektórym dzieciom dodatkowej nauki języka niemieckiego i francuskiego, jako też muzyki, malowania i haftów.

W bieżącym roku (1937) witały dzieci internatowe X. arcybiskupa i nowego prefekta kurytybskiego, który ma w zakładzie swoją wychowankę.

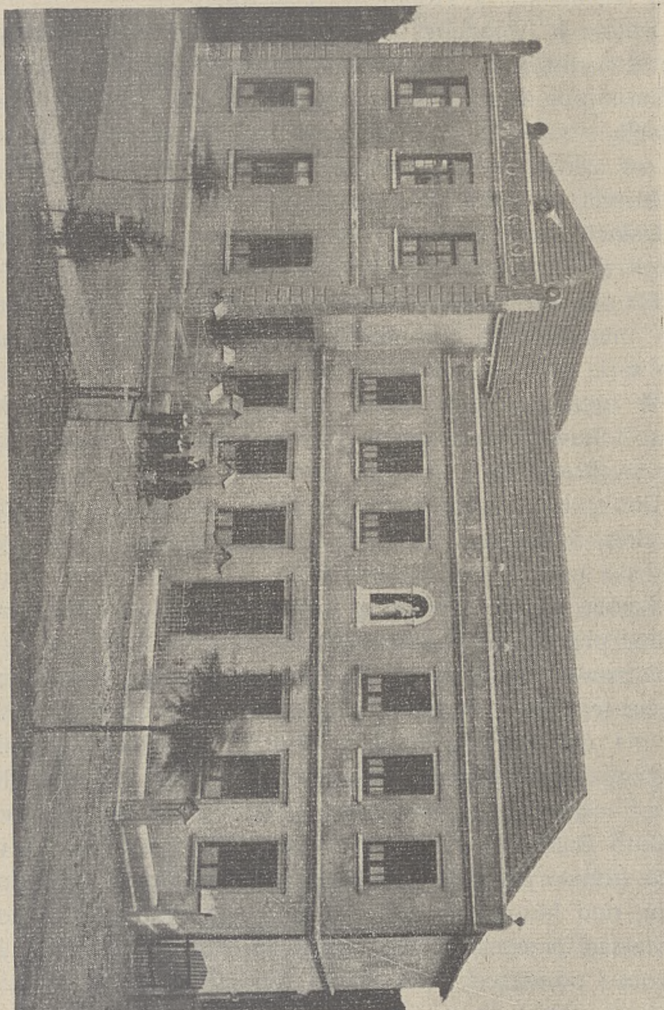
Robią nam szeroką drogę bitą, gościniec z Kurytyby do Abranches, a zboczenie do zakładu siostrzeńskiego daje prefektura kurytybska urządzić na własny koszt.

Szkoła naszych Sióstr w Iraty istnieje dopiero od kilku lat, a bardzo pięknie się rozwinęła. Nasi XX. Konfratrzy mają w tym mieście powiatowym dom i dwa kościoły, polski i brazylijski. Od przyjęcia tej parafii rozległej jest proboszczem X. Paweł Warkocz, który ma do pomocy dwóch konfratrów. Dzięki właśnie jego energicznym zabiegom i staraniom tamtejszej Siostry służebnej Heleny Olek, zakład bieżącego roku (1937) ukończono. Poświęcił go X. biskup Antonio Mozzarotto z Porta Grossy. Widnieje na jego szczycie frontowym statua Najświętszej Marii Panny od cudownego Medalu, pod której wezwaniem zbudowano go i poświęcono.

Zakład przedstawia się wspaniale. Jest obszerny i wygodnie urządzony; pomieścić może około 100 dzieci internatowych, a do 300 dzieci szkolnych.

---

[1]) O Abranches i domach Sióstr Miłosierdzia w Paranie i o ich zakładach, wspomina szczegółowo broszura: »Srebrny jubileusz działalności polskich Sióstr Miłosierdzia w Południowej Brazylii«.



Zakład św. Józefa.

Szkoła i kolegium Sióstr w Iraty istnieje w nader trudnych warunkach ze względu na konkurencję szkół miejscowych. Tuż obok zakładu znajduje się wielka szkoła rządowa *(grupo escolor)*, w której uczy coś przeszło 15 sił nauczycielskich i to wszyscy normaliści z ukończonym seminarium nauczycielskim. Prócz tego jest jeszcze druga szkoła polska, konkurencyjna, tamtejszych „postępowców", popierana i subwencjonowana przez rząd polski, stąd też słusznie szkoła i zakład Sióstr Miłosierdzia w Iraty ma prawo



Zakład.

do szczególniejszego poparcia ze strony przełożonych, gdyż jest ustawicznie śledzona i kontrolowana przez obcych i swoich kolegów i koleżanki w zawodzie nauczycielskim. A zdaje mi się — jak dotąd — chlubnie z tej kontroli wyszła, zdała egzamin dojrzałości. Brazylianie posyłają do niej swe dzieci; starsze panienki brazylijskie uczęszczają na lekcje muzyki, malarstwa, haftów.

Istnieje przy tym zakładzie przedszkole, ochronka dla dzieci polskich i brazylijskich.

5) Nauka wieczorna.

Niemal równocześnie z ukonstytuowaniem się Związku „Oświata" pomyślano o uzupełnieniu nauki dla dorastającej polskiej młodzieży w Kurytybie. Zarząd uchwalił na miesięcznym

zebraniu, a sekretarz X. Stanisław Piasecki umieścił w „Ludzie“ [1]) ogłoszenie tej treści:

„Związek Katolickich Szkół Polskich otwiera szkołę wieczorną w lokalu Tow. Tadeusza Kościuszki „Łączność i Zgoda“. Zapisy należy zgłaszać do Biura Związku Katolickich Szkół Polskich, Av. Jayrne Reis 115, listownie: Caisca postal 155. Tamże można otrzymać bliższe informacje dotyczące wpłaty i programu“.

Z kursów korzystali bursiści XX. Misjonarzy i spora liczba chłopców. Język brazylijski wykładał p. Modest Folarz, dyrektor seminarium nauczycielskiego, historię X. Jan Rzymełka, udzielał lekcji także i X. St. Piasecki.

Dla bursistów uczył bezpłatnie muzyki, gry na harmonium, X. Jan Rzymełka, również i brat Aleksander.

Nauka wieczorna uzupełniająca z polskich przedmiotów przy bursie naszych XX. Konfratrów istniała kilka lat.

„Oświata“ otwarła od 1 lipca tegoż roku (1922) naukę wieczorną dla dziewcząt.

Ogłoszenie umieścił „Lud“, naznaczając rozpoczęcie nauki 1 lipca w sali Tow. Tadeusza Kościuszki, trzy razy tygodniowo: we wtorki, środy i piątki od godziny 6 do 8 wieczorem za opłatą 3 milreisów od uczenicy. Kierowniczką nauki wieczornej miała być p. Maria Ficińska.

Zdaje się, że z nauki wieczornej dla dziewcząt nie było wielkiej korzyści i długo nie istniała. Najwięcej korzystali nasi bursiści z nauki wieczornej, zwłaszcza z nauki języka i historii Polski.

6) Nauczyciel wędrowny.

Związek „Oświata“ pragnął nie tylko dopomóc miejscowej młodzieży polskiej w Kurytybie przez udzielanie nauki wieczorowej, lecz pamiętał i o polskiej młodzieży rozrzuconej w małych koloniach, które nie mogą utrzymać stałego nauczyciela polskiego, postanowił tam posłać nauczyciela tymczasowego wędrownego, któryby dzieci polskie uczył przez kilka miesięcy a następnie udał się do innej osady polskiej.

---

[1]) »Lud« nr 6 z 9 lutego 1922 r.

Zarząd „Oświaty“ skorzystał z dobrowolnej ofiary p. Józefa Stańczewskiego, drugiego sekretarza Związku. Zapewne miał on zamiar bliżej i osobiście zapoznać się z naszym ludem w koloniach, poznać jego potrzeby i bolączki.

Sekretarz „Oświaty“, X. Piasecki ogłosił w „Ludzie“[1]), jakie zadanie ma spełniać nauczyciel wędrowny, ma uczyć dzieci najpotrzebniejszych rzeczy, jak czytać, pisać i rachunków. Naukę szkolną zacznie w Rio Vermelho w Stanie Swiętej Katarzyny, gdzie proboszczem był wówczas ś. p. X. Jacek Mięsopust.

W rzeczy samej w styczniu 1924 roku udał się p. Józef Stańczewski do Rio Vermelho, gdzie wtedy nie było polskiego nauczyciela i rozpoczął naukę z dziećmi naszych kolonistów.

Po kilku miesiącach udał się do Bateas, w tymże Stanie się znajdujące i tamże przez pewien czas udzielał nauki dzieciom polskim.

W Paranie był i drugi nauczyciel wędrowny, lecz nie posiadam o nim bliższych szczegółów.

Wielkie więc były cele i zamiary Związku „Oświata“, aby podnieść poziom nauki, oświaty między ludem polskim. Zdaje mi się jednak, że nauczyciel wędrowny i z najlepszą chęcią i poświęceniem przez trzy lub cztery miesiące nie wiele mógł nauczyć dzieci. Po jego zaś wyjeździe i to zapomniały zapewne, o ile nie wystarano się o stałego nauczyciela w tejże kolonii.

Od nauczyciela zaś wędrownego wymaga się ducha poświęcenia i zaparcia, a tego nie często się znajdzie między starszymi nauczycielami, a tym mniej między młodszymi.

Sprawę nauczyciela wędrownego poruszono w „Oświacie“ w późniejszych latach ponownie, ale projekt nie przyszedł do skutku, bo zabrakło drugiego Stańczewskiego [2]).

---

[1]) Nr 4 z dnia 11 stycznia 1924 r.

[2]) Ś. p. Józef Stańczewski zmarł nagle na udar serca 10 lutego 1935 r. jako nauczyciel w małej kolonii polskiej Rio Azul w Stanie Parany. Urodził się w Wąbrzeźnie na Pomorzu. Służył w czasie wojny europejskiej w armii generała Hallera. Przybył do Brazylii, aby pracować dla polskich kolonistów. Zadanie „Ludu“ i „Oświaty“ mu się podobało, to też był szczerym i oddanym przyjacielem naszego Zgromadzenia.

7) Biblioteka wędrowna.

Szczęśliwy człowiek, który zna sztukę czytania i pisania, można z nim się porozumieć i na niego wpływać nie tylko listami, lecz także przez dobrą gazetę lub książkę. O tym pamiętał Zarząd „Oświaty“, stąd ta wielka łączność z gazetą „Lud“ i wpływ przez dobre książki na naszych kolonistów.

Jeszcze w czasie organizacji Związku „Oświata“ myślał X. Piasecki, redaktor „Ludu“, o bibliotekach ludowych. To też odzywał się w tygodniku prosząc o książki przeczytane dla członków „Oświaty“ i o nabycie małych biblioteczek. Czytamy bowiem w „Ludzie“ [1]: „Uprasza się rodaków, zwłaszcza inteligentnych, którzyby posiadali przeczytane już książki lub też małe biblioteki, by je celem sprzedaży łaskawie z podaniem tomów i zniżonej ceny do Związku „Oświata“ zgłaszać zechcieli listownie lub też osobiście.

Darowizny z książek przyjmuje się z podziękowaniem“.

Odezwa i prośba nie została bez skutku. Nadesłano znaczną część książek darmo lub za małym wynagrodzeniem.

Biblioteczka podręczna, wędrowna, składała się zwykle z 25—30 tomików, które się wkładało do skrzyni celem przesyłki jej do Towarzystwa lub Stowarzyszenia należącego do Związku „Oświata“. Po przeczytaniu książek przez członków w trzech miesiącach miano je dalej przesłać do innej kolonii, pod podanym adresem.

Liczba tych biblioteczek wędrownych niemal z każdym rokiem wzrastała. Czytamy w „Ludzie“ [2]: „Związek zawiadamia, że niezależnie od wysłanych do szkół biblioteczek uruchomił jeszcze 9 bibliotek wędrownych“. Następnie wymienia kolonie, do których biblioteczki wędrowne skierowano. Członkowie Towarzystwa lub szkół, należący do Związku „Oświata“, korzystają z biblioteczek bezpłatnie.

Sprawozdanie z III Walnego Zjazdu Związku „Oświaty“ zaznacza, że w 1923 roku wysłano już 18 biblioteczek wędrownych, a więc podwójną liczbę, niż poprzedniego roku. Podaje

---

[1]) Nr 12 z dnia 23 marca 1922 r.

[2]) Nr 12 z dnia 23 marca 1922 r.

również liczbę biblioteczek wysłanych do każdego Stanu i tak do Towarzystw w Paranie wysłano 13, do Santa Catharina 3, a do Rio Grando do Sul 2; następnie wysłano jeszcze 3 biblioteczki. W ogóle w tym roku i w następnych latach było między ludem polskim w koloniach przeszło **1 200 książek.**

Biblioteczka wędrowna, każda książka w niej zawarta jest wielkim czynnikiem oświatowym dla naszych kolonistów, o ile z niej potrafili lub chcieli korzystać.

Z drugiej strony widzimy olbrzymią działalność Związku „Oświata", która przez dobre książki działa na tysiące naszych kolonistów.

Uzupełnieniem niejako biblioteczek wędrownych były z ramienia „Oświaty" urządzane w Kurytybie i koloniach polskich odczyty, zwykle z wyświetlaniem przeźroczy. Wygłaszał je X. Jan Rzymełka, prezes „Oświaty" lub jej sekretarz X. Stanisław Piasecki.

W roku 1922 roku wygłosił X. Jan Rzymełka 15 odczytów na temat powstałej Polski, jej walk i organizacji wewnętrznej. X. Piasecki wygłosił w tymże roku 5 odczytów.

W następnych latach również wygłaszano różne odczyty na zebraniach Towarzystw w koloniach podkurytybskich i dalszych w stolicy Parany. Największa liczba odczytów wypada zapewne na 1926 r., bo wygłoszono ich 32 z zarządu „Oświaty".

Nie tylko więc przez książkę oddziaływała „Oświata" na lud polski, lecz osobiste zetknięcie się z nim, przez przyjazne słowa, opowiadania, sprostowania fałszu i zachęty, czyli przez popularne odczyty!

8) Kółko nauczycieli chrześcijańskich.

Przy Związku „Kultura" utworzono specjalny „Związek Nauczycieli Szkół Polskich w Brazylii", do którego należeli nauczyciele postępowi, członkowie „Kultury". Ale nie wszyscy nauczyciele polscy mieli te same zasady i poglądy na wychowanie dzieci w szkole bez nauki religii, nie wszyscy przeto wpisali się do wspomnianego Związku nauczycieli „postępowych" w niedowiarstwie, należało przeto pomyśleć o założeniu katolickiego Związku nauczycieli.

To właśnie uczyniła „Oświata". Już na drugim Walnym Zjeździe „Oświaty" 21 stycznia 1923 roku oświadczył jej sekretarz X. Stanisław Piasecki panu Jeziorowskiemu, delegatowi Związku Nauczycieli przy „Kulturze", że zakłada się przy „Oświacie" również Związek jej nauczycieli na tych samych warunkach, co w „Kulturze" [1]).

W rzeczy samej zarząd Związku „Oświata" ten zamiar przeprowadził.

Po ukończeniu kursów nauczycielskich w języku brazylijskim (1923), zaprosił prezes „Oświaty", X. Jan Rzymełka i jej sekretarz, X. Stanisław Piasecki, kilku nauczycieli do bursy XX. Misjonarzy na posiedzenie organizacyjne. Założono na nim „Kółko Nauczycieli Chrześcijańskich" [2]), wybrano jego zarząd i podano projekt ułożenia statutów.

Do „Kółka Nauczycieli Chrześcijańskich" należeli:

1. Nauczycielki zakonne Sióstr Miłosierdzia i Rodziny Marii;
2. Nauczyciele z bursy XX. Misjonarzy, nasi wychowankowie;
3. Część świeckich nauczycieli i nauczycielek, nie należących do Związków nauczycieli przy „Kulturze".

Kilku jednakże nauczycieli zostało „dzikimi", czyli nie należeli ani do Związku nauczycieli przy „Kulturze" ani do Kółka nauczycielskiego przy „Oświacie".

Liczba nauczycieli należących do Kółka z każdym rokiem wzrastała, dochodziła nawet do 70 członków. Kółko nauczycieli posiadało własny zarząd, urządzało roczne zebrania, zwykle w czasie wakacyj szkolnych około Nowego Roku. Miało i własną biblioteczkę przeważnie treści pedagogicznej; wydało w 1927 roku dla użytku kolegów własnym nakładem katalog dzieł pedagogicznych.

Z początkiem roku 1927 odprawiła z uczniami część członków „Kółka nauczycielskiego" przykładnie trzechdniowe rekolekcje w bursie XX. Misjonarzy.

Wogóle członkowie „Kółka" jako nauczyciele wierzący, przykładnie się prowadzili a mieli swe oparcie na Związku „Oświata".

---

[1]) „Lud" Nr 12 z dnia 9 lutego 1923 r.

[2]) Nazwa jest niewłaściwa bo chrześcijanami są także protestanci, kalwini, heretycy, którzyby do tego „Kółka" należeć mogli. Należało nazwać „Kółko Nauczycieli Katolickich" — a nie chrześcijańskich.

Połączenie Związku Nauczycieli i Kółka nauczycielskiego w Związek Zrzeszenia Nauczycieli.

Aby nadać większej siły i spoistości tutejszemu nauczycielstwu polskiemu dążyli konsul Zbigniew Miszke i naczelny instruktor Jerzy Ostrowski do jego złączenia się i zlania w jeden Związek. I „Oświata" pod pewnymi warunkami i zastrzeżeniami zgadzała się na powyższy projekt.

W uroczystość świętych Trzech Króli, dnia 6 stycznia 1928 r., odbyło „Kółko Nauczycieli Chrześcijańskich" swoje Roczne Walne Zebranie przy udziale 17 członków i 8 gości. Omawiano warunki połączenia szczegółowo; po wzajemnych ustępstwach doszło do połączenia obydwóch stowarzyszeń nauczycielskich w jeden związek pod nazwą „Zrzeszenia Nauczycieli Szkół Polskich w Brazylii". Dokonano tego dzieła wieczorem 6 stycznia 1928 r. w sali bursy XX. Misjonarzy w Kurytybie w obecności polskiego konsula i naczelnego instruktora.

Wszyscy obecni zadowoleni i ucieszeni z dokonanego dzieła a przy małym posiłku i herbatce składali sobie wzajemnie życzenia pomyślnej wspólnej pracy w Zrzeszeniu Nauczycieli polskich na ziemi brazylijskiej. Objawem zewnętrznym tej radości był wspólny śpiew naszych pięknych kolęd i pieśni narodowych.

Od tego czasu Związek „Oświata" przelał niektóre sprawy szkolne na „Zrzeszenie Nauczycieli", jak: urządzanie kursów nauczycielskich, program nauki w szkołach, ujednostajnienie i wydawnictwo podręczników szkolnych, obsadzenie posad szkolnych i troskę o otrzymanie nauczycieli. Jednakże „Oświata" i nadal popiera moralnie te sprawy szkół polskich, zwłaszcza tych nauczycieli, którzy należeli i dotąd należą do jej Związku.

W ten sposób „Kółko Nauczycieli Chrześcijańskich", po czterech latach istnienia zakończyło swoją samodzielną pracę lubo ściśle, w porozumieniu z „Oświatą" ją wykonywało.

„Zrzeszenie Nauczycieli" istnieje już dziewięć lat, lecz przewagę w nim mają jednostki postępowe. W ostatnich czasach coraz mniej o nim słychać... Oby nie poszło za przykladem postępowców z „Kultury" i nie zasnęło na zawsze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X. LEON RANKOWSKI.

Misja w kościele Bożego Ciała przerwana czynem bojowym parafian [1]).

(Wspomnienia z przed lat dwudziestu).

Wielkopolska, a szczególnie Poznań, przypomina sobie z dumą i radością każdego roku w dniu 27 grudnia bohaterski swój czyn powstańczy, ową chwilę pamiętną, w której obywatele nasi z bronią w ręku złamali i zniszczyli przemoc zaborcy pruskiego, a władze i rządy nad ziemią Piastową sami przejęli w ręce swoje.

Hasłem i pobudką powstania wielkopolskiego był przyjazd i wjazd triumfalny do Poznania Ignacego Paderewskiego, który będąc w czasie wojny w Ameryce, zbliżył się do prezydenta Stanów Zjednoczonych jako nauczyciel muzyki córki Wilsona i niewątpliwie w głównej mierze przyczynił się do postawienia wśród warunków pokoju punktu, tyczącego się wskrzeszenia Polski z dostępem do morza.

O zasługach jego wiedziała Polska cała, wiedziała i nasza dzielnica, dlatego też zgotowała mu w wieczór 26 grudnia 1918 r., kiedy zawitał po różnych przeszkodach ze strony Niemców do grodu Przemysława — iście królewskie przyjęcie.

Nieprzeliczone tłumy ludzi, cały ówczesny Poznań wybiegł na jego spotkanie i przywitanie na dworzec kolejowy i w uroczystym pochodzie wśród setek sztandarów, przy świetle pochodni, wśród radosnych śpiewów, przeprowadził tego zwiastuna wolności i niepodległości do mieszkania przygotowanego dla niego i jego małżonki w Bazarze.

Z okna mieszkania przemawiał Paderewski owej nocy do tysięcznej rzeszy, zebranej przed hotelem.

---

[1]) »Tygodnik Kościelny parafii Bożego Ciała«, Poznań, z 25 grudnia 1928 r. — Napisał X. prałat Rankowski, proboszcz.

Na ścianach tego domu w kilka lat później wmurowano z tego powodu tablicę pamiątkową.

Nazajutrz w piątek, 27 grudnia, w trzecie święto Bożego Narodzenia, dzieci, prowadzone przez swoich proboszczów, złożyły przed południem w niekończących się szeregach hołd Paderewskiemu przed Bazarem, a po południu padły pierwsze strzały powstania!...

W związku z powstaniem wielkopolskim zaszły i w życiu kościelnym naszej parafii wydarzenia, o których wspomnieć warto choćby dlatego, ażeby je odświeżyć w pamięci tych wszystkich parafian żyjących jeszcze i tych, którzy jako dzieci je wówczas przeżywali.

Po zawieszeniu broni i podpisaniu rozejmu w dniu 11 listopada 1918 roku skończyła się po czterech i pół latach wojna narodów i zakończyła się zupełną klęską Niemców oraz ich nieszczęsnych sojuszników. Z tą chwilą zaczęło się zwalnianie żołnierzy z niemieckiej służby wojskowej na wszystkich frontach i odsyłanie ich do domu. Droga z rozmaitych pobojowisk do kraju ojczystego była daleka i wielce utrudniona dla naszych wojaków z powodu braku wagonów kolei żelaznej; niektórzy tygodniami szli pieszo do najbliższej stacji kolejowej, a potem sadowili się na dachach wagonów i gdzie tylko mogli, żeby jaknajprędzej dostać się na łono rodziny.

W miesiącu grudniu już coraz więcej było widać w Poznaniu na ulicach i w kościołach byłych uczestników wojny, a wszyscy w mundurach, bo innych ubrań przeważnie jeszcze nie mieli. Do kościoła przychodzili nawet w szeregach pod komendą swoich „starszych", nie umieli jeszcze przemienić się w cywilistów, wciąż jeszcze czuli się żołnierzami w przeczuciu, że trzeba będzie walczyć jeszcze dla własnej polskiej sprawy.

Kiedy już mniej więcej wszyscy zdrowi uczestnicy wojny byli powrócili do parafii, postanowił X. proboszcz Rankowski urządzić w kościele uroczyste powitanie w ostatnią niedzielę starego roku, dnia 29 grudnia 1918 roku, podobnie jak w pierwszą niedzielę sierpnia 1914 r., kiedy wyruszali na wojnę, zgotował im rzewne pożegnanie. W łączności z powitaniem miała się zaraz rozpocząć dla byłych wojaków misja kilkodniowa w kościele Bożego Ciała.

Wszystko na tę ucztę duchowną było przygotowane, prowadzić ją mieli i nauki wygłaszać dwaj Ojcowie ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy z Krakowa: X. Lorek, dzisiejszy biskup sandomierski i X. Szymbor, obecny rektor śląskiego seminarium duchownego.

Aż tu wybucha powstanie wielkopolskie w piątek 27 grudnia, a w sobotę, dzień przed rozpoczęciem misji, wszyscy wojacy jak jeden mąż zaciągają się do wojska polskiego. Trzeba więc było z konieczności odłożyć powitanie i misję na inny dzień. Tymczasem wojsko polskie i straż ludowa bardzo prędko zapanowały nad sytuacją w mieście, tak że już na dzień 1 stycznia 1919 r. można było zapowiedzieć powitanie i początek misji dla parafian przybyłych z wojny.

Po południu tego dnia o godzinie 2½ zebrało się około tysiąca mężczyzn, ubranych przeważnie w mudury wojskowe niemieckie, ale już z orzełkami polskimi na czapkach, na przestronnym dziedzińcu kościoła naszego. Ustawieni w szeregi, weszli w uroczystym pochodzie, przy śpiewie pieśni „Kto się w opiekę", poprzedzani przez wszystkich naszych kapłanów, w progi świątyni. Z ambony przemówił w serdecznych słowach X. Proboszcz i powitał ich imieniem całej parafii, wyrażając radość z ich szczęśliwego powrotu.

Następnie rozpoczęła się misja; udział mężczyzn był bardzo liczny. Codziennie wygłaszali Ojcowie Misjonarze trzy nauki, pierwszą o godzinie 6 rano, drugą o godzinie 3 po południu, a trzecią o godzinie 8 wieczorem. Nauki te przeplatane były różnymi nabożeństwami. Po walkach ulicznych w mieście Poznaniu w ostatnich 5 dniach starego roku, uwaga wszystkich była nader czujną w oczekiwaniu nowej strzelaniny. Wojacy jednym uchem słuchali nauk misyjnych, a drugie ucho nastawiali, rychło li zabrzmi trąbka wojenna.

I otóż trzeciego dnia misji, wieczorem przed godziną 8, kiedy już wszyscy wojacy byli w kościele, dały się słyszeć strzały karabinowe i wybuchy pocisków z zachodniej strony miasta. Za chwilę przyszła wiadomość, że to Niemcy zdobywają dworzec kolejowy, aby go wydrzeć Polakom i wysłać za granicę wielkopolską nagromadzone w wagonach zapasy.

Po krótkiej naradzie z Ojcami Misjonarzami zarządził X. Proboszcz, że nauka wieczorna nie odbędzie się, a wszyscy wojacy wprost z kościoła pójdą bronić dworca.

W jednej chwili opróżniony został kościół, a wojacy spiesznym krokiem pod wodzą swoich drużynowych pp. Bolesława Winiewicza, Józefa Schmidta i Grainerta, wyruszyli w stronę dworca zagrożonego. Po drodze zatrzymali się przy reducie Grolmana, gdzie otrzymali z nagromadzonych tamże zapasów amunicji, broń.

Walka na dworcu była krótka, oddział niemiecki wycofał się wobec przewagi naszych powstańców. Strzały wkrótce ucichły. Nazajutrz rano o godzinie 6 wszyscy uczestnicy misji znowu byli w kościele na nauce misyjnej, a w niedzielę, 5 stycznia 1919 r. w liczbie 1 400 osób przystąpili do Stołu Pańskiego i po strasznych przejściach wojennych odświeżyli w sobie na nowo ducha wiary i pobożności.

Taki był zbiorowy czyn wojenny naszych dzielnych parafian wśród pamiętnego powstania wielkopolskiego.

X. K. BRODA

Z działalności wileńskiej grupy misyjnej w 1937 roku.

(Ciąg dalszy).

1. Misja w Wojstomiu, dekanatu i powiatu wilejskiego (21 — 27 lutego).

Gdzie czcigodni ojcowie poprzednicy nasi: księża Odrobina i Hładki, rzęsiście pot swój wylewali przy zasiewaniu słowa Bożego (był to przecież miesiąc czerwiec), tam, my, w dniach od 21 do 27 lutego br., podlewaliśmy to, co oni przed dwunastu laty zasiali. Jest to parafia Wojstom. Tu właśnie X. Stanisław Ciszowski wraz z piszącym te słowa, przeprowadzili w wyżej podanym terminie misję parafialną. Szkoda, że z misji z przed 12 laty nie dochowały się żadne zapiski w kronice misyjnej, bo możnaby przeprowadzić pewne porównania. Niestety, trzeba się zatem zadowolić tym, co dziś widzimy.

Parafia wojstomska liczy dziś 5 800 dusz katolickich. Na tym samym terenie znajduje się ponad 10 000 prawosławnych, których największe skupienia znajdują się na peryferiach parafii. Z tej przytłaczającej liczby prawosławia udało się nam uszczknąć zaledwie 9 osób, które przeszły na katolicyzm.

Życie religijne osób ciemnych i nieuświadomionych, a żyjących w diasporze siłą faktu musi słabnąć. Namacalny dowód tego możemy zaobserwować właśnie w Wojstomiu: nagminne niechodzenie do kościoła, praca w niedzielę i święta, rzadkie przystępowanie do sakramentów świętych (poza komunią wielkanocną tylko 1 000 komunii św.), sprzyjanie komunizmowi i wreszcie zawieranie małżeństw w cerkwi. Dziewczęta zresztą bardzo chętnie wychodzą za prawosławnych, a w większości wypadków ślub biorą

w cerkwi. Do tego stanu wielce przyczyniła się budowa kościoła, zresztą bardzo powolna, bo w przeciągu 14 lat podniósł się zaledwie 4 metry ponad fundamenty. Żeby powyższą budowę zakończyć, trzeba koniecznie energicznie zbierać składki, a lud jest ubogi i niechętny, więc idzie do cerkwi, gdzie tych ciężarów nie ma.

Warunki materialne nie sprzyjają bynajmniej rozwojowi życia religijnego. Nędzę, jaką się tu widzi, rzadko gdzie spotkać można. Wojna światowa doprowadziła tu wszystkich do takiego stopnia nędzy i ruiny, że dzisiaj po dwudziestu latach nie mogą tutejsi chłopi przyjść do siebie i podnieść się z niej. Tu mianowicie przez dwa lata trwała walka pozycyjna. Ogromne wyrwy i leje są tego dowodem, a okopy i schrony żelbetonowe wyglądają tak, jakby co dopiero powychodzili z nich żołnierze, lecz burzyć ich nie można, bo tworzą linię obronną na wszelki wypadek... Mnóstwo wspólnych mogił rozsianych po polach tworzy jakby ukryte kadzie napełnione tłuszczem... Byle gdzie można się natknąć na niewyeksplodowane granaty. — To wszystko razem wzięte stanowi ogromną przeszkodę w uprawie roli. Przy intensywniejszej pracy możnaby te trudności pokonać, ale konserwatywny nasz ludek stroni od tego, co wymaga pracy większej niż normalnej i dlatego pozostaje w nędzy ze swoją kulturą rolną z przed stu laty. A więc nędza i jeszcze raz nędza. Widzi się ją nie tylko na lepiankach, ale i na odzieży także. Zewnętrznym symbolem tego wszystkiego jest obecny prowizoryczny kościółek z nędznych desek sklecony, w którym dmie wiatr niezgorzej jak w otwartym polu; istna stajenka, a nie kościół. W czasie misji obawialiśmy się, że wierni rozniosą ten przybytek Boży na ramionach; taki panował ścisk, że aż ściany i wiązania trzeszczały.

Mimo tych i innych bolączek frekwencja na misji była nadzwyczajna, mimo zadymki śnieżnej i silnego, dokuczliwego mrozu. Do sakramentu pokuty przystąpiło około 4 500 osób, w tym: w komplecie policja, urzędnicy gminni, a częściowo i nauczycielstwo. Jeżeli chodzi o urzędników, to w stu procentach przyczyniła się do tego deklaracja płka Koca! Misję zbojkotowali jedynie ziemianie, z których ani jeden nie zjawił się na misji. Odpowiednią dawkę otrzymali za to w ostatnim kazaniu pod krzyżem. Obywatelstwo jest tu wogóle nie wierzące i niepraktykujące, a w kościele

zjawia się najwyżej raz do roku i to jeszcze nie zawsze. Smutny to przykład dla maluczkich. Cieszyć się będzie trzeba, kiedy zniknie wielka własność przez reformę rolną, bo nie ma z niej wielkiej pociechy ani dla kościoła, ani dla państwa! Nawet pod względem materialnym nie stanowią pożytku, o czym doskonale może poinformować miejscowy proboszcz X. Stanisław Więckiewicz, który niejednokrotnie zwracał się do ziemiaństwa miejscowego z prośbą o pomoc przy budowie kościoła, ale jak dotychczas to bezskutecznie, lecz i bez ich pomocy stanie w Wojstomiu godna świątynia.

2. Misja w Nowogródku, diecezja pińska
(14 — 20 marca).

Dnia 13 marca wieczorem wyruszyłem wraz z X. sup. St. Szadką w stronę Nowogródka. W drodze przyłączył się do nas X. St. Ciszowski, wracając z Bieniakoń, gdzie przeprowadził rekolekcje wielkopostne. Do Nowojelni koleją normalno-torową, jechało się nam gładko, gorzej jednak było samowarkiem z Nowojelni do Nowogródka; lokomotywa ciągle przystawała z braku pary, jak nas objaśniał konduktor, a zanim nazbierano odpowiednią ilość śniegu, zawsze to jednak zabierało trochę czasu. Mimo to jednak jedziemy, powoli co prawda (26 klm na dwie godziny!) ale zawsze naprzód! Wagonik kołysze się na wszystkie strony jak łódka rybacka na oceanie, a na najmniejszym nawet zakręcie grozi przewróceniem (rzecz dziwna, że zawsze w stronę X. Szadki!). Szczęśliwie jednak i cało dotarliśmy na miejsce przeznaczenia.

Nowogródek, noszący dumną nazwę miasta wojewódzkiego, jest właściwie nędzną mieściną o 10 000 mieszkańców, o większości „mniejszości" synów Izraela. O zamierzchłej i chlubnej przeszłości Nowogródka świadczą dziś już tylko ruiny zamku i pałace książąt Radziwiłłów, Sapiehów itd. Z bogatej przeszłości pozostała dziś tylko nędza, Widoków na lepszą przyszłość brak, bo Nowogródek nie posiada połączenia ze światem koleją normalno-torową i stąd jest bardziej upośledzony od takiej Nowojeli, odległej o 25 klm, która napewno w przyszłości zakasuje Nowogródek, tym bardziej, że już dziś słynie jako pierwszorzędne letnisko i posiada połączenia kolejowe w trzech kierunkach, a w projekcie

istnieje czwarta linia w kierunku Słonim — Warszawa. Nowojelnia jest ponadto doskonałym punktem wyjściowym dla turystów wałęsających się po nowogrodczyźnie. Obecne sztuczne podtrzymywanie Nowogródka, nie daje zamierzonego rezultatu, a nawet przyczynia się do jego szpecenia; tu i tam wśród nędznych, walących się ruder żydowskich, strzela ku niebu nowoczesny żelbetonowy gmach państwowy, łącząc europeizm z azjatyzmem. Jest to podobne do żebraka obdartego wprawdzie, ale w nowym meloniku od Mieszkowskiego z Nowego Świata. Nowogródek byłby ładny, gdyby albo pozostawiono go takim, jakim jest, albo gdyby całkowicie go zburzono i ewentualnie na nowo zbudowano, ale to ostatnie nie jest konieczne...!

Zewnętrzny wygląd Nowogródka jest odbiciem jego oblicza wewnętrznego, religijnego. Ongiś Nowogródek był czysto katolicki i posiadał sześć kościołów: fara, dominikański, franciszkański, bazyliański i jakichś zakonniczek. Dzisiaj katolików jest 2 500 w samym mieście i 1 500 w okolicznych wioskach, w promieniu 12 klm, Na tym samym terenie zamieszkuje około 12 000 prawosławnych i ca 6 000 żydów. Dawna fara jest dziś kościołem zakonnym SS. Nazaretanek, kościół jezuicki i po zakonniczkach zamieniono na domy mieszkalne, u franciszkanów i bazylianów siedzą popi prawosławni. Kościoł podominikański pod wezwaniem św. Michała. a fundacji Krzysztofa Chodkiewicza z roku 1624 jest dziś kościołem parafialnym, a za czasów diecezji mińsko-nowogrodzkiej, tj. 1919 — 1925 roku był nawet katedrą.

Parafianie nowogrodzcy w 70%, to urzędnicy wraz z rodzinami. Pod względem religijnym element nieciekawy, chociaż i wśród nich nie brak jednostek dobrych i gorliwych. Ogół jednak jest obciążony atawizmem z okresu „radosnej twórczości", w którym urzędnik niereligijny był mile widziany, a szczera religijność rzucała podejrzenie, że się jest „niebłaganadiożnyj". W celu przeciwdziałania tej chorobie czasu założono przy kościele parafialnym „Koło studiów katolickich",rozszerzające w szerokich kołach uświadomienie katolickie.

Widząc taki stan rzeczy, nie żałowaliśmy obroku duchowego w czasie misji. I tak X. sup. Szadko wygłosił 10 nauk dla pracowników biurowych, a dla reszty parafian X. Ciszowski 9, a ja

13, czyli razem wygłosiliśmy 32 kazania. Niemało wysiłku kosztowało nas, aby trafić do zobojętniałej mentalności i nie chwaląc się, nie bez skutku, bo na 4 000 parafian do spowiedzi przystąpiło ponad 2 000 osób bez młodzieży szkolnej, co stanowi około 95% spowiadających się. Komunii zaś wydano w ciągu misji 4 800. Oprócz tego zlikwidowaliśmy jeden konkubinat i dwie pary nieślubne doprowadziliśmy do ołtarza. Na łono kościoła katolickiego przeszło z prawosławia 7 osób, w tym cała jedna rodzina, oraz po chrzest zgłosił się jeden mahometanin, którego oddaliśmy miejscowemu prefektowi na przeszkolenie. Wynik misji zatem zadawalniający.

Zakończenie misji było ogromnie podniosłe i chwytające za serce. Szkoda tylko, że X. Superior nie mógł tego oglądać, bo przed zakończeniem, w sobotę rano musiał wyjechać do Grodna, by tam przeprowadzić rekolekcje dla inteligencji. — Ogromny kościół, mogący pomieścić do trzech tysięcy osób, wypełniony był po brzegi, że trudno nawet było przejść z procesją. W oczach wszystkich, tak inteligentów, jak i nieinteligentów, stały łzy, a nawet tu i tam słychać było głośny szloch w czasie ostatniego, pożegnalnego kazania. Po odśpiewaniu „Te Deum" i odmówieniu modlitw na zakończenie misji nikt nie ruszył się z kościoła, wszystko stało murem, jakby jeszcze czegoś oczekiwało, mimo, że miejscowy proboszcz, X. dziekan Michał Dalecki, aż trzykrotnie ogłaszał, że już wszystko skończone, lecz nie skutkowało to. Wobec tego jeszcze raz się zjawiłem na ambonie, przemówiłem kilka słów i zaintonowałem „Wszystkie nasze dzienne sprawy" (była to godzina 7 wieczór). W czasie śpiewu dopiero audytorium przyszło do siebie i po skończonej pieśni zaczął się powoli kościół wypróżniać. Miła to była zatem nagroda za tyle włożonego znoju.

Po tej misji rozjechaliśmy się w różne strony. X. sup. Szadko do Grodna z rekolekcjami, jak to już wyżej zaznaczyłem, X. Ciszowski do Wilna, aby nasze babki w kościele misjonarskim do pokuty doprowadzić, a ja udałem się do odległego o 15 klm od Nowogródka Wsielubia, by w tamecznym kościele przeprowadzić rekolekcje wielkopostne.

---

3. Misje w Szydłowicach, dekanatu i powiatu wołkowyskiego.

(4 — 10 kwietnia)

Szydłowice, to stara parafia, bo założona już w roku 1511. Pierwszy kościół był drewniany, fundacji SS. Krupskiego i pod wezwaniem św. Trojcy. Chylący się ku upadkowi w roku 1914 został ten drewniany kościół zastąpiony nowym, murowanym w stylu gotyckim, ufundowany ze składek parafian. Jest to olbrzym, mogący pomieścić ponad 5 000 osób. Posiada jednak tę wadę, że jest nieakustyczny i mówi się w nim, nie przymierzając, jak do próżni. Ponad to stoi na wzgórzu i ulega mocno wpływom atmosferycznym, że większe i mniejsze kawałki cegieł lecą z niego jak gruszki z drzewa. Ostatnie kazanie mówiłem na cmentarzu kościelnym pod ścianą kościoła, lecz cały czas drżałem o swoje marne życie, bo wiatr i kawki zrzucały w moją stronę całe połacie tynku i próchniejącej cegły.

W czasie wojny światowej kościół ten był pod obstrzałem artylerii niemieckiej i rosyjskiej. Mocno zatem ucierpiał od pocisków. Wśród wielkich trudności został odrestaurowany w r. 1927, ale dziś, po dziesięciu latach, przedstawia widok z przed restauracji. Parafianie szydłowieccy są 90% małorolni i dlatego nie zdołają tej świątyni utrzymać w należytym stanie przy dzisiejszej złej koniunkturze. Jeżeli zaś dzieło zniszczenia pójdzie w tak szybkim tempie naprzód jak obecnie, kościół ten prędzej czy później runąć musi.

To jest zewnętrzny, materialny obraz Szydłowic. Wewnętrzny, duchowy przedstawia się o wiele lepiej. Wielkim plusem tej parafii jest to, że jest jednolitą, czysto katolicką, Tylko jedna osoba prawosławna znajdowała się na terenie parafii ale i ta w czasie misji przyjęła katolicyzm. Nie zamieszkuje tu też ani jeden żyd. Ludność miejscowa rozmawia między sobą dość poprawnym polskim językiem. Jest to zatem oaza i katolicyzmu i polskości wśród morza prawosławia i białoruskości powiatu wołkowyskiego.

Życie religijne także dość dobrze się tu rozwija. Zasługę w tym mają także i misjonarze, którzy tu pracowali w roku 1924 w osobach księży Odrobiny i Hładkiego. Ojcowie ci przypominają się parafianom potężnym dębowym krzyżem misyjnym, usta-

wionym przy wejściu do kościoła. Parafianie szydłowiccy, tak jak do naszych ojców i do nas się garnęli, o czym może poświadczyć liczba spowiedzi wyrażająca się cyfrą 4 350 i komunii św. 10 500 na ogólną liczbę parafian 5 000! W ciągu całej misji panował wielki entuzjam, który doszedł do punktu kulminacyjnego w dniu zakończenia misji. Około pięcio tysięczna rzesza z ogromnym przejęciem się, uczestniczyła w końcowych nabożeństwach. Wiele osób przybyło z sąsiednich parafij, jak Mścibowa, Hniezna i Werejek. Po ostatnim kazaniu cały ten tłum samorzutnie odprowadził nas procesjonalnie na plebanię śpiewając „My chcemy Boga". Tu przed plebanią przedstawiciele poszczególnych organizacyj i społeczeństwa wyrażali kolejno swoje uczucia i podziękowania dla misjonarzy za podjęty trud. Szczególniej mocno wybijały się podziękowania nauczycielstwa z terenu parafii, wypowiedziane szczerze, dobitnie i ze łzami przez ich przedstawiciela, miejscowego kierownika szkoły. Na taki hołd serdeczności odpowiedziałem w kilku słowach, dziękując za tyle uczuć, których doznaliśmy ze strony parafian w ciągu tych siedmiu dni misyjnych. Okrzykiem na cześć Chrystusa Króla zakończyliśmy uroczystość.

Natychmiast po spożyciu smacznego obiadu, powracaliśmy z X. Ciszowskim w stronę Wilna na 7 dniowy odpoczynek, żegnani serdecznie przez miejscowego proboszcza X. Edwarda Ciechanowskiego.

4. Misja w Szyłanach, pow. wileńsko-trockiego, dek. kalwaryjskiego.
(18 — 24 kwietnia).

Wiele jest miejsc na kuli ziemskiej upośledzonych przez człowieka nie dlatego jakoby na takie traktowanie zasługiwały lecz jedynie z tej prostej przyczyny, że nie zostały odkryte dla ogółu. Późniejszy zaś swój rozgłos zawdzięczają przypadkowi i materializmowi ludzkiemu.

Do takich dziur zabitych „deskami" zaliczają się Szyłany. Trudno uwierzyć, że tak blisko Wilna mogła istnieć podobna „dziura". Zaledwie 16 klm dzieli Szyłany od Wilna. Lecz naprożno szukałbyś do nich jakiegoś ludzkiego dojazdu. Z Wilna do Szołtaniszek prowadzi tam coś takiego, co po tutejszemu nazywa się drogą polną a właściwie robi wrażenie jakby naumyślnie posta-

wionej przeszkody, by nikt tu nie jeździł, a ktoby odważył się to uczynić odczułby zemstę „drogi" na własnych kościach...! Wzdłuż tej „drogi" nie zobaczy się nic ciekawego prócz kilku nędznych chat chłopskich i ich stróżów — wyleniałych od kołtuna sobaków.

Krajobraz zaczyna się zmieniać dopiero o dwa kilometry od Szyłan, od majątku Mazuryszki. Powoli wyłaniają się wzgórza i głębokie jary, środkiem których płynie zawsze jakiś mniejszy lub większy strumyk. Wreszcie ukazuje się ogromny jar o spadzistym brzegu z jednej strony a u jego podnóża szumi i rwie wśród porohów perła Wileńszczyzny — Wilja, jak gdyby broniła się przed wejściem za kordon, do Litwy Kowieńskiej, bojąc się, że spotka ją tam pogarda i prześladowanie, że z pod zamku Giedymina niesie polską wodę.

Siedem kilometrów przed granicą litewską tworzy Wilja podwójne kolano, a po prawym jej brzegu przeszło 1 500 hektarowa polana zamknięta z przeciwnej strony malowniczymi wzgórzami á la Czerna pod Krzeszowicami. W środku tej polany, jakby gniazdo kuropatwy, leży nędzna i napozór cicha wioseczka Szyłany. Do niedawna nikt o niej nie słyszał, jak o tysiącu jej podobnych w Polsce. Dziś jednak Szyłany stały się sławne na cały kraj i dostały się na usta prawie całej wileńszczyzny. Oto przypomniano sobie, że pod Szyłanami Wilja ma silny spad i obok wielką polanę. Wszystko to jakby przez Stwórcę specjalnie stworzone do wielkiego dzieła, by do należytego honoru doprowadzić gdzieś zawieruszone Szyłany. Postanowiono mianowicie wybudować tu olbrzymią tamę i stworzyć sztuczne jezioro o powierzchni 400 ha, a przy jego ujściu postawić olbrzymią hydroelektrownię o sile 80 milionów kw celem zasilenia prądem elektrycznym przynajmniej połowy Wileńszczyzny. Na razie trwają tu roboty przygotowawcze, a ruch rozpocznie się dopiero za rok. Koszt całej imprezy ma wynosić 6 milionów złotych. Taki jest projekt, lecz kiedy te słowa piszę, mocno poderwany ze względu na bliskość granicy i stąd wywiązała się prawdziwa kampania w prasie wileńskiej. Na czym się skończy, to jeszcze nie wiadomo, bo ostatnie słowa ma tu mieć wojsko i polityka.

W ten sposób odkryto Szyłany. Gdyby projekt powyższy doszedł do skutku, rozwinąłby się tu wielki ruch turystyczny i letniskowy. Mieszkańcy zaś podnieśliby się materialnie a nędzne kurne chaty zamieniłyby się w ładne domki i wille.

Pod względem duchowym Szyłany mało co zyskają czy stracą. Może oświata trochę by się podniosła, bo prawie 50% tu analfabetów. Pod względem zaś moralnym i religijnym mało co stracą, bo właściwie nic tu niema do stracenia. Trzeba mianowicie to sobie uświadomić, że jest to wioseczka podmiejska. Jej zaś mieszkańcy przynajmniej dwa razy tygodniowo bawią w Wilnie i stamtąd przynoszą kulturę do swej osady, lecz niestety wszystkie ujemne jej cechy. Bezwład religijny, rozwydrzenie seksualne, marnowanie grosza, oszukaństwa, kradzieże, pijaństwa, bójki i połączone z tym morderstwa, tak tu są rozpowszechnione, tak nagminne, tak codzienne, że szyłanianie nie potrafią sobie bez tego życia wyobrazić, uważają to jako coś zupełnie naturalnego. Jest to coś w rodzaju Sodomy i Gomory w miniaturze. Miejscowy proboszcz X. Rowiński niejednokrotnie w czasie rozmowy zwracał się do nas ze słowami: „Ojcowie, ratujcie, bo nas tu chyba wszystkich piorun spali jak Sodomę".

Na takie dictum nie szczędząc wysiłku, gorąco zabraliśmy się do dzieła z X. St. Ciszowskim. Nie mało wycisnęliśmy potu ze siebie. Skutek naszych prac zauważyliśmy ale czy to będzie skutek długotrwały, wątpię. Na niespełna 1 800 dusz, do spowiedzi przystąpiło ponad 1 300 osób, a komunikantów wydano 3 850. X. Proboszcz nie liczył na taką frekwencję, miał zaledwie 1 500 komunikantów przygotowanych i stąd trzeba było aż dwakroć posyłać do Wilna furmanki, aby brakującą liczbę uzupełnić. Malutki, dwóchset letni staruszek, drewniany kościółek nie mógł pomieścić wszystkich uczestników i dlatego też w dniu zakończenia misji wszystkie nabożeństwa odbywały się pod gołym niebem. Misję tę przypieczętowano postawieniem pięknego krzyża misyjnego, który tu jako misyjny stanął pierwszy, bo była to pierwsza misja od założenia parafii. Oby dobry Bóg pobłogosławił naszą pracę, by parafia szyłańska mogła stanąć na lepszych torach życia religijnego.

5. Misja w Mejszagole, pow. wileńsko-trockiego, dek. kalwaryjskiego (25 kwietnia do 1 maja).

Mejszagoła! Chyba obok Smorgoń najpopularniejsza nazwa na Wileńszczyźnie. Można nie wiedzieć, gdzie leży Warszawa, Kraków czy Poznań, ale nie wiedzieć, gdzie leży Mejszagoła to dyskwalifikacja abiturienta przed komisją maturalną. Czym Bronowice dla Krakowa (przysłowiowy wójt z Bronowic), Mosina dla Poznania (kawaler z Mosiny), tym jest dla Wilna Mejszagoła.

Mejszagoła! Etymolog na pewno wyprowadziłby tę nazwę od myszy i golenizny. Mejszagoła jednak nic nie ma z tym wspólnego, za wyjątkiem chyba tylko tego, że znajdzie się w niej pod dostatkiem myszy, a jeszcze więcej golenizny. Nazwa ta nie jest polska, lecz litewska i znaczy koniec worka. Jeżeli chodzi o parafię mejszagolską to ta nazwa ma swe rzeczowe uzasadnienie. Prawie czterokilometrowym pasem ciągnie się wzdłuż ruchliwego niegdyś traktu Wilno—Wiłkomierz na przestrzeni dwudziestu kilometrów.

Mejszagoła jakkolwiek nie posiada dziś szczególniejszych zabytków sama jednak jest zabytkiem, bo należy do najstarszych miasteczek. Za dawnej Rzeczypospolitej należała ona do rzędu tzw. miast starościńskich. Król Władysław Jagiełło darzył Mejszagołę przywilejami specjalnymi i on też fundował tu obecny kościół w roku 1387, który w roku 1865 przy restauracji uległ pewnym adaptacjom. Wojna światowa o mało ten zabytek nie zamieniła w gruzy. Zdewastowany ten dom Boży został po wojnie odrestaurowany staraniem X. Kakareku i jego następców, lecz do pierwotnej świetności nie powrócił z braku odpowiednich funduszów i tak np. zamiast sklepienia jest beczkowaty sufit, nie harmonizujący z całością świątyni itp.

Obok historycznego kościoła prawie vis à vis niego, a raczej naprzeciwko plebanii znajduje się średniowieczna poczta z pięknymi kolumnami i ornamentacjami, szczególniej w tylnych komnatach. Barbarzyńska ręka obecnego jej właściciela zaczyna ją rozbierać, a urząd konserwatorski, nie powiadomiony o tym wandaliźmie, nie przeszkadza temu. I tak za kilka dni nie pozostanie ani śladu po historycznej poczcie i nie ma nikogo, co by

stanął w obronie jej marnego końca, choć przeszłość jej musiała być piękna i wspaniała. Może nieraz wstępował tu Jagiełło, czy Vytautas Didysis (Witold Wielki), czy Mindaugas, Gediminas, Algirdas, Kiestutis czy inny Birutis, by po męczącej podróży z Kaunas do Vilnaus posilić się pół czarną z koniakiem, lub Zagłoba na antałek miodu lub starki.

Jednym z najciekawszych zabytków, opartym co prawda li tylko na podaniu, jest duży kopiec, porośnięty dębami w parku ziemianina Houwalta, tuż naprzeciw kościoła. Według niesprawdzonych podań ma to być kurhan, kryjący w sobie prochy Giedymina. Żadnych argumentów ani pro, ani contra nie można wysunąć. Należałoby tylko ów kurhan rozkopać, lecz z różnych względów dotychczas tego uczyniono, może dopiero kiedyś...

Wokół Mejszagoły znajdują się różne cmentarzyska z okresów rozmaitych wojen. Najbliższe sercu Polaka są tu mogiły powstańców z 1863 roku, którzy w tutejszych lasach stoczyli jedną z większych potyczek z Moskalami. Oprócz tego są liczne mogiły, a nawet całe cmentarze Niemców i Rosjan z wielkiej wojny. Tu bowiem rozegrała się bitwa o Wilno. Po klęsce mejszagolskiej Rosjanie prawie bez wystrzału oddali Wilno Niemcom.

Dziś Mejszagoła jest nędzną mieściną, nie mającą żadnych widoków rozwoju, z powodu zamkniętej granicy litewskiej. Obecnie liczy około 1 000 mieszkańców, w czym 40% Żydów. Parafia mejszagolska zaś ma 6 000 dusz. W odróżnieniu od innych dzielnic Wileńszczyzny ludność jest tu bardzo uświadomiona narodowo i mówi prawie czystą polszczyzną. Z litewskości pozostały tu zaledwie nikłe ślady w spolszczonych nazwiskach i nazwach miejscowości, jak: Antonele, Drawcze, Darkuszki, Ejciuny, Kiemiele, Lingmieniszki, Panide, Uliczela, Użubłędzie, Auksztodwory, Szyłele itp.

Otóż w tym „Końcu Worka" dokonaliśmy wraz z X. Ciszowskim w czasie misji bardzo wielkiej rzeczy. Dokonaliśmy chrztu. Bynajmniej nie jakiegoś obrośniętego niedźwiedzia litewskiego, bo takich pogan już tu nie ma, lecz ochrzciliśmy nasz przyrost naturalny. Proszę tylko nic złego nie myśleć pod tym powiedzeniem. Nie było to wcale niemowlę, lecz człek zacnej kondycji, potężnej cirkumferencji, głosu trąby jerychońskiej. Oto

mianowicie X. Szmaj stał się Ojcem Feliksem przez swoją pierwszą misję mejszagolską. Na razie pozwoliliśmy mu na 3 nauki, by powoli z mleka stradomskiego przechodził na twardy chleb misjonarski oraz by ten beniaminek nie zakasował nas od razu. Tak więc misję w Mejszagole prowadziliśmy w normalnym składzie trzech sił misjonarskich.

Udział w misji był nadzwyczajny. Trzeba zaznaczyć, że bardzo wiele osób aż z Wilna przybyło na misję. Zjawili się na misję także ci, co skrewili X. Witaszkowi i X. Chruckiemu, którzy tu przeprowadzili misję 10—16 maja 1925 r. Nawet taki pan H., obywatel ziemski, przybył na misję, a o którym podsłyszałem taką pogaduszkę koło kościoła:

— Panie Wincenty, co się dzieje, to i pan H. beł!

— Co beł?

— A beł, panie Wincenty!

— No, panie dzieju, to cheba świat się kończy. Toć przecie ile razy on przychodzi do kościoła, to tak się składa, że zawsze ksiądz jajka święci. A ot teraz przyszedł. Wiadomo, na pewno świat się kończy.

Kościół, który może pomieścić z górą dwa tysiące osób, był zawsze przepełniony po brzegi na każdej serii. Księża spowiednicy także dobrze dopisali, bo codziennie do konfesjonału zasiadało dwunastu kapłanów. Im to właśnie zawdzięczając mogło do spowiedzi przystąpić około 4 500 osób. Komunikantów zaś rozdano 10 300. Tych, co na misję nie przybyli, możnaby na palcach policzyć. Do nich zalicza się miejscowy eskulap, który, jak mnie informowano, nie chodzi do spowiedzi nie dlatego, jakoby miał jakieś uprzedzenia i trudności dogmatyczne, lecz po prostu że musiałby zaniechać pewnych praktyk... Chciałem z nim porozmawiać, lecz na czas misji wyjechał do Wilna.

W dniu zakończenia misji większość jej uczestników musiała stać na cmentarzu pod kościołem. Na szczęście pogoda sprzyjała, więc dlatego główne nabożeństwa konkluzyjne odprawiliśmy pod gołym niebem. Tak więc misja mejszagolska udała się nadzwyczajnie, chociaż z początku nie rokowaliśmy sobie takiego powodzenia, ponieważ w pierwszym dniu w kościele było bardzo i to bardzo luźno. Zapał powstał dopiero gdzieś na trzeci dzień.

Przy naszym odjeździe zgotowano nam miłą owację. Przy autobusie zgromadziły się niezliczone rzesze, wiwatujące na naszą cześć. Chór miejscowy odtworzył kilka pieśni, a przedstawiciele społeczeństwa w krótkich przemowach wyrazili nam swoją wdzięczność, wręczając równocześnie każdemu piękne bukiety świeżych kwiatów wiosennych i róż. Ostatnie słowo rzekł miejscowy proboszcz X. Stanisław Klim, wznosząc okrzyk: „Niech żyją!"

Dobrze było w Mejszagole, lecz obowiązek kazał iść na dalszą wędrówkę.

6. Misja w Borejkach, pow. Postawy, dekanat głębocki (16—19 maja).

Borejki, to zaledwie w zeszłym roku we wrześniu erygowana parafia w najbardziej na północny zachód wysuniętym zakątku dekanatu głębockiego. O utworzenie tu parafii nie tylko wołały, ale wprost krzyczały tutejsze warunki. Odległość od dawnego kościoła parafialnego w Mosarzu wynosi 18 km., a od dalszych wiosek nawet 23 km. Nie mogło zatem tu być mowy o jakimkolwiek życiu parafialnym, a nawet religijnym, tym bardziej, że katolicy żyją tu w diasporze wśród morza prawosławia. Na przykład we wiosce, przy której stoi kościół, nie ma ani jednego katolika, a w następnej, odległej o 1½ km., żyją zaledwie cztery rodziny katolickie. Zaznaczyć jeszcze wypada, że nazwa Borejki nie pochodzi od owej prawosławnej wioski, lecz od kolonii „amerykańca" p. Siemionasa, który wielce przyczynił się do budowy tutejszego kościoła.

Taki stan rzeczy: wielkie odległości od kościoła, rozproszkowanie wśród prawosławia, wywołał bardzo smutne następstwa. Nastąpiła mianowicie symbioza z prawosławiem, czemu sprzyjała ciemnota i nieuświadomienie religijne. Różnice wyznaniowe zaczęto lekceważyć, do czego walnie rękę przykładali popi. Dochodziło nawet do tego, co zresztą częściowo i dzisiaj się jeszcze utrzymało, że kiedy przyszła niedziela, to katolicy zamiast do kościoła gromadnie szli do cerkwi. Małżeństwa cerkiewne były na porządku dziennym. Obecnie, kiedy tu na miejscu zamieszkał ksiądz, fala ta została nieco wstrzymana, a katolicy zaczynają co-

raz to więcej uczęszczać do kościoła. Prawosławni jednak trzymają się na uboczu, do kościoła nie przychodzą, a tym mniej nie przechodzą na katolicyzm, zresztą na drodze temu stoi silna propaganda komunistyczna, jako też i agitacja popów. Na czas misji w Borejkach wydali popi specjalne zarządzenia, by prawosławni nie uczęszczali na misję, a nawet wystawili swoje pikiety, które miały za zadanie przeszkadzać i kontrolować prawosławnych, którzyby odważyli się zaglądnąć do kościoła w czasie misji. Dlatego też nikt z prawosławnych nie odważył się przyjść na misję, bojąc się, by nie być potem imiennie „zruganym" przez popa w cerkwi. Zresztą tu walczyć z prawosławiem znaczy walczyć najpierw z komunizmem, a potem dopiero możnaby się zabrać do prawosławia. Następnie nie można tej pracy prowadzić masowo, lecz indywidualnie, albowiem bezpowrotnie minął okres masowych nawróceń.

Katolicy natomiast dość tłumnie uczęszczali na misję, nie mieścili się nawet w kościele. Wielu było także uczestników z sąsiednich parafij, o czym świadczy ilość spowiedzi, wyrażającej się sumą 1 500, podczas gdy parafia borejkowska liczy zaledwie 1 800 dusz. Komunij św. także wydano bardzo wiele, jak na czterodniową misyjkę i małą parafię, bo aż z górą 3 000. Do konfesjonału zasiadało stale siedmiu księży.

Obecny, a równocześnie pierwszy proboszcz borejkowski, kapłan podług ducha Bożego, wiele pokłada nadziei w obecnej misji, a przede wszystkim że raz na zawsze zostanie postawiona granica między prawosławiem a katolicyzmem, aby uniknąć zgubnej dla katolików symbiozy. Oby jego nadzieje się spełniły.

Misję w Borejkach prowadziłem wraz z X. Ciszowskim, dając przez to X. Szmajowi możność przygotowania się na dalszą pracę.

7. Misja w Mikołajowie koło Dzisny, dekanatu głębockiego (20—23 maja).

Sześć kilometrów od granicy bolszewickiej i sześć kilometrów na południowy zachód od Dzisny leży nieduża wioseczka, twór po rozparcelowanym majątku, Mikołajów alias Mikołajewo, nad rzeką Dzisieńką. Nie jest to parafia, lecz filia Dzisny, która rozciąga się w promieniu 25 km., a mając zaledwie 3 000 dusz, z czego na filię mikołajewską przypada nie cały tysiąc. Nie dla-

tego tak jest, jakoby te okolice były mało zaludnione, lecz że przygniatającą większość mają tu prawosławni. Rektorem kościoła mikołajewskiego jest etatowy prefekt szkół powszechnych X. Józef Kowalczuk.

Kościół mikołajewski ma swoją martyrologię. Został on zbudowany w r. 1829 przez miejscowego ziemianina jako duża kaplica dworska i bogato został wyposażony. Lecz nie długo cieszył się swoją katolickością, bo już w kilka miesięcy później został „ukazem“ carskim zamieniony na cerkiew i stosownie do liturgii prawosławnej przerobiony. Ten stan rzeczy przetrwał do roku 1919, w którym to czasie kościół ten został rewindykowany katolikom. W zupełności nie pozbył się jeszcze swego bizantyjskiego charakteru, o czym przede wszystkim świadczy cebulaste zakończenie wieży, a raczej dzwonnicy, dobudowanej przez popów. Lecz i ta pocerkiewna pozostałość wkrótce zniknie, bo ostatnio starosta dziśnieński ofiarował na ten cel 1 000 zł.

Czasy zaborcze, czasy panoszenia się prawosławia wywarły specyficzny charakter na tutejszym terenie, a przede wszystkim pod względem religijnym. Powiat dziśnieński uległ szczególniejszemu zrusyfikowaniu i sprawosławnieniu. Nic zatem dziwnego, że ludność prawie dziczała tu: niesforna, obojętna, nie praktykująca z przyzwyczajenia i li tylko uczuciowo związana z kościołem, a życie szare idzie swoimi torami. Tylko praca indywidualna może tu dać jakieś pozytywne wyniki, lecz do tego potrzebne są środki finansowe, jako też większa liczba kaplic i kapłanów. Niestety i jednego i drugiego, a nawet i trzeciego brak. Zanim zatem nastąpi tu ożywienie religijne, upłynie do tego czasu bardzo wiele lat. Za jednym zamachem nie da się duszy ludzkiej zmienić.

W czasie tej krótkiej misji, którą przeprowadzaliśmy wspólnie z X. Ciszowskim, praca była nadzwyczaj trudna i tym trudniejsza, że panowały niesłychane upały z przelotnymi burzami gradowymi. Chociaż na misję uczęszczali wierni dość licznie, nie powiedziałbym, żebym był z rezultatów zadowolony. Podczas tej misji około tysiąca osób przystąpiło do spowiedzi, a komunij rozdano 2 000.

Dzień zakończenia misji i cała podróż powrotna była prześladowana jakimś dziwnym fatum. W czasie ostatniego kazania

pod krzyżem misyjnym dostałem ataku sercowego i padłem nieprzytomny na ziemię, a X. Ciszowski musiał wtedy dokończyć moje kazanie zaledwie do połowy doprowadzone. Bryczka zaś odwożąca nas do autobusu ciągle się psuła, ale jakoś szczęśliwie dojechaliśmy do przystanku. Tutaj znowu trzeba było całe dwie godziny czekać w polu na przybycie autobusu. Okazało się potem, że autobus zepsuł się i sprowadzono dopiero zapasowy z Łużek. Lecz i ten autobus czegoś nie domagał, bo 3 klm przed Łużkami kazano wszystkim powysiadać, ponieważ koło się zepsuło. Po 40 minutach postoju autobus ruszył w dalszą drogę. W Łużkach zauważono brak benzyny, więc zakupiono tam nowy zapas u żyda. Z tym nowym zapasem ujechaliśmy zaledwie $1^1/_2$ kilometra i stop! Okazało się, że benzyna jest czymś zanieczyszczona i zapycha motor. Zaczęła się teraz bieganina w poszukiwaniu nowej benzyny. Pasażerowie zaczynają się denerwować, irytować, aż wreszcie z cierpkimi słowami i wymówkami zwracają się do pozostałej obsługi autobusowej. Ta zaś przestraszona zdecydowaną postawą podróżnych rozpierzchła się, a zirytowani pasażerowie nie mając na kim wywrzeć swej złości, wsiadają do autobusu i zaczyna się wspólna... drzemka, połączona z przygłośnym chrapaniem! po dwóch i pół godzinie szukania benzyny autobus ruszył w drogę, zatrzymując się jeszcze kilka razy, bo maszyna ciągle „nawalała". Po uciążliwej i długiej podróży, trwającej z górą 10 godzin, nareszcie dojechaliśmy do Głębokiego, do stacji kolejowej, by odbyć dalszą podróż, która miała jeszcze trwać ośm godzin. Myśleliśmy, że tu przynajmniej nie będzie pechu, lecz niestety... Dwie trzecie podróży koleją odbyliśmy bez przeszkód. W Podbrodziu zaczęło się! Zepsuła się lokomotywa i hamulce. Więc znowu opóźnienie. I tak podróż z Dzisny do Wilna (odległość 255 klm) trwała 20 godzin. Ot, co to są nasze kresy.

Jeden z tego wniosek: „Kiedy prześladuje cię pech — nie podróżuj".

8. Misja w Udziale, pow. Dzisna, dekanatu głębockiego
(od 30 maja do 5 czerwca).

Po wypadku w Mikołajewie czułem się bardzo osłabiony. X. superior Szadko poprostu nie pozwolił mi na wyjazd na następną

misję. Do Udziału zatem wybrał się X. Ciszowski z X. Szmajem. Złożoną mi przez nich relację poniżej umieszczam.

Parafia udzialska licząca 2 400 dusz wyjątkowa, skoncentrowana jest wokół kościoła parafialnego tak, że najodleglejsze wioski leżą nie dalej jak 6 klm od Udziału. Jest to uprzywilejowana parafia w dekanacie głębockim, gdyż w innych parafiach odległości dochodzą do 30 klm. Ludność na terenie parafii udzialskiej jest w 90% katolicka, a narodowości białoruskiej. Proboszczem od 13-tu lat jest tu X. Franciszek Oleszkiewicz, zabarwienia białoruskiego.

Pierwszy kościół w Udziale był fundacji Józefa Korsaka i drewniany. W późniejszych latach został zastąpiony murowanym, staraniem oo. franciszkanów. Był to rok 1740. W tym samym okresie wznieśli tu franciszkanie swoje gmachy klasztorne, z których pozostał do dziś tylko jeden, obecna plebania. Franciszkanie mieli tu seminarium dla swoich kleryków oraz szkołę parafialną. Kasata klasztoru nastąpiła w roku 1851. Tak w klasztorze jak i na plebanii widoczne są jeszcze ślady dawnych włodarzy, a w podziemiach kościoła spoczywają ich doczesne szczątki.

Kościoł dziś wież nie posiada, albowiem celna artyleria niemiecka zburzyła je, a parafian niestać na budowę nowych. Obecny proboszcz przeważnie swoim własnym sumptem musi wszelkie restauracje wnętrza finansować! (?) Kościół jednak jest czysty i piękny. Pojemność jego jest za wielka na tak szczupłą parafię, która ma z nim wiele kłopotu, by go utrzymać w należytym stanie.

Stan religijno-moralny parafii pozostawia bardzo wiele do życzenia. Prawie połowa jest obojętna, a 10% wogóle niepraktykująca wraz z właścicielami majątków. Praca w czasie misji była ciężka i trudna, mając do pokonania płaską mentalność słuchaczy, ich uprzedzenia do duchowieństwa i tzw. mędrkowanie, mimo analfabetyzmu. Dzięki jednak łasce Bożej wielu zbałamuconych przyszło na misję, wyrzekając się swych poglądów bolszewickich.

Na ogół misja się udała. Mężczyzn było więcej w poszczególnych dniach niż kobiet. Do spowiedzi przystąpiło 1 650 osób, a komunij św. wydano okrągłe 4 000.

Taką relację piśmienną do kroniki złożył mi X. Ciszowski.

9. Misja w Postawach, dekanatu nadwilejskiego
(6—12 czerwca).

Postawy to stara osada niegdyś własność rodziny Despotów-Zenowiczów, z których Jan w roku 1522 ufundował tu drewniany kościółek. W czasie wojen inflanckich, tu w Postawach zbierała się artyleria Stefana Batorego w drodze do Dzisny.

W drugiej połowie XVIII w. Postawy przeszły na własność Antoniego Tyzenhauza. Za niego to nędzna ta osada zamieniła się w piękne miasto murowane. Wzniósł on tu wiele kamienic, szczególniej na rynku. Nadto pobudował młyny, fabryki papieru i warsztaty tkackie, a dla siebie klasyczny pałac do dziś dnia istniejący. W tym pałacu w drugiej połowie ubiegłego stulecia Konstanty Tyzenhauz zgromadził poważne i cenne zabytki sztuki i zbiory przyrodnicze, które niestety w czasie wojny i przemarszu hordy bolszewickiej zostały rozproszone i pokradzione.

Dzisiaj Postawy są miastem powiatowym, a w dawnych budynkach tyzenhauzowskich mieszczą się instytucje municypalne i państwowe. Miasteczko liczy obecnie 5 000 mieszkańców o większości, pod względem religijnym, prawosławnej. Katolików mieszczan wraz rodzinami urzędników jest 1 200 dusz. Od innych miasteczek wileńszczyzny różnią się Postawy tym, że posiadają znikomy procent narodu wybranego, co jest fenomenem na kresach.

Pierwotny kościół postawski niejednokrotnie odnawiany i poprawiany spłonął doszczętnie w roku 1840. Nabożeństwa parafialne przeniesiono zatem do kościoła podominikańskiego, za miastem, który tu został ufundowany wraz z klasztorem w roku 1617 przez sekretarza królewskiego, Stefana Biegańskiego. Zaszła zatem potrzeba budowy nowego kościoła. Rząd rosyjski zrazu nie pozwalał, lecz nieustannie dręczony petycjami zgodził się nareszcie ale pod warunkiem, że katolicy wpierw wybudują w najlepszym punkcie miasta cerkiew prawosławną. Obecny właściciel majątku Postawy, hr. Przeździecki, warunek ten przyjął, stawiając w centrum miasteczka niską cerkiew w stylu bizantyńskim, a następnie zajął się budową kościoła. W roku 1903 na przedmieściu stanął wspaniały gotycki kościół, z klasyczną wysoką wieżą, dominującą ponad miastem i cerkwią. Konsekracji w tymże roku dokonał X. biskup Ropp.

W czasie wielkiej wojny kościół znalazł się między pozycjami rosyjskimi a niemieckimi. To trwało trzy lata. Cudem tylko ocalał, jak o tym powszechnie mówią parafianie. Mocno nadwyrężona została tylko wieża i nieco jedna z bocznych ścian. Po wojnie zaraz odrestaurowano nadwyrężone miejsca i dziś jest już wszystko w porządku.

Parafia postawska liczy zaledwie 2 300 dusz i jest rozsiana w promieniu 20 klm. Połowa parafian, to miejscowi mieszczanie i rodziny urzędnicze. Druga połowa, to rolnicy rozsiani na wielkich przestrzeniach. W promieniu 9 klm od kościoła leżą wioski czysto prawosławne, a dopiero od 9—20 klm wioski i osady katolickie. Na tym samym terenie są 4 cerkwie z 15 tysiącami prawosławnych. Nic zatem dziwnego, że ludność wiejska rzadko uczęszcza do kościoła, przeważnie tylko 3—5 razy do roku, na główniejsze święta. Odczuwa się tu zatem brak kaplic w odleglejszych punktach, z których jest tylko jedna w Mańkowicach, w majątku p. Hallerowej, gdzie kilka razy do roku odprawiają się nabożeństwa.

Z jednej strony mały wpływ kościoła, a z drugiej współżycie katolików z prawosławiem wywiera bardzo zgubne skutki na życie religijne. Gwałcenie świąt, praca w niedzielę, jak w dzień powszedni, zatracanie różnicy między katolicyzmem a prawosławiem, pijaństwo — oto skutki symbiozy z prawosławiem i to są bolączki parafii postawskiej.

Jeżeli zaś chodzi o ludność miasteczkową, to trzeba przyznać, że tu jest więcej przywiązania do kościoła i ma swoją tradycję, ale niestety kończy się na tradycji. Wysłuchanie mszy św. w niedzielę i święta, roczna spowiedź, to jeszcze nie jest sedno katolicyzmu. Lecz niestety większość nawet i księży w Polsce zadowala się tym, a to tymczasem nie istota, lecz jedne z oznak zewnętrznych.

Do Postaw na misję przybyliśmy w kompletnym składzie, tj. księża: Ciszowski, Szmaj i piszący te słowa. Nieszczęście chciało, że zaraz rozchorowałem się, mając 40 stopni gorączki. Telefonicznie zawezwałem X. sup. Szadkę do pomocy, a sam najbliższym pociągiem odjechałem do Wilna, bo na plebanii zabrakłoby i miejsca i łóżka dla mnie. Z przebiegu misji zdali mi relację konfratrzy, których uwagi tu zamieszczam.

Misja postawska szła zwykłym trybem. Szalenie dokuczały tylko upały dochodzące do 45 w słońcu. Pot musiał się zatem lać z kochanych moich baranków jak z cebra. Żałowałem ich, ale niestety nie mogłem im pomóc. Mimo to pracowali bardzo solidnie, o czym świadczą skutki. Wielu zatwardziałych grzeszników nawróciło się. Misję zakończono w sobotę dnia 12 czerwca. W tej uroczystości wziął udział starosta, delegat pułku jazdy tatarskiej, młodzież gimnazjalna i szkół powszechnych. Wartę honorową pełnił pluton z miejscowego garnizonu. Przy ołtarzu na rynku odbyła się uroczystość oddania parafii w opiekę Matki Najświętszej.

Po takich trudach należałby się misjonarzom odpoczynek. Lecz niestety. Z niego skorzystać mógł tylko X. sup. Szadko, którego ja, „wydobrzawszy", zastąpiłem. Całe zatem bractwo udało się na dalszą pracę.

10. Misja w Bobrowszczyźnie, pow. dziśnieńskiego, dek. głębockiego
(13 — 19 czerwca).

Pociąg zajeżdża na stację w Podświlu. Ogromny ruch tu panuje. Ta mała stacyjka zawsze spokojna i bezludna (ileż to razy przez nią przejeżdżaliśmy) dziś kipi po warszawsku. Wydaje się jakby czekano na jakiegoś dygnitarza, a to tymczasem zgromadzono się tu na powitanie Misjonarzy. Po ich wyjściu z wagonu otaczają ich wiankiem, wręczają kwiaty i sypią się mowy. Przemawiają najpierw przedstawiciele K. O. P., obywatelstwa, osadników i stowarzyszeń. Po tych powitalnych ceremoniach, wsiadają Misjonarze do karety, poprzedzani banderią, jadą do odległej o 12 klm Bobrowszczyzny. Po drodze 7 bram triumfalnych, a przy każdej znów mowy i witanie chlebem i solą. Kiedy ukazał się w oddali powóz z Misjonarzami, miejscowy proboszcz X. Czesław Kulikowski wychodzi z procesją na „ichne" przywitanie. Nareszcie ostatnia ceremonia powitalna! Poczciwy proboszczulek przemawia zapłakany, wręcza klucze od kościoła Misjonarzom i procesjonalnie wprowadza ich do kościoła.

Misja rozpoczyna się sumą. Kazanie wstępne do prawie 6 tysięcznej rzeszy wygłosił X. Ciszowski. Dzień rozpoczęcia misji był dorocznym odpustem św. Antoniego, pod którego wezwaniem stoi kościół „bobrowski". Nazbierało się zatem narodu z wszyst-

kich okolicznych parafij, w czym jedna czwarta prawosławnych, nie gwoli uczestniczenia w misji, lecz gwoli gapienia się na kramy i spotkania znajomych. Powodowało to ogromne zamieszanie i rozproszenie.

Bobrowszczyzna to jedna z nowszych parafii. Kościół zaczęto tu budować w czasie wojny w roku 1917, lecz dopiero po kampanii bolszewickiej, doprowadzono dzieło do końca. Stoi on mniej więcej w środku parafii, której promień sięga 25 klm. 4 000 katolików jest rozproszonych wśród morza prawosławia i kniei puszczy Hołubickiej. Delimitacja granic parafii jest na razie prowizoryczna tak, że niektóre osiedla nie wiedzą gdzie należą a jurysdykcję trzyma nad nimi dwóch a czasem i trzech sług bożych, lecz najczęściej się zdarza to, że nikt o nich się nie zatroszczy, co najwyżej pokaże im zęby wilk lub niedźwiedź pazury. Na parafian bobrowskich składa się szlachta zagonowa, chłopi, mieszczanie z Podświla i Hołubicz oraz batalion K. O. P., który zresztą wystawił dla siebie i okolicznej ludności duży kościół drewniany w Podświlu, lecz niestety księdza tam nie ma.

Te wielkie odległości nie sprzyjały wielkiej frekwencji na misji. Mimo to jednak rozdano komunii św. 7 309, a wyspowiadano około 3 000 osób. Liczne tłumy zebrały się dopiero na zakończenie misji. Samych katolików było około 4 000. W czasie misji obywatelstwo miejscowe świeciło absencją. Na zakończenie misji dopiero się zjawiło, aby wziąć udział w zewnętrznej pompie, a niektórzy z nich byli na tyle bezczelni, że zjechali na sam obiad do proboszcza. Przeciw temu postawiłem swoje zdecydowane „veto“, stawiając sprawę otwarcie: albo, albo. Proboszcz widząc moją zdecydowaną postawę raczył moje zdanie jaśnie wielmożnym gościom zakomunikować. Skutek był ten, że dwóch z najprzedniejszych obywateli poszło do kościoła i poprosiło o spowiedź, a na obiad już się nie stawili, z czego byłem ogromnie rad, bo uniknęło się zgorszenia dla maluczkich.

X. Proboszcz mimo zapewnień, że na pożegnanie nie będzie już żadnego szurum burum, jednak bez tego się nie obeszło. A więc znów mowy, kwiaty i wiwatowanie. Wynosiło się wrażenie, jakoby tu chodziło raczej o efekty zewnętrzne niż wewnętrzne. Po tych błyskotliwościach odjechaliśmy do stacji Podświle z nie-

odłączną banderią. Ja w towarzystwie oficerów autem na Hołubicze, a X. Ciszowski z X. Szmajem pięknym powozem drogami polnymi wprost do stacji. Jadąc autem zyskałem tyle, że wyminąłem kawalkadę, a przez to pozbyłem się straszliwego kurzu i pyłu, który wciskał się w usta, nos, uszy i inne szczeliny...

Tak zakończyliśmy nasz wiosenny sezon prac misyjnych.

X. ST. KALLA.

Przyczynek do historii prowincji litewskiej Zgromadzenia.

Pobyt swój we Francji w październiku, listopadzie i grudniu 1938 roku starałem się wyzyskać na zebranie jak najwięcej materiału archiwalnego do historii prowincji polskiej Zgromadzenia. Najbardziej mnie interesowało naturalnie archiwum Domu Macierzystego. Doznałem jednak pewnego rozczarowania, nie znalazłem bowiem prawie nic do dziejów prowincji z przed Wielkiej Rewolucji, o co mi głównie chodziło [1]). Obfity natomiast napotkałem materiał do historii prowincji w XIX w. Przeglądnąłem kilkanaście tek, robiąc wypisy, które po opatrzeniu objaśnieniami zamierzam kolejno ogłaszać w Rocznikach. Na początek daję mały przyczynek do historii prowincji litewskiej, powstałej jak wiadomo po trzecim rozbiorze Polski, a istniejącej do roku 1842, więc niecałe lat pięćdziesiąt. Przyczynek ten, to wymowne świadectwo o przywiązaniu do powołania, którego nie zdołało osłabić długoletnie rozproszenie. Jest on także wzruszającym dowodem wzajemnej miłości braterskiej. Podaję to rzewne wspomnienie poświęcone współbraciom, co w r. 1860 opuścili rozproszoną gromadkę, by jako wierni synowie św. Wincentego pójść po nagrodę wieczną tak, jak je skreśliła pełna dla nich pietyzmu ręka, niezmieniając nawet ortografii.

* * *

Rys krótki życia ś. p. XX. Józefa Fiedorowicza, Hipolita Kossobudzkiego, Tomasza Siuciłły, Mateusza Gielżynowicza i Jana Mierzwińskiego, Misjonarzów Litewskiej Prowincji 1860 roku z tego świata zeszłych [2]).

Dziewiętnasty już rok po smutnym nawiedzeniu Pańskim Prowincji Litewskiej Naszego Zgromadzenia, rozproszeni w tak rozległym państwie, nie według naszego powołania, pojedyńczo żyć zniewoleni, corocznie opłakiwaliśmy zgon drogich nam braci, z których 120 osób, zaledwo dziś w siedmiu diecezjach, różne

---

[1]) Także poszukiwania w Bibliotece Narodowej były pod tym względem bez rezultatu.

[2]) Archiwum Domu Macierzystego jeszcze nie jest zinwentaryzowane, rękopis nie nosi więc sygnatury.

obowiązki poruczone sobie od Zwierzchności Diecezjalnej, dziekanów, kapelanów, a najwięcej administratorów parafialnych kościołów sprawujących 76 osób liczymy i dzięku Bogu z pociechą bez przesady wyznać można, że przy pomocy łaski Boskiej, obowiązki te spełniają z zadowoleniem Zwierzchności duchownej i całej publiczności, postępowaniem swym odpowiednim swemu powołaniu wszędzie się odznaczają, i odświeżają w pamięci wiernych swą chlubną opinię i szczególny szacunek naszego Zgromadzenia, na jaki Ojcowie nasi pracą apostolską przez półtora wieku swego istnienia w tym kraju zasłużyli. Rok zeszły 1860 najdotkliwiej nas zasmucił, gdy podobało się Bogu w przeciągu onego pięciu z braci naszych zasłużonych w Zgromadzeniu i powszechnie wielbionych, do siebie powołać.

Na wstępie tego roku opłakiwaliśmy stratę patryarchy, naszego czcidodnego starca, X. Józefa Fiedorowicza, który 20 stycznia uczuł w sobie bez żadnych oznaków jakiej choroby wielką słabość, 30 tegoż miesiąca przy powiększeniu się tej słabości przyjął św. Sakramenta, a 12 lutego Bogu ducha oddał, mając lat wieku 83, powołania 52. X. Józef, urodzony na Żmudzi, tamże ukończył cywilne nauki, do Zgromadzenia wstąpił 22 marca 1808 roku, w seminarium i na studiach okazywał niepospolitą pilność w nabywaniu potrzebnych stanowi duchownemu nauk i cnót, właściwych swemu powołaniu. Z pociechą zapatrywała się zwierzchność na punktualne według przepisów reguł młodego lewity postępowanie i czyniła nadzieję mieć w przyszłości z niego pożytecznego w Zgromadzeniu członka. Po wyświęceniu na kapłana posłano go na profesora fizyki i historii naturalnej, do powiatowej Iłłuksztańskiej szkoły, którą zgromadzenie utrzymywało. Przedmiotów tych szczególnym był miłośnikiem i z ochotą je wykładał, a botanika ulubioną zabawą stała się dla niego na całe życie, w której wielki poczynił postęp. Zbierał rozmaite rośliny w odległych niekiedy od Iłłukszty okolicach, zasuszał je, determinował i posyłał do sławnego botanika prof. Wileńskiego Uniw., X. Jundziłły, z którym w tej materii nieprzerwaną miał korespondencję, za co Mu uniwersytet przysyłał pochwalne listy albo książki w nagrodę. Ten przedmiot był mu powodem, że 40 lat mając wieku nauczył się języka niemieckiego bez żadnego przewodnika,

tak, że z niemieckiego na polski język dzieła tej treści i rozmaite tłómaczył. Na dowolne to zatrudnienie poświęcał sam tylko wolny czas od istotnych swego powołania obowiązków, osobliwie w czasie wakacyjnym, wyjeżdżał do miejsc o kilka mil odległych, skąd powracał ze znacznym roślin zbiorem. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej wzorem być niezrównanym w pełnieniu gorliwym i pilnym obowiązków kapłańskich i regularnym według reguł życia, godnym ze wszech miar naśladowania. Kartuzem On był święcie pilnującym stancji, zatrudniony zawsze czytaniem lub pisaniem, próżnującego nikt Go nie zastał, przychodzącemu do siebie bez interesu nigdy nie pozwolił u siebie długo u siebie zabawić, otwarcie się oświadczał, że nie ma czasu i bez względu brał się do zatrudnienia, czy ten zaraz lub nie wyszedł. Parafia Iłłuksztańska do 7 500 dusz licząca, po większej części z łotyszów i litwinów złożona, chodzących po cztery i więcej razy w przeciągu roku do spowiedzi, X. Józef posiadając ich język najwięcej posługę duchowną im czyniąc, pracował. Zawsze pierwszy w konfesjonale, z którego nie wyszedł nim ostatniego nie wysłuchał spowiedzi, i pomimo od lat kilku pojawiającą się słabość osobliwie w nogach, aż do ostatniej choroby, nie zaprzestał się udzielać w posłudze duchownej wiernym. Był przy tym pełen prostoty i rzadkiej łagodności, nikt Go nigdy nie widział choć najmniej poruszonego, powolny zawsze Zwierzchności, w pożyciu dla braci słodki, miły i uczynny, w każdym razie gotów w obowiązku zastąpić. Milczenia cnotę święcie chował, sam o niczym w towarzystwie nie rozpoczął mowy; a zapytany drugich o zdanie w jakiej materii, krótko według słów pisma św. tak lub nie odpowiadał — przestawał zawsze na tym, co Mu dano w pokoju i nigdy się na niewygody jakiekolwiek nie pożalił. Do porządku domowego we wszystkim według przepisów reguł najskrupulatniej się stosował, nieznał, co to jest w całym życiu, nie wstać na głos dzwonka i nie pójść na medytację, examen lub inną wspólną z drugimi potrzebę. Tak świątobliwie żyjąc bez odmiany miejsca, w jednym domu, w pokoju największym, kochany i wielbiony od wszystkich, pełen dni i zasług z powszechnym żalem wstąpił do grobu, zostawiając po sobie budujący przykład prawdziwego Syna św. Wincentego, świątobliwego i pracowitego w winnicy Pańskiej robotnika.

Po tej stracie wkrótce niespodzianie ponieśliśmy drugą. X. Hipolit Kossobudzki, administrator po XX. dominikanach w Różanymstoku, diecezji wileńskiej kościoła, czerstwy i mocnej budowy dostał zapalenia kiszek i po tygodniowej chorobie, opatrzony św. Sakramentami, jedynastego dnia kwietnia przeniósł się do wieczności, mając lat wieku 51, powołania 34. Ten kapłan urodzony w Wilnie ze szlachetnych rodziców, skończywszy nauki cywilne w gimnazjum wileńskim, 1826 roku przyjęty został do Zgromadzenia. Obdarzony zdolnościami i dobrze usposobiony, z pilnością przykładał się do postępu w drodze cnoty w seminarium i kształcił się na studiach w naukach duchownych, w których uczynił znaczny postęp. Wyświęcony na kapłana lat kilka był profesorem w seminarium wileńskim i zarazem bibliotekarzem, później wysłany na dyrektora i profesora seminarium białostockiego, w ostatku tamże został superiorem i regensem seminarium, skąd przybył do Wilna, zdał egzamin w duchownej akademii i otrzymawszy stopień ś. t. magistra, obowiązki te spełniał z chlubą i zaszczytem dla Zgromadzenia do roku 1842, w którym rozesłani zostaliśmy po parafiach. Zwierzchność archidiecezalna poruczyła Mu administrację tegoż białostockiego kościoła, po przyłączeniu obwodu białostockiego do diecezji wileńskiej przeniesiono Go na administratora kościoła w Różanymstoku, gdzie z poświęceniem się pełniąc obowiązki swego powołania, szanowany i wielbiony od wszystkich dokonał żywota.

Zaledwie upłynęło parę miesięcy, łzy nam wycisnął zgon przedwczesny drugiego podobnego brata. W domu oświejskim będąc administratorem kościoła, niegdyś naszego, X. Tomasz Siuciłło, czerstwy i pełen sił, w czasie panującej tam gorączki, tyfusem zwanej, zachorował na nią i po sześciu tygodniach ciężkiej choroby, którą z budującą cierpliwością i zdaniem się na wolę Bożą znosił, św. Sakramentami opatrzony, czerwca 28, spokojnie zasnął w Panu, mając lat wieku 45, powołania 23. X. Tomasz rodem był ze Żmudzi, tamże odbył szkolne nauki, do Zgromadzenia przyszedł 1837 roku. W seminarium i na studiach odznaczał się wzorowym postępowaniem, zaprawianiem się w cnotach swego powołania i pilnym przyłożeniem się do nabywania duchownych nauk. Po przyjęciu święceń, przeznaczony do obo-

wiązków parafialnych przy dweckim (?) kościele w Kurlandii, skąd przeniesiony do Oświeja archidiecezji mohilewskiej, gdzie zwierzchność duchowna po upadku naszym, uczyniła Go administratorem kościoła i zarazem dziekanem siebieżskiego dekanatu, od tego ostatniego obowiązku po niejakim czasie u zwierzchności wyprosił się. Z powodu pomieszanych parafian z prawosławnymi wiele doznawał nieprzyjemności w pełnieniu obowiązków na siebie włożonych, lecz przy pomocy łaski Boskiej, pokonał trudności i gorliwie one spełniał, tak w posłudze, jak i nauczaniu wiernych. Łagodny, uprzejmy i miły w towarzystwie, wszystkich pozyskał serca i zjednał dla siebie powszechny szacunek, a wylanie się Jego na miłosierne uczynki, na które wszystko co tylko miał poświęcał, nie tylko dla chrześcian, ale i dla żydów, chlubne zyskało Mu imię ojca ubogich. Zgon Jego tak wczesny, wszyscy nieutuleni w żalu łzami gorzkimi opłakują. Pozostało długu po nim do 200 r. sr., na zaspokojenie którego miała być obrócona Jego ruchomość, lecz szczególny Jego czciciel kollator JW. Mikołaj Szadurski przyjął na siebie zaspokojenie tej należności, a wszystką pozostałość kazał oddać Jego bratu X. Pawłowi Siuciłło, który także członkiem jest naszego Zgromadzenia. X. Tomasz szczególnie był przywiązany do Zgromadzenia, modlił się i wzdychał do połączenia się w nim z bracią i życia z nimi stosownie do swego powołania.

Po tak dotkliwej stracie dwóch w samej sile będących braci, 17 października w Białymstoku umarł nam drugi patryarcha X. Mateusz Gielżynowicz mający lat 80, powołania 54. X. Mateusz 1806 r. przyjęty do Zgromadzenia, po odbytym seminarium i studiach, wyświęcony na kapłana, lat kilka przy parafialnych kościołach spełniał duchowne posługi. Wezwany do Wilna najdłużej był prokuratorem domu i folwarków do niego należących, znał się dobrze na budownictwie i z ochotą nim się zajmował. Za Jego rządów w folwarkach Jęczmieniszkach i Białymdworze, najpiękniejsze i najwygodniejsze stanęły gospodarskie budowle, w samym Wilnie na placu św. Nikodema za Ostrą Bramą, w przeciągu lat kilku ogromną dwupiętrową kamienicę z wszelkimi potrzebnymi wygodami wymurował, z której od roku 1832 po 1 500 r. dochodu rocznego dom pobierał. Miłośnikiem był

wielkim pokoju Zgromadzenia i porządek w nim szanował i lubił, w towarzystwie słodki i miły, w pożyciu z bracią łagodny i przyjemny, przez co wszystkich sobie zobowiązywał i pozyskiwał ich serca. W cztery lata przed śmiercią nawiedził Bóg starość Jego sparaliżowaniem. Kalectwo to z chrześcijańską rezygnacją i budującą znosił cierpliwością, zachowując zawsze spokojność umysłu. W roku ostatnim uczuł się słabszym, pozbawionym prawie władz umysłowych, z odwiedzających mało kogo już poznawał, a gdy nawiedzającego siebie JW. biskupa Krasińskiego nie poznał, rzewnie potem płakał, że skrzywdził Pasterza. Wcześnie opatrzony św. Sakramentami, przykładne życie pełne dni i zasługi spokojnie zakończył. Po rozesłaniu nas na parafie rząd archidiecezji mohilewskiej jako inwalidowi na utrzymanie się przysyłał Mu z konsystorza corocznie 100 rubli sr., lecz po przyłączeniu obwodu białostockiego do diecezji wileńskiej po rubli sr. 50 tylko pobierał.

Nie oschły nam jeszcze powieki łzami zroszone po stracie tylu nam drogich braci, podobało się Opatrzności Boskiej więcej nam ich wycisnąć, powołując do wieczności światłego i pełnego zasług X. Jana Mierzwińskiego, który w żmudzkiej diecezji będąc administratorem parafialnego kościoła w Szkudach, po dwutygodniowej ciężkiej chorobie, świątobliwie przyjąwszy św. Sakramenta 27-go listopada, z poddaniem się zupełnej woli Bożej, pobożnie i przykładne zakończył swe życie, mając lat wieku 62, powołania 39. W Kurlandii miasteczku Iłłuksztą zwanym, roku 1799, 6 czerwca urodził się X. Jan ze szlachetnych rodziców, ojca Szymona, matki Krystyny, tamże u XX. Misjonarzy pobierał szkolne nauki, gdzie celując nad swymi rówieśnikami skromnością obyczajów i pilnością w naukach, piękne o sobie na przyszłość czynił nadzieje. Sześć klas skończywszy, lat kilka w tejże szkole był guwernerem, w roku 1821 wstąpił do wojska, po dwóch latach służby uczuł w sobie chęć wstąpienia do stanu duchownego, podał się w odstawkę, i 1 grudnia 1823 r. wstąpił do Zgromadzenia. W czasie pobytu Jego w seminarium z pociechą zwierzchność zapatrywała się na postępy młodzieńca w cnotach właściwych powołaniu i wielkie zamiłowanie książki, a na studiach, oceniając w nim tak rzadkie zdolności do nauk, jak również przykładne i wzorowe według stanu postępowanie, uznała za potrzebę posyłać Go do uniwer-

sytetu na wydział teologiczny. Odpowiedział godnie temu zaufaniu X. Jan i chlubnie zakończył kurs nauk duchownych w uniwersytecie, od którego prócz nagrody za pilność otrzymał stopień magistra, a później doktora św. Teologii. Po przyjęciu święceń był profesorem w seminarium Góry Zbawiciela. Pełen wiadomości duchownych nauk, z korzyścią dla uczącej się młodzieży przez lat kilka rozmaite wykładał przedmioty, słowem i przykładem zachęcał młodzież do zamiłowania nauk swego stanu, a ujmującą łagodnością i słodyczą charakteru, wszystkich serca sobie pozyskał tak, że gdy Go przeznaczono na dyrektora i profesora białostockiego seminarium, z żalem nie małym młodzież z nim się rozstawała. W lat kilka posłano Go na superiora siemiatyckiego domu. Miłośnik książki, nie czując w sobie sił potrzebnych do zatrudnień zewnętrznych gospodarskich, odrywających od czytania, ciągle się wypraszał, wkrótce jednak nastała kasata klasztorów 1832 r., której uległ i dom nasz siemiatycki, powrócił znowu do uprzednich obowiązków w Białymstoku, lecz niezadługo potrzeba zmusiła że Go uczyniono także superiorem i regensem białostockiego seminarium. Powolny dla zwierzchności pomimo chęci chlubnie spełniał te obowiązki, uwolniony od nich na usilne prośby w roku 1838 przybył do Wilna na dyrektora internorum i profesora seminarium. W tym czasie ś. p. X. Mikołaj Kamiński dla niektórych okoliczności wypraszał się od obowiązku regensa seminarium w Worniach, żmudzkiej diecezji, w którym od wyświęcenia się był profesorem. Na tego zastępstwo wysłano X. Mierzwińskiego. Tam obowiązki z zadowoleniem zwierzchności i całej kapituły, u której swym postępowaniem odpowiednim powołaniu zyskał dla siebie poważanie i szacunek, spełniał do roku 1846, w którym z akademii duchownej ze stolicy na rektora seminarium przybył X. Maciej Wołonczewski i objął onego rządy. X. Gintyłło, nominat, biskup, administrator żmudzkiej diecezji uczynił Go administratorem parafialnego kościoła w Kołtynianach. Biskup Wołonczewski objąwszy rządy diecezji, oceniając Jego zdolności i zasługi, chciał Go mieć w gronie swej kapituły i przedstawił Go na kanonika, lecz gdy to przedstawienie skutku pożądanego nie wzięło, uczynił Go kanonikiem honorowym i administratorem kościoła parafialnego w Szkudach, do którego przywiązana infułacja. Szkudzka parafia do 4500

dusz licząca, odtąd stała się jedynym celem Jego zatrudnień, sam do nich mawiał nauki, spowiedzi słuchał, jeździł do chorych i inne dla nich posługi spełniał z gorliwością aż do zgonu, a chwile od obowiązków wolne poświęcał zawsze czytaniu ksiąg pożytecznych, których miał zapas osobliwie w języku niemieckim i francuskim. Gospodarka była dla Niego podrzędnym i obojętnym przedmiotem, której pospolicie dostrzegał wikariusz lub altarysta. Z przywiązaniem szczególnym był do Zgromadzenia, w 1845 roku, po naszym rozprószeniu chciał wraz z drugimi przenieść się za granicę do Zgromadzenia, ale superior jeneralny wszystkim będącym w wieku odmówił pozwolenia. Tak więc po klęsce ze smutkiem każdy tam pozostał, gdzie go Opatrzność pomieściła. Wzdychał ustawicznie do połączenia się z bracią, w pismach często zapytywał, kiedy wezwany będzie do Wilna, w ostatnim w październiku prosił, żeby Go Siostry Miłosierdzia przyjęły na spowiednika, którym był w czasie mieszkania w Wilnie, lecz odpowiedź już Go nie zastała w życiu. Całą swą ubogą ruchomość kościołowi szkudzkiemu zapisał. W tak zamożnej parafii żyjąc znaczne miał dochody, które na wsparcie biednych i ubogich obracał. Brakło mu niekiedy na załatwienie własnych i do wygody służących potrzeb. Tak świątobliwy żywot, złączony zawsze z Bogiem, niezmordowany robotnik w winnicy Jego, pełen zasług i wielbienia z powszechnym żalem X. Jan Mierzwiński zakończył, zostawiając po sobie przykład pobożnego kapłańskiego życia godny naśladowania.

Te smutne wspomnienia i dotkliwy żal rok zeszły zostawił nam w spuściźnie w pamięci i sercach naszych, które na długo w nich zatrzeć się nie dadzą. Postradaliśmy w nich drogich nam i miłych pięciu braci, których wzorowe i pełne cnót chrześcijańskich życie chlubą i zaszczytem było dla Zgromadzenia, a dla nich chwałą, przykład ich świątobliwego życia dla wszystkich był nauką i zbudowaniem. Chwalebnie zakończyli Oni doczesną pełną trudów pielgrzymkę i wezwał Ich Bóg jako wiernych i pracowitych w winnicy robotników, aby im oddał zasłużoną zapłatę w wieczności. Oby Bóg dobrotliwy dla większej swej chwały i zbawienia ludu wiernego, raczył pomnożyć liczbę podobnych Synów św. Wincentego, którzy słowem i przykładem nauczając wiernych dróg zbawienia, ich i samych siebie doprowadzili do wiekuistej chwały.

STEFAN ROSIAK.

Misjonarze wileńscy w koloniach saratowskich.

(Referat wygłoszony 23 marca 1936 r. na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Historycznego Oddział w Wilnie).

(Dokończenie).

XX. Misjonarze w koloniach

Placówkę straży nad zagubionymi w stepach saratowskich katolikami mieli objąć Misjonarze wileńscy. Już 18 stycznia 1821 r. [1]). zostało wydane rozporządzenie metropolity Siestrzencewicza biskupowi Kundziczowi, aby polecił X. Stankonowiczowi, zastępcy wizytatora Zgromadzenia Misjonarzy, bezzwłocznie wysłać do Saratowa XX. Kimborowicza, Pajewskiego, Rawę i Średnickiego.

Z pośpiechu nie wyasygnowano nawet pieniędzy na koszty podróży, których żądać polecono od władz gubernialnych względnie izb skarbowych, co później, zgodnie z przepisami, zostanie potrącone z funduszów pojezuickich [2]). W końcu marca t. r. oficjalnie zostali Misjonarze zawiadomieni, że metropolita przekazał Zgromadzeniu zarząd duchowny w koloniach saratowskich i ono ma odtąd zaopatrywać kolonię w odpowiednią ilość kapłanów. Jak widać z tego ukazu, na miejscu w koloniach już przebywa ze Zgromadzenia ks. Tomasz Kuncewicz [3]). Poprzednio zostało przez władze państwowe ustalone, że księża przebywający w koloniach zamiast otrzymywanych dotychczasowo 250 rb. rocznie będą mieli 500 rb. zbieranych od kolonistów [4]).

---

[1]) W »Księdze jubileuszowej...« str. 173 początek duszpasterstwa Misjonarzy jest podany na rok 1820.

[2]) Archiwum XX. Misjonarzy. Teka ukazów.

[3]) Jak wyżej, ukaz metropolity do biskupa Kundzicza z dnia 29 marca 1821.

[4]) Jak wyżej, metropolita do biskupów dnia 4 marca 1821 r.

Jak się powodziło Misjonarzom w pierwszym okresie pobytu w koloniach, nie posiadamy bliższych informacyj. Z późniejszych wzmianek dowiadujemy się, że superiorem kolonii był wyżej wspomniany X. Kuncewicz, który jednak nie nadawał się na to stanowisko, ponieważ nie znał języka niemieckiego i zajmował się w samym Saratowie tylko „bakalarstwem“ [1]. Na ogół musiano tam bardzo odczuwać brak księży znających język niemiecki — konsystorz metropolitalny wydaje rozporządzenie, żeby w seminariach i studiach zakonnych położono większy nacisk na języki obce, a zwłaszcza niemiecki. Na gwałt wyszukiwano księży znających ten język, polecono zwrócić się o nich nawet do innych zakonów, żeby tylko obsadzić wolne parafie i zastąpić starców [2]. Brak duchownych wpływał na to, że poszczególne parafie przelicytowywały się w proponowanych warunkach, a księża samowolnie zmieniali miejsca pobytu [3]. Praca duszpasterska była bardzo uciążliwa, parafianie wobec istniejących okoliczności przestali poważać duchownych i jak się skarży Misjonarz X. Średnicki z kolonii Kaminsk, robili mu ciągłe awantury, napadli go w nocy na plebanii, chcieli wyłamać drzwi, a gdy im się to nie udało, przyszli nazajutrz — „łajali obrzydliwymi słowy“, zbili służącego. Nie pomogła skarga do X. superiora Kuncewicza, który właściwie nie posiadał żadnego autorytetu. Uciekając przed niebezpieczeństwem X. Średnicki schronił się u swego konfratra w Krasnopolu X. Jackowskiego, który ustąpił mu miejsca i sam przeniósł się do kolonii Siemienowskiej, by pomagać niedołężnemu X. Rostykowi. Sytuacja ta zwróciła uwagę władz kościelnych i w styczniu 1825 r. konsystorz prosi X. wizytatora Zarzeckiego o wyznaczenie nowego superiora [4]. Jak się jednak okazało, spośród przebywających w koloniach księży żaden się nie nadawał do objęcia stanowiska superiora, przed

[1]) W ogóle dawał się odczuć brak szkół w koloniach i dlatego jeszcze za Jezuitów koloniści prosili o szkoły.

[2]) Archiwum XX. Misjonarzy. Teka ukazów. Ukaz nr 2 konsystorza do X. Zarzeckiego i wszystkich seminariów 24 maja 1824 r.

[3]) Jak wyżej. Ukaz rzym.-kat. komisji z dnia 28 maja 1824 r.

[4]) Archiwum XX. Misjonarzy, Teka ukazów. Z ukazu konsystorza do X. Zarzeckiego z dnia 20 stycznia 1825 r.

którym za czasów jezuickich „Niemcy drżeli“ [1]). Na domiar kłopotów wyłoniła się jeszcze potrzeba obsadzenia probostwa w Astrachaniu, czego domagał się biskup z Tyflisu. A tymczasem w Zgromadzeniu księża znający język niemiecki są zajęci jako wykładowcy tego przedmiotu w szkołach Zgromadzenia. Po długich namysłach na superiora kolonii został upatrzony X. Karol Jackowski z kolonii Kaminskdel, a na proboszcza w Astrachaniu, chociażby i nieznającego języka niemieckiego, zgadzały się i władze [2]).

Gdy sprawa obsady superiorstwa została załatwiona — już w początkach roku następnego (1826) wakowało miejsce proboszcza w kolonii Rownana i należało zastąpić X. Koncewicza w Kaminskie, a co najgorsze, żądał metropolita, żeby Zgromadzenie wysłało nowych księży na własny koszt, gdyż rząd na ten cel nie chciał asygnować pieniędzy [3]). Z trudem udało się wydostać metropolicie na tę potrzebę 1 000 rb. [4]). Jacy księża, kiedy i czy wogóle wjechali, z posiadanych źródeł nie możemy się dowiedzieć. W jesieni 1827 r. ma wrócić stamtąd dwu Misjonarzy, a wyjechać trzech, na koszty tych wszystkich wojażów wyznaczono 2 000 rb. tj. 400 rb. na osobę. Jak się dowiadujemy, na miejscu przeprowadzano agitację za sprowadzeniem księży z zagranicy — lecz ogół kolonistów już się zżył z Misjonarzami i był z nich zadowolony [5]). Do wyjazdu na misje szykowało się czterech księży — o czym dowiadujemy się z księgi rozchodów prowincji — gdzie pod datą 8 października 1827 r. zanotowano wydatek 25 rb. 20 kop. na sukno dla X. Wolińskiego i Łopacińskiego i pod datą 10 listopada t. r. 50 rb. dla X. Jakubowskiego i Kuszelewskiego, wyjeżdżających do kolonii saratowskich [6]).

W owe czasy wśród kolonistów przebywali prócz Misjonarzy dominikanie — XX. Wojtkiewicz i Kotwicz, karmelita Ma-

[1]) Jak wyżej. Konsystorz do X. wizytatora Zarzeckiego 10 stycznia 1825 r.

[2]) Ukazy z dnia 21 kwietnia i 23 września 1825 r.

[3]) Jak wyżej. Metropolita do X. Zarzeckiego dnia 22 lutego 1826 r.

[4]) Jak wyżej. Dnia 8 czerwca 1826 r.

[5]) Jak wyżej. Kolegium duchowne do wizytatora Gąsowskiego dnia 27 września 1827 r.

[6]) Jak wyżej. Księga wydatków prowincji.

lecki i francuz, świecki X. Engerrand [1]). Dominikanów początkowo mieli zastąpić ich konfratrzy, jednak już 18 stycznia 1828 r. kolegium duchowne poleca wizytatorowi Gąsowskiemu, żeby na ich miejsce wysłał Misjonarzy. Nie pomogło tłomaczenie, że Zgromadzenie nie posiada księży wolnych i dopiero za dwa lata najwcześniej będzie miało do dyspozycji księży znających obce języki. Kolegium nakazywało wysłać koniecznie, chociażby ze szkodą domów miejscowych, księży nawet nie znających dobrze języków obcych, których będą mogli douczyć się na miejscu [2]).

Na początku 1828 r. obsada duchownych katolickich w koloniach saratowskich była następująca: sześciu Misjonarzy, dwu dominikanów, jeden karmelita bosy i jeden ksiądz świecki. Z powodu tej różnorodności powstają tarcia i niepokoje, które jak twierdzi superior X. Jackowski, nie skończą się dopóty, dopóki nie będą wszyscy jednego zgromadzenia. Pogląd ten podzielało i kolegium duchowne, to też postanowiono, że pozostaną sami Misjonarze. Na koszty podróży nowych Misjonarzy zostaną wyasygnowane dodatkowo pieniądze [3]). Pertraktacje w tej sprawie trwają do początku lata 1828 r. i jak możemy przypuszczać z przyznania „podorożnych" na trzy konie dla każdego z czterech Misjonarzy wyjeżdżających do kolonii saratowskich [4]), tyluż księży latem tam wyjechało.

Warunki pracy w koloniach i stosunki

Praca w koloniach nie była łatwa. Jezuici, pragnąc podnieść żarliwość religijną, za swoich czasów wprowadzili nabożeństwa z wystawieniem Najświętszego Sakramentu we wszystkie uroczystości bez względu na to, czy było to zgodne z kanonami kościelnymi, czy nie. W samych kościołach z powodu braku księży odczuwało się zaniedbanie dochodzące do tego, że w niektórych portatyle ołtarzowe były naruszone, a niekiedy brakło relikwii. Wbrew przepisom spowiadali księża na plebaniach i po zakry-

---

1) Jak wyżej. Kolegium duchowne do X. Gąsowskiego dnia 28 listopada 1827.
2) Jak wyżej. Dnia 5 lutego 1828 r.
3) Jak wyżej, Kolegium do wizytatora Gąsowskiego 20 stycznia 1828 r.
4) Jak wyżej. Dnia 20 czerwca 1828 r.

stiach. Tym wszystkim niedomaganiom miał zaradzić na miejscu X. Jackowski [1]). A tymczasem zaopatrzenie superiora saratowskiego w stosunku do miejscowych cen było wystarczające zaledwie na utrzymanie, na koszty zaś wizytacji nie było skąd wziąć. Zwierzchnie władze duchowne w tej ostatniej sprawie znalazły wyjście — polecając wypłacić wizytatorowi wileńskiemu na wizytacje dla superiora saratowskiego z kasy prowincji, rozumując, że właściwie wizytacje powinien odbywać wizytator prowincji z Wilna, niech więc ponosi w tym wypadku chociaż koszty [2]). Trudności piętrzyły się ze wszystkich stron, nie było nawet katechizmów do nauczania dzieci religii, a gdy znalazł się wydawca, to załatwianie różnych formalności prawnych przewlekało sprawę wydania na daleką przyszłość [3]). Parafianie nie są zaś na wysokim poziomie moralnym, spowiedź na plebanii lub w zakrystii musi być zachowana, gdyż zachodziły wypadki podsłuchiwania przez czekających a nawet zatajania cięższych grzechów, co do których penitenci obawiali się, że nie otrzymają rozgrzeszenia. Na plebanii lub w zakrystii sam na sam z księdzem penitenci bywają szczersi [4]). Na domiar wszystkiego, gdy tak dotkliwie odczuwano brak księży, zdarzały się jeszcze i tym nielicznym nieszczęśliwe wypadki. Oto X. Jan Łopaciński, pleban Grażnowacki, „bawiąc się w r. 1829 strzelaniem do ptaków z fuzji" utracił u lewej ręki wielki palec, stając się „niezdolnym"; udało się jednak wizytatorowi dostać dlań dyspenzę [5]). A tymczasem potrzebni są wciąż księża do nowych kolonii. W marcu r. 1830 administrator diecezji zażądał proboszcza do Pultain w guberni ekaterynosławskiej, gdyż i tam byli Niemcy katolicy, a wśród kleru świeckiego w diecezji nie posiadano odpowiedniego duchownego [6]).

---

[1]) Jak wyżej. Biskup Cieciszowski z Łucka do wizytatora Gąsowskiego dnia 16 lutego 1829 r.

[2]) Jak wyżej. Administrator diecezji mohylewskiej X. prał. Szczytt do wizytatora Gąsowskiego 25 listopada 1829.

[3]) Jak wyżej. Biskup Cieciszewski 17 grudnia 1829 r.

[4]) Jak wyżej. Z raportów X. Jackowskiego do administratora diecez. mohylewskiej.

[5]) Jak wyżej. Bisk. Cieciszewski do Gąsowskiego 9 listopada 1829.

[6]) Jak wyżej. Administrator do wiz. Gąsowskiego 3 marca 1830.

Księża pracując wśród innowierców nie ustosunkowywali się obojętnie do wyznawców innych religii i zapewne próbowali nawracać; z nich proboszcz parafii katierinosztadzkiej X. Kuszelewski przyjął w r. 1830 do spowiedzi kilka nawróconych luterek, co się sprzeciwiało ustawom państwowym i było bardzo niemiłe wyznawcom Lutra. Zrobiła się awantura i biedny proboszcz został usunięty z tego probostwa, a miejsce jego zajął X. Stankiewicz, który miał uspokoić umysły [1]). W początkach r. 1831 przebywali w koloniach oprócz wyżej wymienionych XX. Erdman, Głowacki, Milewski, Piotrowski. W r. 1832 przybyć miał do nich X. Piotr Rogalewicz, by objąć probostwo w Katierynensztadzie [2]). W tym to roku nastąpiła zmiana na stanowisku superiora. Latem r. 1832 czasowo pełnił ten obowiązek X. Milewski, ale uważał, że na to stanowisko nie posiadał odpowiednich kwalifikacyj, gdyż należało znać prócz niemieckiego także język francuski i rosyjski; podług niego odpowiadał tym warunkom X. Łopaciński, proboszcz z Graznowatki [3]). X. Milewski przed nominacją na superiora był proboszczem w Paninskie, po nominacji wyjechał do Saratowa, pozostawiając swoją parafię bez proboszcza, to też parafianie prosili administratora o powrót „ukochanego pasterza", a i sam X. Milewski czuł się kiepsko w Saratowie, gdzie życie kosztowało drogo, a on, za zezwoleniem przełożonych, musiał pomagać rodzinie, co łatwiej mu było czynić z Paninskiej, w której zupełnie dobrze mógł pełnić obowiązki superiora [4]).

Misjonarze pracujący w koloniach po r. 1832

W listopadzie r. 1832 szykowali się do wyjazdu do kolonii X. Milewski Antoni i Rollewicz, którym z kasy prowincji wypłacono 36 rb. na futra (Milewski w r. 1833 został proboszczem w Pa-

[1]) Jak wyżej. Kolegium rz.-kat. do wizytatora 28 listopada 1830 i superior kolonii 28 października 1831 r.

[2]) Jak wyżej. Kolegium dn. 20 lutego 1832 r.

[3]) X. Milewski superiorem mianowany przez wizytatora Bohdanowicza 17 maja 1832 r., zatwierdzony przez konsystorz ukazem z dn. 14 czerwca t. r. List X. Milewskiego do konsystorza 10 sierpnia 1832 r.

[4]) Jak wyżej. Listy administratora diecezji mohylewskiej do wizyt. Bohdanowicza 22 października i 25 listopada 1832 r.

ninskiej). Równocześnie z nim miał jechać X. Brzozowski, któremu odnotowano 18 rb. pożyczki, zapewne na futra. Wyjechali z Wilna chyba niewcześniej niż dnia 7 stycznia 1833 r., gdyż z tej daty pochodzą rewersy na książki wypożyczone przez Milewskiego i Rollewicza z Domu wileńskiego [1]). Po przyjeździe ich do kolonii została zapewne przeprowadzona zmiana na stanowisku superiora, którym został X. Tulcewicz [2]), poprzednio proboszcz w Tonkoszurowce, gdzie rozpoczął budowę nowego murowanego kościoła; kontynuował on ją nadal, odstępując obowiązki proboszcza w Saratowie X. Rollewiczowi. Niepewna była sytuacja X. Stankiewicza, prob. z Katierinensztadtu, który wtedy szykował się do powrotu do kraju [3]). Los jego ostatecznie został zadecydowany w październiku 1833 r. — na podstawie rozporządzenia władz kościelnych X. Stankiewicz wrócić miał do Mohylewa, a jego miejsce objąć X. Tulcewicz, ostatecznie do Katierinensztadtu został wyznaczony X. Paweł Milewski, do Raskatu X. Antoni Brzozowski, w Tonkoszurowce pozostawiono X. Tulcewicza. Kościół tam miał mury już wykończone prócz wieży, nad prezbiterium był nawet pokryty dachem [4]). Niedługo odpoczywał X. Stankiewicz w kraju, w r. 1835 z rozporządzenia bisk. Kłągiewicza wyjeżdża do kolonii w Józefstalu [5]).

Dotychczas dość systematyczne informacje o koloniach saratowskich w dostępnych nam materiałach urywają się teraz. Dowiadujemy się, że w kwietniu r. 1839 superiorem kolonii jest X. Snarski; jak zwykle odczuwano brak księży, a potrzebowano dwu nowych do obsadzenia stanowisk. Zgromadzenie Misjonarzy chciało się wycofać stamtąd, gdyż był to obowiązek zbyt trudny do pełnienia, jednak władze diecezjalne orzekły, że „ponieważ Misjonarze w koloniach saratowskich dotąd poświęcali swoje prace

---

[1]) Jak wyżej. Varia. Rewersy.

[2]) Jak wyżej. Bisk. Kamionka do wizytatora 3 marca 1833,

[3]) Jak wyżej. Z Wizytacji prałata Szczytta w r. 1833, o czym pisze do X. Bohdanowicza 7 sierpnia t. r.

[4]) Jak wyżej. Wizytator kościołów nowojorskich (Szczytt) do X. Bohdanowicza 30 października 1833 r.

[5]) Bisk. Kłągiewicz do X. Bohdanowicza 11 marca 1835. Po powrocie do kraju przebywał X. Stankiewicz u rodziny na wsi; na imię mu było Michał. Interesował się nim biskup już w jesieni 1834 r.

dla dobra religii, odpowiednio swojemu powołaniu, z zaszczytem dla duchowieństwa i zbawiennym pożytkiem dla tamecznych katolików...", więc nadal mają obsadzać tam probostwa [1]). Rok ten był smutny dla kolonii, w Raskacie zmarł zimą r. 1839 X. Brzozowski, czasowo zastępstwo po nim objął X. Łopaciński [2]). Należało jednak posłać kogoś nowego, w dodatku utworzono nową parafię w Karaulnym Bujeraku. Na obsadzenie tych miejsc zostali wyznaczeni latem t. r. XX. Józef Markiewicz i Antoni Milewski, na przeszkodzie stał tylko brak pieniędzy na koszty podróży [3]) — a wydatki to nie były małe, gdyż na wysłanie ich wydano razem 1 411 rb. 75 kop.; pieniądze te zebrali koloniści [4]).

W 1840 r. zawakowały w koloniach dwa miejsca — superiora i proboszcza w Siemienowsku. Na stanowiska te przez wizytatora prowincji litewskiej zostali wyznaczeni X. Adam Szabłowski i X. Antoni Skrutkowski. Jednak już wówczas Zgromadzenie nie cieszyło się zaufaniem lokalnych władz administracyjnych i generał gubernator wileński, przesyłając ministrowi o nich opinię, wypowiedział się przeciwko wysyłaniu tam Misjonarzy, gdyż przy najusilniejszej kontroli nie można być pewnym ich lojalności; z tego też powodu proponuje wysłanie do kolonij księży z innych zakonów [5]). W związku z tym sprawa obsadzenia wolnych miejsc uległa zwłoce.

Noworoczny list wizytatora, pisany I. 1 1841 r., przynosi wiadomość o śmierci X. Józefa Turcewicza w Saratowie. Robiony w tym roku wykaz XX. Misjonarzy znających język niemiecki podaje między innymi i przebywających w koloniach saratowskich, A mianowicie: X. Jakubowski Józef rodem z Białorusi, w wieku l. 41, kształcił się w Orszy, proboszcz w par Żuka; X. Lewicki Michał rodem z Królestwa Polskiego, l. 49, kształcił się w Ma-

---

1) Jak wyżej. Mohylewski konsystorz do wizytatora 4 kwietnia 1839 r

2) Jak wyżej. Do wizytatora Bohdanowicza 2 maja 1839 r.

3) Jak wyżej. Ukaz konsystorza z dnia 8 sierpnia 1839 r.

4) Jak wyżej. Varia. Rachunek kosztów podróży wyjeżdżających do Karaulnego Bujeraku i Raskatnej. Na powóz i reparacje jego w drodze 273 rb., ubranie i książki 365 r. 75 k., przeżycie 258 r. »progony«, przewóz 537 r., razem 1.411 r. 75 k.

5) Archiwum Państwowe w Wilnie: Kancelaria Generał-Gubernatora R. 1840, Nr. 159 k. 2 dnia 15. X. 1840 r.

riampolu, proboszcz w par. Barońsk v. Katernięty; X. Łopaciński Jan rodem z Królestwa Polskiego, l. 41, kształcił się w Mariampolu, proboszcz par. Tonkoszurówka; X. Markiewicz Józef rodem z gubernii wileńskiej, l. 31, kształcił się w Traszkunach, proboszcz par. Raskatno; X. Milewski Paweł rodem z obwodu białostockiego, l. 37, kształcił się w Białymstoku, proboszcz w par. Rownoje; X. Milewski Antoni rodem z obwodu białostockiego, l. 33, kształcił się w Białymstoku, proboszcz par. Karaulnego Bujeraku; X. Milewski Antoni rodem z gub. wileńskiej, l. 41, kształcił się w Białymstoku, proboszcz w par. Paninsk; X. Nakutowicz Jerzy rodem z gub. wileńskiej, l. 36, kształcił się w Datnowie, proboszcz w par. Kamionka; X. Rollewicz Piotr rodem z gubernii wileńskiej, l. 43, kształcił się w Datnowie, proboszcz w Kasicku; X. Snarski Wincenty rodem z obw. białostockiego, l. 43, kształcił się w Tykocinie, proboszcz w Saratowie i superior kolonii [1]).

Projekt generał-gubernatora wileńskiego nieobsadzania przez Misjonarzy stanowisk w koloniach uzyskał aprobatę ministra, tylko na przeszkodzie stanął brak w innych zakonach księży, znających język niemiecki. Po dłuższych pertraktacjach władze administracyjne zgodziły się ostatecznie na księży świeckich, odpowiadających tym wymaganiom; kandydatów po przewlekłych poszukiwaniach znaleziono w diecezji żmudzkiej. Byli to: X. Michał Ławrynowicz, altarysta twerskiego kościoła i X. Sylwester Limażewicz, wikary z Nowych Zagór [2]).

Jednak gdy przyszło do wyjazdu, kandydaci pochorowali [3]) — zapewne nie nęciła ich daleka podróż do obcych stron. A tymczasem parafianie niecierpliwie oczekiwali duszpasterzy, śląc podania do władz najwyższych. Interpelowany na skutek tych podań metropolita tłumaczył się, że na terenie metropolii będzie posiadał księży świeckich, znających język niemiecki, dopiero za kilka lat,

---

1) Jak wyżej. Varia, dane o księżach znających jęz. niemiecki.

2) Archiwum Państwowe w Wilnie: Kanc. Gen. Gub. Wil. R. 1840 N 159 k. 19 dnia 20. V. 1841 r. bisk. Giedroyć do generał-gubernatora wileńskiego.

3) Archiwum Państwowe w Wilnie: Kanc. Gen. Gub. Wil. R. 1840 N 159 k. 30 minister spraw wewnętrznych do generał-gubernatora wileńskiego 11. III. 1842 r.

gdy pokończą studia klerycy; obecnie jedynie Misjonarze posiadają księży mających żądane kwalifikacje. Mimo więc zastrzeżeń należało przyjąć ich kandydatury — w marcu 1842 roku zostali wyznaczeni do podróży: proboszcz kościoła misjonarskiego w Wilnie X. Wiktor Ejmuntowicz i X. Tomasz Kierznowski, nauczyciel w telszewskim seminarium diecezjalnym [1]). Ostatecznie jednak X. Kierznowski nie mógł jechać — zapewne był potrzebny na miejscu jako wykładowca; oficjalnie jako przyczynę podano zły stan zdrowia. Zamiast X. Kierznowskiego z Wilna miał razem z X. Ejmuntowiczem wyjechać X. Aleksander Dąbrowski [2])

Sprawa nadzwyczaj jest pilna, więc mają nie czekać aż nadejdą pieniądze od parafian, a natychmiast wyruszać; w tym celu daje im bisk. Cywiński na koszty podróży tytułem pożyczki 200 rb. oraz „podrożną" na 3 konie, oprócz tego otrzymali od władz państwowych 120 rb. sr. tytułem wiorstowego i strawnego („progony" 289 rb. 5 k. as. i strawne 37 rb. sr. 4½ kop.). Z obliczeń wiorstowego dowiadujemy się, że droga wynosiła 1 762 wiorsty [3]).

Była to ostatnia partia księży dla kolonii saratowskich z prowincji litewskiej XX. Misjonarzy, w roku następnym Zgromadzenie z rozporządzenia władz rosyjskich uległo kasacie. Lecz poszczególni konfratrzy nie zapomnieli o spójni, która ich łączyła, X. Snarski pozostał nadal „superiorem saratowskich rzymskich kościołów" i przez długie lata koresponduje z X. Erdmanem, ostatnim z Misjonarzy na posterunku wileńskim. W jednym z nielicznych z zachowanych listów z r. 1850 dziękuje za przysłane z Wilna kalendarze i prosi o medaliki, zawiadamia o przybyciu do kolonii X. Sylwestrowicza, który przyjechał do Saratowa 31 marca t. r. i natychmiast objął probostwo w Katierinensztadzie, życzy „We-

---

[1]) Archiwum Państwowe w Wilnie: Kanc. Gen. Gnb. Wil. R. 1840 N 159 k. 71. biskup Cywiński do generał-gubernatora wileńskiego 30. III. 1842 r.

[2]) Archiwum Państwowe w Wilnie: Kanc. Gen. Gub. Wil. R. 1840 N 159 k. 43 minister spraw wewnętrznych do generał-gubernatora wileńskiego 10. VIII. 1842 r. Archiwum X. X. Misjonarzy, Varia. Ukaz Kolegium z dnia 12. VI. 1842 r.

[3]) Archiwum X. X. Misjonarzy, Jak wyżej. Varia. Biskup Cywiński do wizytatora 15 września 1842.

sołych Świąt" [1]). Ostatni znany nam list jego nosi datę 17 stycznia 1869 r., zasyła w nim życzenia i pozdrowienie, sam czuje się bardzo kiepsko, już od tygodnia nie chodzi do kościoła. Z początku zrobił mu się wrzód na ręce, potem ranka a teraz opuchlina; jednocześnie przesyła swą fotografię — wyjął ją z ramek. Z listu daje się odczuć cała głębia utajonego bólu i tęsknoty [2]). Nie trwały już one długo, zmarł 23 marca 1871 r. w wieku lat 73, powołania 48 [3]).

Placówka nie została pusta, wymierających Misjonarzy zastąpili polscy księża zesłańcy, by dalej przewodniczyć obcym narodowo a bliskim w Chrystusie osadnikom saratowskim.

Misjonarze z liczby ostatnich zmarli w koloniach.

Chwil kilka przed zamknięciem dziejów Misjonarzy w koloniach saratowskich poświęćmy księżom zmarłym w koloniach po kasacie Zgromadzenia. Szereg ich zaczął X. Antoni Milewski, zmarły w Odessie w wieku lat 40, powołania 20, za nim idzie X. Srzedziński Jakub, zmarły w r. 1845 w Saratowie w wieku lat 60, pow. 37; trzecim był X. Racewicz Augustyn, zmarły w Saratowie w r. 1854, w wieku l. 80, pow. 57; czwartym — X. Lewicki Michał, zmarły w r. 1864 w wieku l. 72, pow. 57; piątym — X. Ejmuntowicz Wiktor, zmarły w r. 1865 w wieku l. 47, powołania 29 [4]); szóstym X. Antoni Milewski, zmarły w r. 1866 w wieku l. 66, pow. 48 [5]). Dalszych nie było gdzie notować — w dawnym Domu wileńskim już nie rezydowali Misjonarze, ostatnie wzmianki zostały podane we wspomnieniach pośmiertnych w rubrycellach diecezji tyraspolskiej, mianowie o X. Józefie Jakubowskim, honorowym kanoniku, zmarłym 26 września 1872 w wieku l. 71, pow. 46 i bodaj że ostatnim — X. Janie Łopacińskim, emerycie, zmarłym 8 marca 1873 w wieku lat 73, pow. 47.

---

1) Jak wyżej Varia. List X. Snarskiego 2 kwietnia 1850 r. do X. Erdmana.

2) Jak wyżej.

3) Rubrycelle diec. tyraspolskiej na r. 1872. Był do śmierci proboszczem sarat., honorowym kanonikiem, monsjonarzem tyraspolskiej katedry i asesorem konsystorza.

4) W »Księdze Jubileuszowej...« str. 131, data jego zgonu podana mylnie na rok 1862 i wymieniony jest jako ostatni tutaj ze Zgromadzenia.

5) Wykaz zmarłych XX. Misjonarzy w latach 1844—1868.

Zakończenie.

Na zakończenie tego naszego szkicu chwil kilka jeszcze poświęcimy koloniom, które kończą swój proces odrębności ustrojowej w drugiej połowie w. XIX, kiedy to kolonistów zaczęto powoływać do bezpośrednich świadczeń na rzecz państwa rosyjskiego — obowiązkowej służby wojskowej. Wtedy następuje opuszczanie kolonii przez Niemców — emigracja do Ameryki (głównie Stany Zjednoczone, Argentyna, Brazylia) i tworzenie tam odrębnych osad Niemców nadwołżańskich. Proces ten trwa przez szereg lat, przybierając najsilniejsze natężenie po wielkim głodzie (z powodu posuchy) w latach 1890—1891 [1]. Niemcy kolonizowali także puste obszary wewnątrz państwa rosyjskiego. Ilość ich jednak w związku z przyrostem naturalnym nie zmniejszyła się, tuż przed wybuchem wojny światowej wynosiła 400 000 głów.

Po upadku monarchii rosyjskiej i rządów rewolucyjnych nastąpiły gruntowne zmiany w ustroju kolonii, które zostały zorganizowane w odrębną republikę Niemców nadwołżańskich, obejmującą obszar 27 000 km² z 625 700 ludności, w czym około 66,5% Niemców, 20% Rosjan, 12% Ukraińców. Stolicą nowej republiki został Pokrowsk zwany obecnie (1932 r.) Engels.

Już za czasów rządów Rad Socjalistycznych nie ominął kolonistów głód i deportacje na Sybir. Szczęśliwym udało się wydostać z raju sowieckiego i wrócić do Rzeszy, część udała się do Ameryki — głównie Brazylii (w r. 1921 74 084 głów [2]), gdzie znowu zetknęli się z polskimi Misjonarzami, którzy tam pełnią obowiązki duszpasterskie w koloniach polskich [3]).

---

[1]) Minch An.: Istoriko-Geografi czeskij słowar, t. I, wyp. Lit. D-K. Saratów 1900 str. 419.

[2]) Por. Der Gross Brokhauss... t. 20 Lipsk 1935 str. 438—439, art. Wolgadeutsche. Tamże literatura.

[3]) Wspomnienia X. Rzymełki, vice-wizytatora w Brazylii w latach 1921 — 1929.

X. Edward Mott.

(Dokończenie)

X. Mott był nadto człowiekiem pióra i dzieł. Pisał z taką łatwością, jak mówił. Działał z takim przekonywaniem, z jakim może działać jedynie osoba, którą kieruje Duch św. Duch jego zawsze w pracy nie przestawał szukać nowych środków, by coraz bardziej przyczynić się do dobra Kościoła i Zgromadzenia. Do tego celu służyły nowe nabożeństwa, nowe stowarzyszenia i nowe dzieła.

Nie wszystkie jego zamiary doszły do skutku, np. jego nabożeństwo do Najśw. Oblicza, ogłoszone drukiem po zatwierdzeniu przez arcybiskupa z Tours; nabożeństwo do Dziewicy kapłanki; myśl utworzenia rocznych rekolekcyj głoszonych do konfratrów Domu Macierzystego. Inne projekty spotkał lepszy los, jak np. napisanie „Rozmyślań" do użytku Zgromadzenia XX. Misjonarzy; nabożeństwo do szkaplerza zielonego i zadośćuczynienie kapłańskie.

Przez długi czas używało Zgromadzenie we Francji zbioru rozmyślań sulpicjanina Hamona. Zgromadzenie nasze nie posiadało jeszcze podręcznika sobie właściwego. Wielu Misjonarzy bolało z powodu tej luki. O. Generał Fiat 25 stycznia 1881 roku zaapelował do dobrej woli konfratrów w własnoręcznym cyrkularzu. Wielu rozpoczęło pracę. Porzucili ją jednak, bo zadanie to było zbyt obszerne i trudne. „Musiałem pomyśleć wówczas, pisze O. Generał Fiat, o wyszukaniu sobie Misjonarza, któryby dla swej wiedzy i pobożności, połączonej z doświadczeniem i niepowszednim poświęceniem, był w stanie oddać tę wielką przysługę maluczkiemu Zgromadzeniu. Bóg dał mi tę łaskę, że znalazłem owego konfratra, lub raczej sam P. Bóg umieścił go pod moją ręką. Było to w październiku 1890 r. Natychmiast zabrał on się do

dzieła, nie przestając wszakże oddawać się swoim zwyczajnym zajęciom, które z pewnością były wystarczające do zapełnienia całego jego dnia. Ukończywszy manuskrypt, oddał go zaraz do oceny kilku Misjonarzy najwięcej kompetentnych i najwięcej do tego upoważnionych. Ci zażądali, by dzieło całkowicie przerobił. Godzili się jednak na treść i zachwalali autora dla jego niezaprzeczonych zasług. Nasz czcigodny i drogi konfrater nie dał się zniechęcić, jak się tego obawiano. Przejrzał jeszcze raz każde rozmyślanie zosobna. Przeprowadził w nich gruntowną korektę, dodał to lub owo i porobił znaczne zmiany. Wówczas to wyraził on życzenie, by jego manuskrypt służył przez jeden rok za książkę z rozmyślaniami dla Domu Macierzystego. Tem samem poddał swój manuskrypt badaniom i krytyce członków zamieszkałych w tym domu, a tak stał się on przedmiotem obserwacyj, z których autor czuł się szczęśliwy, że może korzystać, by lepiej jeszcze poprawić swą pracę i uzgodnić ją z prawdziwymi potrzebami maluczkiego Zgromadzenia. Wreszcie oddano dzieło do druku, a pierwsze jego egzemplarze dano do użytku dopiero wówczas, kiedy przeszły przez ręce trzech kompetentnych egzaminatorów, wybranych z pośród teologów Domu Macierzystego".

Zarzucają niektórzy, że w tekście rozmyślania X. Mott często upodabniają się do rozmyślań X. Hamon. Podobieństwo to pochodzi być może stąd, że zbyt przynaglano naszego konfratra do urzeczywistnienia swojego dzieła, o jakim marzył.

Pierwszy tom ukazał się w 1898 r. Trzy następne wyszły w niespełna w jednym roku. Wtedy O. Generał Fiat wyraził w cyrkularzu nadzieję, że wszystkie domy Zgromadzenia przyjmą to dzieło, a konfratrzy innej narodowości przetłumaczą je na swój język z polecenia Księży Wizytatorów. Ta ostatnia zachęta odnosiła się do Hiszpanii i Austrii.

X. Mott uzupełnił później swoją pracę wydaniem piątego tomu, przeznaczonego na czas rekolekcyj. W 1918 r. wydał streszczenie całości w jednym tomie.

Nowe wydanie okazało się konieczne w 20 lat potem. Jeden z konfratrów Domu Macierzystego, któremu powierzono przeglądnięcie tego wydania, zauważył wielką liczbę niedokładności, np. nieodpowiednie wyrażanie się o prawdach dogmatycznych, złe

tłumaczenie tekstów Pisma św., legendy podane jako fakty historyczne, zbytnia łatwowierność dla wizyj i objawień prywatnych.

X. Mott był utalentowanym pisarzem religijnym, stał pewną stopą na gruncie nauk pozytywnych, jak dogmatyka, egzegeza czy historia. Dążność do cudowności i nadprzyrodzoności nie tłumiła w nim ducha krytycznego. Poprawki wyznaczonego cenzora pozwoliły mu nadać dziełu więcej doskonałości. Szkoda tylko, że ich wszystkich nie uwzględnił. Jako całość jego „Rozmyślania" oddały i oddawać jeszcze będą wiele usług. Widzieliśmy wybitnych kapłanów z duchowieństwa świeckiego, jak prosili o te „Rozmyślania" dla siebie.

X. Mott miał jeszcze inne zajęcia. W r. 1892 powstała u niego, wskutek zwierzeń, jakimi darzyła go pewna pobożna osoba mająca widzenia, myśl utworzenia dzieła zadośćuczynienia. Chodziło o to, by pobudzić osoby poświęcone Bogu, ażeby dobrowolnie oddały się Jemu, jako ofiara ekspiacyjna za grzechy kapłanów. X. Mott napotkał na silny opór. Nalegać bowiem na zakonnice, by stały się ofiarą zadośćuczynienia za grzechy kapłanów, czyż to nie było niestosowne i niebezpieczne? Mimo sprzeciwu, X. Mott szedł naprzód, zapoczątkował swoje Stowarzyszenie, ułożył statuty, uzyskał zatwierdzenie Stolicy św., zdobył dla swojego dzieła zainteresowanie biskupów, urządzał zebrania i szerzył w swych pismach naukę o zadośćuczynieniu.

Kapłańskie zadośćuczynienie, początkowo jedno pisemko, rozszczepiło się po tym: „Kapłańskie zadośćuczynienie", organ kapłanów wynagradzających i „Kapłańskie wynagrodzenie", sekcja pomocników. Za nimi ukazały się inne dzieła: „Stowarzyszenie kapłańskiego zadośćuczynienia", „Manualik dla kapłanów wynagradzających" (Paryż, 1917, in 8^0, drugie wydanie w 1920; dzieło przetłumaczone na język hiszpański), „Stowarzyszenie kapłańskiego zadośćuczynienia", „Manualik dla pomocników zadośćuczynienia" (Paryż, 1917, in 8^0, drugie wydanie w 1920), „Stowarzyszenie kapłańskiego zadośćuczynienia", „Mały przewodnik do użytku dyrektorów diecezjalnych" (Paryż, 1917).

Stowarzyszenie rozszerzyło się bardziej, niż się spodziewano. X. Mott zyskał wiele zwolenniczek wśród zakonnic. Niestety w Stowarzyszeniu tym księża stanowili minimalną tylko cząstkę. Nieraz

zwracano uwagę X. Mott, że Stowarzyszenie kapłańskie winno się składać jedynie z samych kapłanów; nie zasługuje bowiem już na tę nazwę, jeżeli przeważa w nim element niewieści. A już na prawie zupełnie wyjątkowym możnaby do niego przyjmować inne pobożne osoby w charakterze pomocników. X. Mott nie mógł zrozumieć tego koniecznego zastrzeżenia i z trudem tylko można było pohamować tę jego gorliwość, obejmującą wszystko.

Przy szkaplerzu zielonym X. Mott nie napotkał podobnych trudności. Opowiedziano mu o wizjach Siostry Bisqueyburu. Odrazu zapalił się chęcią usłyszenia o tym opowiadaniu z ust samej uprzywilejowanej nieba. Zapytał ją. Ponieważ owa Siostra podówczas przełożona w Carcassonne, odmówiła odpowiedzi na jego zapytania, X. Mott wystarał się o misję urzędową i w roku 1872 stanął przed nią po raz drugi z tymi słowy O. Generała Etienne: „Proszę cię moja Siostro Bisqueyburu, byś raczyła opowiedzieć i bez obawy powierzyć X. Mott, kapłanowi Zgromadzenia Misyj i dyrektorowi seminarium w Oran (Algeria), to wszystko, co słyszała o szkaplerzu zielonym".

Polecenie to pozostało bez skutku. „Zapomniałam wszystko, odpowiedziała S. Bisqueyburu młodemu kapłanowi 26-letniemu, który musiał się jej wydawać natrętnym i ciekawym. Proszę więcej o tym mi nie wspominać — mówiła dalej S. Bisqueyburu. Obecnie myślę tylko o tym, by wywiązać się jak najlepiej ze swych obowiązków stanu".

X. Mott uparł się jednak. Z Carcassonne udał się do Narbonne, aby zobaczyć się ze Siostrą Buchepot, dawną dyrektorką seminarium i powiernicą S. Bisqueyburu. S. Buchepot opowiedziała mu o tym. Pożyczyła mu nawet listów, jakie S. Bisqueyburu pisała do niej z czasów objawień, a zarazem korespondencji prowadzonej z jej dyrektorem X. Aladel. Mając te akta i inne jeszcze dokumenty później zebrane, napisał X. Mott w 1911 książeczkę pt.: „Obraz na zielonym płótnie Niepokalanego Serca Marii, zwany szkaplerzem zielonym" (Lille, Desclée) i w 1923 „Szkaplerz zielony i jego cuda" (Paryż, Mignard, dzieło przetłómaczone na j. hiszpański w 1923). Nabożeństwu temu, które już od wielu lat szerzył słowem i rozdawaniem szkaplerzy, P. Bóg błogosławił, jak to

możemy wnosić z licznych nawróceń na łożu śmierci, które się jemu przypisuje.

Literacka działalność X. Mott nie ograniczała się tylko do dzieł wyżej wspomnianych. Lista jego pism jest dosyć długa. Oto ważniejsze:

„Ustawiczne zadośćuczynienie przez ciągłą pamięć na cierpienia Serc Jezusa i Marii", przez M. E. Mott (Paryż, Boumard, 1913; dzieło przetłómamaczone na j. włoski).

„Środek na zło obecne, czyli chrześcijańskie zadośćuczynienie", przez M. E. Mott (Lille, Desclée, 1906).

„Modlitwa myślna. Kilka uwag pomagających do pożytecznego odprawienia tego świętego ćwiczenia", przez Mariana Edwarda Mott (Paryż, Arthur Savaète, 1927).

„Życie wewnętrzne" (Paryż, 1918; wyciąg z Manualika dla Księży wynagradzających).

„Rady dla życia duchownego". Trzy dziełka in 8⁰, zatytułowane: Świat, Powołanie, Regulamin życia (Paryż, Poussielgue, 1886 r.).

„Wody uświęcające, czyli przewodnik duchowny dla duszy chrześcijańskiej po miejscach kąpielowych", przez pewnego kapłana Zgrom. Misyj (Paryż, Desclée, 1900).

„In festo Imaginis sacri Vultus Domini nostri Jesu Christi. Proprium officii et missae schema" (Tours, Allard, 1909).

„Rozmyślania o Męce i Najśw. Sercu do użytku duchowieństwa i wiernych", przez Mariana Edwarda Mott, (Lille, 1902, in 18⁰).

„Ćwiczenia duchowne do użytku duchowieństwa i wiernych według ducha św. Wincentego a Paulo" (Lille, Paryż, Desclée de Brouwer, 1914).

„Listy z Rzymu, czyli kilka uwag z kongresu mariańskiego, dotyczącego naszych obydwu rodzin" (Paryż, 1904).

„Objawienie się Niepokalanej Dziewicy w 1830. Jego następstwa religijne i społeczne", przez pewnego kapłana Zgromadzenia Misyj (Paryż, Lecoffre, 1906).

„Rozporządzenie co do rozciągłości na cały Kościół święta z 27 listopada".

„Stowarzyszenie Cudownego Medalika".

„Przewodnik dla Stowarzyszeń Dzieci Marii Niepokalanej, założonych u Sióstr Miłosierdzia, do użytku dyrektorów i dyrektorek tych Stowarzyszeń“, przez kapłana Zgromadzenia Misyj (Paryż, 1897, in 12°).

„Wskazówki dla dzieci Marii zamężnych“ (Paryż, Poussielgue, 1920, in 18°).

„Św. Wincenty a Paulo, a kapłaństwo“, przez kapłana Zgromadzenia Misyj (Paryż, Desclée, 1900; przetłumaczone na język hiszpański).

„Św. Wincenty a Paulo, a urobienie duchowieństwa“, przez M.-E. M. (Paryż, Lethielleux, 1905; wyciąg z Recrutement sacerdotal).

„Krótki życiorys wielebnego J. Gabriela Perboyre“ (Paryż, 1886, in 12°; powtórnie wydany w 1890 z kilkoma dodatkami; przetłumaczony na język łaciński do użytku duchowieństwa chińskiego przez X. d'Addosio).

„Życie i męczeństwo błog. Jana Gabriela Perboyre“, przez kapłana Misyj (Paryż, Gaume, 1890).

„Błog. Jan Gabriel Perboyre“. Skrót poprzedniego (Paryż, Libr. Saint-Paul, drugie wydanie w 1890, u Desclée, w Lille).

Aby być kompletnym należałoby dodać artykuły z przeglądu „Kapłan i Apostoł“, zakończone podpisem Myriam. Następnie trzy broszurki. Pierwsza o Zgromadzeniu Misyj, druga o Zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia, trzecia o Braciach koadjutorach.

Wszystkie te pisma traktują o pobożności. X. Mott miał ducha z natury skierowanego w tę stronę. Pobożność stanowiła jego cnotę dominującą. Był pobożny aż do namiętności. Jego życie wewnętrzne rozwijało się przede wszystkim w świecie nadprzyrodzonym. Jego myśli, jego słowa, jego pisma posiadały ten sam kierunek. Było nawet nieco przesady w tej tendencji mistycznej.

Duchowe jego łakomstwo posuwało się bardzo daleko. Przynależał do karmelitów z Agen, Bordeaux, Saintes, Paryża, La Rochelle, Périgueux, Lisieux i do trapistów z Staouéli. Był członkiem kapłańskiego Związku eucharystycznego dla rozpowszechnienia praktyki codziennej Komunii sw., Trzeciego Zakonu św. Franciszka z tytułem dyrektora i z władzą przyjmowania do habitu i profesji, Dzieła Adoracji Najśw. Serca Jezusa w Montmartre,

Arcybractwa św. Michała Archanioła, Arcybractwa Matki Boskiej Dobrej nadziei, Zjednoczenia kapłańskiego duchownych Braci św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

W regułach swoich mają XX. Misjonarze przepisane składanie ślubów św.: ubóstwa, czystości, posłuszeństwa i wytrwałości. X. Mott dodał do nich trzy inne: pokory, ofiary i czynienia co doskonalsze. W Rzymie wystarał się o wszelkie władze potrzebne do jego świętego urzędu kapłańskiego. Nigdy nie uważał się za dość bogatego w przywileje porządku nadprzyrodzonego. Kiedy mu doniesiono o pewnej osobie, posiadającej widzenia, natychmiast nawiązywał z nią stosunki; o opętanym – zaraz przystępował do egzorcyzmów. Gdy opowiadano o jakimś cudownym fakcie, usiłował w pierwszym rzędzie odkryć, ile w nim elementu bożego, czy szatańskiego. Mimo, że niejednokrotnie w tym się oszukał, nie zmienił jednak swego nastawienia duchownego.

X. Mott żył życiem wewnętrznym i to bardzo intensywnym. Co miesiąc odprawiał komunikację u swojego dyrektora. A kiedy był nieobecny posyłał ją pocztą.

Jego sprawozdania ze swych rocznych rekolekcyj są swego rodzaju prawdziwymi wzorami. Nade wszystko są one praktyczne, piękne i budujące. Nie gubił się nigdy w ogólnikowych rozumowaniach. Poznać swe wady, by się z nich poprawić, oto do czego dążyły wszystkie jego ćwiczenia duchowne. Aby je lepiej poznać, uciekał się o pomoc do swojego superiora i swoich konfratrów. Przychodził do ich pokoi z zapytaniem o swe wady. Jako przykład weźmy pierwszy lepszy ustęp sprawozdania z 1900 r. Tam poznamy to, co działo się w czasie innych rekolekcyj:

„O godzinie 9·30 pytałem się księży, jakie wady i uchybienia zauważyli we mnie. X. Forestier przyjął mnie dość zimno i ganił mnie za moją dziwaczność (śpiew, wymowa, rekreacja, wstawanie, kładzenie się na spoczynek itd.). X. Allou przyjął mnie bardzo życzliwie, a wśród wielu komplementów powiedział mi: 1-o, że w kazaniach należałoby unikać zbytniego poniżania się; 2-o, że dla ogólnego zbudowania byłoby może lepiej zgolić brodę. X. Meugniot powiedział mi, że słyszał, jak mnie ganiono za kierownictwo Sióstr i że od razu rozstrzygam niektóre sprawy, jak np. zmiany, rzeczy do mnie nie należące itd. X. Louwyck nie-

chciał mi oddać tej przysługi, tłumacząc się tym, że mało ma stosunków z księżmi domowymi. X. Guichart powiedział mi, że absolutnie nic nie zauważył. X. Tissot wyraził mi tylko komplementy. Na końcu rzekł, że tylko to zauważył, że może zbyt ociężale mówię na początku kazań. X. Médus powiedział mi, że zarzucają mi: 1-o wiele przesady; 2-o moją dziwaczność, np. moja broda; 3-o brak zmysłu praktycznego".

X. Mott powziął 8 postanowień. Siódme wyglądało w ten sposób: „Ogolić swą brodę w dniu zamknięcia rekolekcyj, następnie golić się przynajmniej dwa razy na tydzień". Postanowienie zostało wykonane, ponieważ stronica kończy się na tych słowach: „W dniu zakończenia rekolekcyj poszedlem ogolić swą brodę, czego serdecznie pogratulował mi X. Forestier".

X. Mott musiał jednak zapuścić swą brodę w 1889, jadąc na Wschód. Nowa podróż do Jerozolimy w 1901 postawiła go w podobnej konieczności. Po powrocie na próżno będzie mu to przypominał X. Forestier.

Jeżeli nasz czcigodny konfrater cofał się przed tak małym umartwieniem, to odważnie podejmował inne. W 1901 pisał: „Niestety! Musiałem porzucić dyscyplinę i posty. Pozostało mi tylko twarde łoże, wstrzymanie się od wina, kawy i innych ostrych napojów. Na śniadanie mleko bez cukru". A w 1902: „Mój dyrektor powiedział mi, że mogę nadal używać swej dyscypliny tylko w piątki i zachowywać posty kościelne, o ile moje zdrowie nie poniesie na tym szwanku". Te dobrowolne pokuty były niczym w porównaniu z ciężkimi krzyżami, jakie Pan Bóg zsyłał na niego pod wieczór jego życia, chcąc widocznie w ten sposób dać mu sposobność do wypełnienia swego ślubu ofiary.

Najpierw krzyże moralne: W 1904 śmierć jego matki. W 1906 śmierć jego szwagra p. Wiktora Favier, honorowego profesora liceum w Nice, starca 88-letniego. Wkrótce potem śmierć jego starszej siostry. Emilia i jej mąż, przeżywszy długi czas w obojętności, a nawet w niewierze, powrócili do Boga dzięki zachętom i modlitwom X. Mott.

Do tych prób, przeplatanych radościami, dołączyły się krzyże innego jeszcze rodzaju. Oczy jego dotknęła katarakta, przez co

powoli utracił wzrok. Odtąd z korespondencją i lekturą musiał się zwracać do innych.

Te doświadczenia tak częste i tak bolesne powiększyła jeszcze choroba. A była naprawdę bardzo ciężka. Widzieliśmy go, jak leżał na łożu cierpienia w niesłychanych boleściach. Stan ogromnych cierpień uwidoczniał się tylko w poruszeniach głowy i w rysach twarzy.

Nogi jego pokryły okropne wrzody. Potrzebował spoczynku. On jednak odmawiał sobie tej konieczności, bo chciał przede wszystkim dawać dobry przykład swemu Zgromadzeniu. Widziano tego czcigodnego starca, nachylonego wiekiem, jak z trudem wlókł się z pokoju do oratorium, wsparty na lasce, a potem z oratorium do refektarza. A kiedy choroba sprowadziła go do infirmerii, wówczas po najlżejszym polepszeniu kierował swe kroki tam, dokąd dążyło całe Zgromadzenie. Wreszcie mimo wszystko trzeba było ustąpić. Choroba ma zawsze ostatnie słowo, nawet dla upartych.

X. Mott miał zapewne i inne dolegliwości, o których jednak nigdy ani słówkiem nie wspomniał. Dzielnie znosił cierpienia stąd wynikające.

Powoli obrzmienie nóg dochodziło do serca. Przez 15 dni walczył ze śmiercią. A kiedy po tak długim zmaganiu się z nią sądzono, że już oddał ostatnie tchnienie, życie powróciło, a on w gorączce prawił kazania.

Wreszcie nadeszła ostatnia godzina. Jego dusza uleciała do Boga 5 czerwca 1934 r. tuż po północy w dziwnych uczuciach pobożności i poddania się Woli Bożej.

Wiadomości z Misyj Zagranicznych.

Wiadomości z Watykanu.

Nominacja X. Alcyda Mariny C. M. — Dnia 24-go maja 1937 r. odbyła się wielka uroczystość w bazylice św. Piotra w Rzymie z racji konsekracji X. Alcyda Mariny C. M., który piastował uprzednio urząd delegata apostolskiego w Iranie.

X. A. Marina urodził się w roku 1887 w Santo Imento we Włoszech. Studia swoje tak początkowe jak i wyższe odbywał w Piacenza. Do Zgromadzenia XX. Misjonarzy wstąpił w r. 1907 i tu jako członek Zgromadzenia rozwinął szeroką działalność społeczną, za co został jeszcze przed wojną światową udekorowany wielkim orderem włoskim. Wkrótce po wojnie podjął się redagowania „Ephemerides Liturgicae". Nie na tym kończy się jego działalność pisarska, bo nieco później powołuje do bytu przegląd filozoficzno-teologiczny „Divus Thomas". Dorobkiem jego literackim jest również jego tłumaczenie z języka francuskiego na włoski epokowego dzieła X. Coste'a (14 tomów): „Saint Vincent de Paul".

W okresie powojennym zostaje również kierownikiem Stowarzyszenia Pań Miłosierdzia w liczbie 70 000 członkiń czynnych, które to Stowarzyszenie dzięki jego niestrudzonym zabiegom intensywnie działa na terenie charytatywnym w Italii. W roku 1933 zostaje obrany wizytatorem prowincji rzymskiej XX. Misjonarzy. W marcu 1937 r. Stolica św. zamianowała X. Marinę tytularnym arcybiskupem w Heliopolis i delegatem apostolskim Iranu, dokąd też niezwłocznie udał się po swojej konsekracji.

Dekrety Kongregacji Propagandy. — Na mocy dekretu Kongregacji Propagandy z dnia 1 lipca 1937 r. X. Jan

Chrzciciel Wang C. M. został mianowany wikariuszem apostolskim w Ankwo. X. Wang ujrzał światło dzienne w Talikochwang (obecny wikariat Paoting). Do seminarium duchownego wstąpił w Pekinie, gdzie został przyjęty. Tu w Koshing i Chala dokończył swe studia i tu też otrzymał święcenia. Był przez pewien czas wikarym w Paoting, następnie dyrektorem szkoły dla katechistów. wreszcie profesorem tamtejszego małego seminarium. W r. 1931 został dyrektorem małego seminarium w Ankwo i superiorem XX. Misjonarzy, a ostatnio administratorem wikariatu.

Chiny.

Pomoc medyczno-misyjna w Pengpu. — Jak wszystkie kraje, tak i Chiny nie są wolne od chorób. Wikariat apostolski w Pengpu szczególnie odznacza się sprawnym organizowaniem pomocy medycznej i dzieł miłosierdzia chrześcijańskiego. Aby temu dziełu sprostać wysyła swoich lekarzy do fachowców w celu przeszkolenia i wyspecjalizowania się w pewnych kierunkach. Między innymi wysłał wikariat jednego z lekarzy do X. dr. Szuniewicza w Shuntehfu, by mógł zaczerpnąć wiedzy leczenia chorób ocznych i następnie rozwinąć podobną działalność na terenie wikariatu w Pengpu.

Statystyki z polskiej prefektury w Shuntehfu. Świeżo dokonana statystyka wykazuje liczbę 17 683 chrześcijan (w r. ub. 16 784), zgrupowanych wokoło 260 gmin, podzielonych na 8 placówek misyjnych. Misjonarzy czynnych na misjach jest 14, a w tym 9 Polaków, a 5 chińskich księży. X. dr Szuniewicz pracuje w szpitalu. Jeden ksiądz Polak kierował szkołą w Shuntehfu.

Dwaj starsi księża byli zajęci pracą organizacyjną, a dwaj najmłodsi studiowali język chiński w Pekinie (przybyli do Chin w listopadzie 1936 r.).

Dzieła miłosierdzia prowadzi 12 Sióstr Miłosierdzia (8 Polek i 4 Chinki); szpital oczny, 3 przychodnie oczne dziecięce, sierocińce (56 sierót), żłóbek (178 niemowląt), przytułki dla starców i staruszek (42 osoby), szkoła powszechna, szwalnie. Poza obrębem miasta istnieje 6 przychodni ocznych na terenie prefektury. Łączna liczba porad wynosi 167 520.

Dzięki głównie ofiarom z Polski utrzymaliśmy 69 szkół parafialnych z 1 423 uczniami (uczennicami); szkół powszechnych 26 z 804 uczniami; 102 katechumenaty z 2 101 słuchaczami; 2 kolegia dla kształcenia katechistów (katechistek) z 25 uczniami.

W wyniku rocznej pracy otrzymaliśmy 805 chrztów dorosłych, 593 chrztów dzieci. Spowiedzi św. wielkanocnych było 10.999, a z pobożności 55.815 Komunii św., łącznie 154.615.

W porównaniu z rokiem ubiegłym na każdym kroku postęp znaczny, mimo wielu trudności, zwłaszcza natury finansowej.

Rok obecny zapowiada się ciężki. Po 1-sze: wojna chińsko-japońska, tocząca się obecnie w miejscach, wycieńczy kraj i spowoduje drożyznę. Już ją odczuwamy teraz. Po wtóre: niemałe tereny zostały zalane z powodu ulewnych deszczów, wiele domów zniszczonych, zbiorów straconych. Przedwczoraj dopiero przybyli z południa chrześcijanie, oznajmili, że woda ich zalała, poniszczyła im domy, kaplice — licząc na pomoc misjonarzy...

Z powodu wojny protestanci opuścili Shuntehfu. My zostajemy ufni w opiekę Bożą. (Z listu X. Wacława Czapli C. M. do Koła Seniorów A. K. M. w Wilnie, z dnia 17 sierpnia 1937 r.)

Roczny bilans operacyj w szpitalu okulistycznym X. dr. Szuniewicza C. M. jest następujący:

wewnątrz gałki ocznej	127
w orbicie ocznej	52
kanalików łez	78
powiek i spojówek	359
innych	36
Razem . . .	652

K a t e c h u m e n a t y w w i ę z i e n i a c h. — Dzięki życzliwemu ustosunkowaniu się i poparciu władz sądowych w Wuhu i w Tiensinie założono szereg katechumenatów w tamtejszych więzieniach, gdzie więźniowie pouczani przez misjonarzy i katechistów odradzają się w wodzie chrztu. W dniu 1 grudnia byłego roku X. Gény C. M., rzucając w pogańskie dusze posiew łaski, udzielił chrztu św. aż 108 więźniom-katechumenom.

P o l s k o - c h i ń s k i k a t e c h i z m. — X. Wilhelm Ciemała dokonał przekładu katechizmu z języka chińskiego na polski.

Przekład ten oddaje ogromne usługi Polakom, spotykającym się po raz pierwszy z językiem chińskim.

Nowy prezes Komisji Synodalnej. — Delegat apostolski mgr Zanin dokonał nominacji w dniu 3 grudnia 1937 r. X. Flamenta C. M., przełożonego seminarium duchownego w Chala koło Pekinu na prezesa chińskiej Komisji Synodalnej.

KRONIKA.

Kraków, Stradom.

Księża:

		Urodził się:	Powołanie:
1.	X. wizytator J. Kryska	12 XI 1869	8 IX 1887
2.	X. superior J. Weissmann	27 I 1877	22 IX 1895
3.	X. Michalski Konstanty	12 IV 1879	3 XII 1896
4.	X. Strzelczyk Wawrzyniec	1 VIII 1878	15 I 1905
5.	X. Kalla Stanisław	13 XI 1887	23 IX 1905
6.	X. Feicht Hieronim	22 IX 1894	9 X 1909
7.	X. Pawelek Pius	3 V 1895	14 XII 1916
8.	X. Willim Franciszek	20 XI 1899	4 X 1917
9.	X. Wiejaczka Józef	18 III 1901	4 X 1919
10.	X. Śleziona Franciszek	15 III 1901	5 XII 1919
11.	X. Stawinoga Władysław	7 VII 1906	16 XI 1922
12.	X. Śmietana Eugeniusz	31 VIII 1905	27 IX 1925
13.	X. Bracha Franciszek	9 VII 1909	14 X 1926
14.	X. Usowicz Aleksander	14 VI 1912	15 VI 1928
15.	X. Olszak Stefan	9 VII 1911	27 XI 1928

Bracia:

		Urodził się:	Powołanie:
1.	Kudlek Marcin	19 III 1866	7 VI 1893
2.	Voss Józef	26 IX 1873	17 II 1903
3.	Kaczmarek Józef	29 I 1884	2 II 1913
4.	Woszczek Paweł	27 IX 1893	25 XII 1918
5.	Giemza Jakub	19 III 1903	20 III 1919
6.	Greczyło Adam	15 VII 1892	19 VII 1925
7.	Sasak Józef	19 II 1909	17 II 1926
8.	Serafin Bronisław	11 IX 1908	15 VIII 1926
9.	Fasula Stanisław	14 VIII 1908	25 XII 1926
10.	Bąba Stanisław	3 IX 1913	19 III 1938

Grono profesorskie:

1. X. rektor J. Weissmann: teologia dogmatyczna i moralna 3 godz. tygod.; teologia pasterska 2 godz: tygod.
2. X. Hieronim Feicht: historia kościelna 3 godz. tygod.; patrologia 2 godz. tygod.
3. X. prefekt Fr. Willim: egzegeza 4 godz. tygod.; język hebrajski 2 godz. tygod.
4. X. J. Wiejaczka: Pismo św., introd. szczegółowa 4 godz. tygod.; Pismo św., introd. ogólna 3 godz. tygod.
5. X. Fr. Śleziona: filozofia 10 godz. tygod.
6. X. Fr. Bracha: teologia dogmatyczna 4 godz. tygod.; apologetyka 5 godz. tygod.; teologia wschodu 1 godz. tygod.
7. X. A. Usowicz: filozofia 8 godz. tygod.
8. X. W. Stawinoga: prawo 4 godz. tygod.; principia 3 godz. tygod.; liturgika 1 godz. tygod.
9. X. N. Kompalla: teologia moralna 3 godz. tygod.; prawo 3 godz. tygod.; socjologia 1 godz. tygod.
10, X. H. Król: misjologia 2 godz. tygod.

Kurs V:	15 godz.
Teolog. dogmatyczna	2 godz.
Teologia moralna	1 "
Egzegeza	4 "
Prawo	4 "
Teolog. pasterska	2 "
Liturgika	1 "
Socjologia	1 "

Kurs IV:	20 godz.
Teolog. dogmatyczna	4 godz.
Teolog. moralna	3 "
Egzegeza	4 "
Prawo	3 "
Teolog. pasterska	2 "
Liturgika	1 "
Socjologia	1 "
Misjologia	2 "

Kurs III:	20 godz.
Teolog. dogmatyczna	4 godz.
Teolog. moralna	3 "
Pismo św.	4 "
Prawo	3 "
Teolog. wschodu	1 "
Historia	3 "
Misjologia	2 "

Kurs II:	20 godz.
Apologetyka	5 godz.
Filozofia	6 "
Pismo św.	4 "
Patrologia	2 "
Principia	3 "

Kurs I: 17 godz.

Pismo św.	3 godz.
Filozofia	12 „
Hebraika	2 „

Kurs V:

		Urodził się:	Powołanie:
1.	Damek Józef	16 X 1911	26 X 1930
2.	Stępień Stanisław	1 VIII 1912	26 X 1930
3.	Paszyna Paweł	15 I 1914	26 X 1930
4.	Serzysko Tadeusz	3 VI 1912	26 X 1930
5.	Łowiński Edmund	13 VII 1914	26 X 1930
6.	Kisiel Jan	9 II 1911	26 X 1930
7.	Zając Józef	19 IX 1914	26 X 1930
8.	Szarek Józef	10 III 1912	26 X 1930
9.	Weissmann Józef	19 XI 1914	20 XI 1930
10.	Przewoźniak Stanisław	16 XI 1909	25 XII 1931
11.	Salwierz Stanisław	1 XII 1911	18 X 1933
12.	Babirecki Michał	29 I 1915	18 X 1933
13.	Schweichler Tadeusz	19 VIII 1915	18 X 1933

Eksterniści: 4 oo. pijarów, 1 oo. cystersów.

Kurs IV:

		Urodził się:	Powołanie:
1.	Gancarz Jan	21 V 1911	18 X 1933
2.	Zdziebło Izydor	7 XII 1910	17 X 1931
3.	Florko Józef	8 V 1915	17 X 1931
4.	Bauer Bronisław	19 X 1914	17 X 1931
5.	Marcinajtis Wiktor	21 V 1913	17 X 1931
6.	Jonaczyk Jan	16 XII 1912	17 X 1931
7.	Kaczmarek Marian	10 VIII 1912	17 X 1931
8.	Łotach Ludgard	26 III 1913	17 X 1931
9.	Widuch Paweł	24 XI 1913	17 X 1931
10.	Szczerbiński Józef	17 X 1910	17 X 1931
11.	Wójcik Józef	18 XI 1911	17 X 1931
12.	Kowalski Joachim	14 XI 1914	17 X 1931
13.	Nowak Edmund	16 XI 1911	17 X 1931

	Urodził się:	Powołanie:
14. Podejko Paweł	24 XII 1914	17 X 1931
15. Myszka Franciszek	4 I 1916	5 I 1932
16. Derebecki Alfons	25 X 1910	1 X 1934
17. Bielski Bolesław	19 VI 1913	1 X 1934
18. Czajka Teodor	10 V 1912	1 X 1934
19. Fabianowski Adam	6 VIII 1909	1 IV 1935

Eksterniści: 3 oo. pijarów, 2 oo. augustianów, 1 oo. paulinów.

Kurs III:

	Urodził się:	Powołanie:
1. Bałos Julian	19 IV 1914	28 X 1932
2. Markiton Rafał	26 IV 1914	28 X 1932
3. Prądzyński Wiktor	13 XII 1914	28 X 1932
4. Pinocy Benedykt	10 IX 1915	28 X 1932
5. Pałka Franciszek	1 IV 1916	28 X 1932
6. Krzemiński Mieczysław	10 VIII 1913	28 X 1932
7. Smoluk Antoni	27 V 1915	28 X 1932
8. Więckiewicz Leon	26 V 1914	28 X 1932
9. Balicki Andrzej	2 X 1911	28 X 1932
10. Adamczyk Władysław	12 V 1915	28 X 1932
11. Delkowski Alfred	29 VI 1914	28 X 1932
12. Kowolik Wilhelm	21 II 1914	28 X 1932
13. Dogiel Gerard	7 X 1915	28 X 1932
14. Zakrzewski Ignacy	24 I 1912	28 X 1932
15. Kapusta Józef	31 I 1914	28 X 1932
16. Kamel Jan	19 VII 1915	28 X 1932
17. Wilniewczyc Piotr	24 XII 1912	28 X 1932
18. Sieńko Ludwik	15 I 1912	28 X 1932
19. Wiśniowski Władysław	22 III 1917	23 III 1933
20. Małysiak Albin	12 VI 1917	13 VI 1933
21. Bogacz Franciszek	4 XI 1913	7 X 1935
22. Stuczyński Jan	28 V 1914	7 X 1935
23. Kopacz Edward	3 III 1917	7 X 1935
24. Antosz Wojciech	8 XI 1913	7 X 1935

	Urodził się:	Powołanie:
25. Wolny Władysław	18 XII 1912	7 X 1935
26. Ziemiński Kazimierz	6 X 1915	15 XII 1935
27. Reczkowicz Stefan	18 VII 1916	15 XII 1935

Eksterniści: 5 oo. pijarów, 3 oo. paulinów, 1 oo. cystersów, 1 oo. augustianów.

Kurs II:

	Urodził się:	Powołanie:
1. Rosiński Antoni	24 IV 1915	28 X 1932
2. Domański Romuald	6 III 1911	18 X 1933
3. Lipiński Józef	25 IV 1912	18 X 1933
4. Lewandowski Celestyn	1 IV 1914	18 X 1933
5. Majchrzycki Jan	4 XII 1913	18 X 1933
6. Sławik Bernard	22 XII 1914	18 X 1933
7. Kanafek Franciszek	1 XII 1914	18 X 1933
8. Caban Władysław	19 IV 1917	18 X 1933
9. Budziszewski Zdzisław	8 XII 1916	18 X 1933
10. Jachimczak Józef	15 XII 1916	18 X 1933
11. Czaplak Andrzej	21 XI 1915	18 X 1933
12. Bochenek Stanisław	22 III 1917	18 X 1933
13. Śliwa Edmund	11 XII 1917	18 X 1933
14. Korzeniak Mieczysław	5 XI 1915	18 X 1933
15. Pustelnik Alojzy	25 IV 1917	18 X 1933
16. Kondratowicz Michał	29 IX 1916	18 X 1933
17. Pacewicz Stefan	4 IV 1915	18 X 1933
18. Dewor Bernard	19 V 1915	27 IX 1936
19. Moździer Wincenty	4 XII 1914	27 IX 1936
20. Klimek Stanisław	2 XI 1916	20 X 1937

Eksterniści: 8 oo. pijarów, 5 oo. paulinów, 3 oo. augustianów, 2 oo. michaelitów.

Kurs I*):

	Urodził się:	Powołanie:
1. Zieliński Józef	15 IX 1914	18 X 1931
2. Baciński Antoni	31 V 1917	28 X 1934

[1]) Klerycy kursu I mieszkają na Kleparzu, tu się ich jednak wymienia z powodu przynależności do Instytutu Teologicznego.

	Urodził się:			Powołanie:		
3 Chodzidło Ludwik	21	XII	1916	28	X	1934
4. Dąbek Adam	13	XII	1915	28	X	1934
5. Dymek Stanisław	27	II	1916	28	X	1934
6. Fernys Rudolf	9	IV	1915	28	X	1934
7. Goli Wilhelm	10	XII	1916	28	X	1934
8. Kaczmarczyk Stanisław	6	V	1916	28	X	1934
9. Kwaśniewski Piotr	20	VI	1916	28	X	1934
10. Kuś Jan	8	III	1920	9	III	1936
11. Mrowiec Karol	24	X	1919	28	X	1934
11. Zapała Edward	9	XII	1916	28	XI	1934
13. Zimorek Zygfryd	12	IV	1916	28	X	1924
14. Pawelczyk Józef	17	III	1916	28	XI	1934
15. Romanowicz Edward	18	IV	1917	28	X	1934
16. Szymonek Ryszard	17	XI	1919	18	X	1935
17. Kumor Stefan	20	VIII	1917	28	XI	1934
18. Wilniewczyc Michał	1	XI	1918	28	X	1934
19. Niedziela Alojzy	12	IV	1919	13	IV	1935
20. Woźniak Jan	2	IX	1918	28	X	1934
21. Pieczka Walenty	11	XI	1919	12	XI	1935
22. Kuszka Franciszek	20	I	1917	20	X	1935
23. Czapla Antoni	31	X	1918	20	X	1935
24. Wienskowski Kazimierz	12	VII	1917	20	X	1935
25. Kasztelan Jan	30	V	1917	20	X	1935
26. Kucharski Tadeusz	19	IX	1918	20	X	1935
27. Machlewski Jan	24	IV	1918	29	X	1935
28. Rymkiewicz Jan	6	VI	1917	20	X	1935
29. Czerwiński Józef	4	XII	1919	20	Y	1935
30. Kochański Czesław	24	VII	1919	20	X	1935
31. Dziczkowicz Michał	1	I	1917	20	X	1935
32. Zemełka Edward	20	XI	1916	20	X	1935
33. Racki Edmund	25	III	1917	20	X	1935
34. Walczak Dominik	19	VIII	1917	20	X	1935
35. Kocur Stanisław	3	I	1920	4	I	1936
36. Rzepa Ignacy	23	I	1920	24	I	1936
37. Michalski Alfons	1	VI	1920	2	VI	1936
38. Gościniak Alojzy	17	VI	1920	18	VI	1936

	Urodził się:	Powołanie:
39. Gruszka Ludwik	19 VII 1920	20 VII 1936
40. Żurek Antoni	12 XII 1920	13 XII 1936
41. Andrzejewski Alojzy	26 XII 1920	27 XII 1936
42. Olszański Tadeusz	2 II 1921	3 II 1937
43. Truszyński Wacław	18 VIII 1914	27 IX 1936
44. Gubała Aleksander	11 VI 1917	27 IX 1936
45. Czekała Henryk	1 I 1917	20 X 1937
46. Kuczyński Jan	8 II 1917	20 X 1937
47. Kowalski Rajmund	16 VIII 1917	20 X 1937
48. Gosk Zygmunt	23 XII 1917	20 X 1937

Eksterniści: 1 oo. pijarów, 2 oo. cystersów, 1 oo. michaelitów.

Uroczystość inauguracyjna w krak. Konserwatorium muzycznym. — Odmiennie, niż przez wiele lat ubiegłych, gdyż bardziej uroczyście, odbyło się w niedzielę, dnia 18 września otwarcie roku szkolnego. Rozpoczęła się nabożeństwem w kościele św. Anny, odprawionym przez profesora Konserwatorium X. dra Feichta. W czasie nabożeństwa utwory religijne wykonali profesorowie Konserwatorium oraz chór Tow. Muzycznego.

Po nabożeństwie uczestnicy uroczystości udali się z orkiestrą harcerską na czele, istniejącą przy Konserwatorium, do sali im. Żeleńskiego, w gmachu Starego Teatru, gdzie w odświętnie udekorowanej sali odbyła się właściwa uroczystość.

Uroczystość zagaił prezes Tow. Muzycznego dr Gawroński, który wskazał na doniosły moment, jaki przeżywa Konserwatorium, powierzywszy świeżo kierownictwo znanemu i zasłużonemu muzykowi B. Wallek-Walewskiemu. Następnie wygłosił nowy dyrektor B. Wallek-Walewski swoje credo, apelując do słuchaczów Konserwatorium, by umiłowanie sztuki było bodźcem ich studiów, a nie wyłącznie materialny punkt widzenia i zapewniając, że wszczepianie tego umiłowania w wychowanków będzie też drogowskazem uczelni. Po przemówieniu dyrektora na zakończenie prof. Konserwatorium X. dr Feicht wygłosił interesujący odczyt p. t. „Tradycje muzyczno-pedagogiczne Krakowa“, wskazując na podstawie wyników ścisłych badań na wybitną rolę, jaką w ciągu wieków odegrał Kraków, będąc najstarszym i bardzo cennym

ośrodkiem ruchu muzycznego wogóle, a pedagogii muzycznej w szczególności. *(„I. K. C." z 19. IX. 1938).*

Prymicje w Szopienicach. — We środę 4 maja odprawił w kościele parafialnym w Szopienicach swoje prymicje nowo wyświęcony X. Franciszek Cholewa ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy. X. prymicjant odbył studia teologiczne w Krakowie, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie w dniu 1 maja b. r. W uroczystości prymicyjnej wzięły udział liczne rzesze ludu oraz bractwa i związki z sztandarami. Po nabożeństwie X. prymicjant udzielił błogosławieństwa prymicyjnego rodzicom, rodzeństwu, krewnym oraz licznym wiernym. Młodemu kapłanowi „Szczęść Boże" w jego ciężkiej pracy około zbawienia dusz. *(„Katolik" z 13. V. 1938).*

Śląskie Seminarium Duchowne. — J. E. X. Biskup Lorek w Seminarium. Z przyjemnością zaczyna kronikarz r. 1938, bo jako pierwszy fakt w Śląskim Seminarium zanotować może, że J. E. X. Biskup Lorek 27 stycznia odwiedził nasze Seminarium. Z radością witali go przełożeni i alumni, a X. Biskup w serdecznym przemówieniu przedstawił ideał kapłana i potrzebę usilnej pracy wewnętrznej tych, którzy pragną osiągnąć ten ideał.

Zmiany personalne. — X. Jan Sinka przeszedł dnia 29 stycznia do Warszawy na stanowisko ojca duchownego w Konwikcie Teologicznym, a w jego miejsce ojcem duchownym w Śląskim Seminarium został X. Augustyn Godziek, prefektem zaś od 3 lutego X. Józef Rzychoń, dotychczasowy profesor apologetyki na Stradomiu.

Stopień magistra teologii. — Na zapytanie rektora Śląskiego Seminarium dziekan Wydziału Teol. U. J. dał odpowiedź następującą w sprawie magisterium:

„W sprawie uzyskania stopnia magistra teologii na Wydziale Teol. U. J. w Krakowie Dziekanat wyjaśnia, że wystarcza każda praca, napisana w seminarium naukowym pod kierunkiem profesora i przez niego uznana za wystarczającą i przedłożona Wydziałowi w maszynopisie oraz colloqium na temat złożonej pracy".

Wobec takiej odpowiedzi J. E. X. Biskup Adamski obowiązuje ogół alumnów do uzyskania stopnia magistra rozporządzeniem z 21. XII. 1937 r. *(„Wiadomości Diec.", 1938, str. 13).*

W y k ł a d y o k a n c e l a r i i. — Tak się złożyło, że 23 lutego obaj Biskupi byli w seminarium, a to z powodu konferencji Biskupów u X. Metropolity w związku z synodem krajowym. X. biskup Adamski odjechał do Warszawy na zjazd prasowy, a X. biskup Bieniek został w seminarium z wykładem o kancelarii. W ubiegłym roku wykłady o kancelarii prowadził X. kanclerz Juliusz Bieniek. Obecnie układałem się z nowym kanclerzem kurii biskupiej, X. Gwoździem, i gotów był ich się podjąć, bo dawniejszy kanclerz w międzyczasie został biskupem i, zdawało się, nie będzie można go o to prosić. Tymczasem X. Biskup, mimo nowej godności i mimo licznych zajęć, jakie mu przybyły, jednak z całą gotowością zaczął kurs o kancelarii w 2 trymestrze i prowadził go do końca.

R e k o l e k c j e w K o k o s z y c a c h głosił X. Śmidoda od 30 marca do 3 kwietnia i drugie od 4 — 8 kwietnia, potem X. Godziek od 9 — 13 kwietnia, wreszcie X. Szymbor od 13 — 17 kwietnia.

F r a n c u s k i B i s k u p w Ś l ą s k i m S e m i n a r i u m. — X. biskup Grente z diecezji Le Mans, członek francuskiej akademii, przybył w maju do Polski i w kilku miastach miał wykłady. Z Warszawy przybył przez Częstochowę do Krakowa, gdzie zatrzymał się przez 3 dni. Chętnie przyjął zaproszenie na 22 maja do Śląskiego Seminarium, gdzie zgromadzili się dla uczczenia go prócz naszych jeszcze alumni seminarium krakowskiego i częstochowskiego. X. Biskup dia naszych alumnów był niezmiernie uprzejmy, ludzki, przyjacielski i w nastroju familijnym porozdawał wszystkim obrazki i medaliki. X. Szymbor jeszcze 23 maja witał X. Biskupa Grente w Katowicach na uroczystym zebraniu urządzonym przez J. E. X. biskupa Adamskiego w Zakładach Technicznych w imieniu Ordynariusza i diecezji.

U r o c z y s t o ś c i św. A n d r z e j a B o b o l i. — Po kano nizacji i po wspaniałych manifestacjach na cześć świętego w Rzymie, przyszła kolej na Polskę. Relikwie św. Andrzeja przybyły do Krakowa 11 czerwca i przez 2 dni odbierały cześć od ludności miasta i okolicy. Seminarium nasze uczestniczyło i na dworcu

i na procesji w tych entuzjastycznych oznakach hołdu dla świętego męczennika.

Swięcenia. Dnia 12 marca w Krakowie w kaplicy seminarium udzielił święceń J. E. X. biskup Adamski. Otrzymało święcenia: tonsurę 1, ostiariat i lektorat 26, subdiakonat, 5, diakonat 9.

Były jeszcze święcenia dnia 1 maja. Wtedy ich udzielił J. E. X. biskup Bieniek. Otrzymało święcenia: prezbiterat 1, diakonat 6, subdiakonat 4, ostiariat i lektorat 2.

Prezbiteratu udzielał w katedrze w Katowicach J. E. X. biskup Adamski 26 czerwca. Ośmnastu diakonów otrzymało prezbiterat.

Rekolekcje księży diecezjalnych. — W czasie wakacyj odbyły się w Śląskim Seminarium dwukrotnie rekolekcje dla księży diecezji śląskiej, raz 22—27 sierpnia, a drugi raz 12—17 września. W pierwszej serii brało udział księży 115, a drugiej 97. Nauki rekolekcyjne trzykrotnie dziennie głosił X. Szymbor tak w sierpniu jak i we wrześniu. Jedne i drugie były zakończone kursem Akcji Katolickiej. Referentami byli: J. E. X. biskup Stanisław Adamski, X. prałat Szwajnoch, X. dyr. B. Kominek, X. dr Krząkała. Omówione zostały następujące zagadnienia zasadnicze: „Metody kształcenia apostołów świeckich w ogóle" i „Sposoby indywidualnego kształcenia apostołów świeckich", ref. X. biskup Adamski. „Osoba i rola asystenta kościelnego" i „Asystent kościelny jako stróż statutów i delegat biskupa", ref. X. prałat Szwajnoch. „Apostolstwo w ogóle, pojęcia i rozróżnienie" i „Apostolstwo indywidualne i zbiorowe", ref. X. dyr. dr Bolesław Kominek. Wreszcie „Kształcenie apostołów świeckich jako konieczna potrzeba", ref. X. dr Krząkała.

Zaznaczyć należy, że rekolekcje kapłańskie, poprzedzające kurs były osnute na centralnej prawdzie katolickiej o „Mistycznym Ciele Chrystusowym", wprowadzając w ten sposób w zrozumienie podstaw ideowych Akcji Katolickiej. Głosił je X. rektor Szymbor.

(*KAP*).

Rekolekcje domowe. — Nasze misjonarskie rekolekcje ośmiodniowe odprawiliśmy w czasie od 8—15 września, tj. połowę sami a drugą część już łącznie z kapłanami świeckimi, których pobożnością i skupieniem budowaliśmy się przez cały czas świętych ćwiczeń.

Zjazd teologów z całej Polski. — Organizowali go X. prof. Archutowski i X. Szymbor. „Polskie Towarzystwo Teologiczne" i „Związek Zakładów Teologicznych" urządziło w Krakowie w dniach 30 sierpnia do 1 września b. r. ogólnopolski Zjazd teologiczny z bardzo bogatym programem prac.

Zjazd rozpoczął się dnia 30 sierpnia b. r. Mszą św. odprawioną przez JE. X. metropolitę dra Adama Stefana Sapiehę. Inauguracja Zjazdu nastąpiła w auli Uniw. Jagiell. w Collegium Novum. Tam też toczyły się obrady plenarne i sekcyjne. Pracowało jedenaście sekcyj: ascetyczna, biblijna, dogmatyczna, filozoficzna, homilityczna, historyczna, moralna, pasterska, pedagogiczna, prawna i społeczna. Ogółem wygłoszono przeszło sześćdziesiąt wykładów i referatów.

Wykład inauguracyjny wygłosił b. rektor Uniw. Jagiell. X. prof. dr Michalski C. M. Wśród wykładowców i referentów widnieją nazwiska najwybitniejszych i najruchliwszych przedstawicieli polskiej wiedzy filozoficznej i teologicznej, w tej liczbie księży profesorów: X. prał. dra Kazimierza Kowalskiego (Poznań), X. prof. Szczepana Szydelskiego (Lwów), X. prał. Piotra Stacha (Lwów), X. prof. Aleksego Klawka (Lwów), X. prof. I. M. Bocheńskiego O. P. (Rzym), X. prof. Jacka Woronieckiego O. P. (Warszawa), X. prof. Ignacego Grabowskiego (Warszawa), X. prof. Franciszka Kwiatkowskiego T. J. (Kraków) i wielu innych. Z naszych księży wygłosili referaty X. Szymbor i X. Śmidoda.

Księża uczestnicy z całej Polski otrzymali mieszkania w Krakowie w Seminariach Duchownych (częstochowskim, krakowskim lub śląskim), o ile w terminie do 15 sierpnia b. r. zgłosili się pisemnie do Śląskiego Seminarium Duchownego.

Początek roku akademickiego. — Już 22 września zjechali wszyscy nasi alumni z wakacyj. Odrazu też zaczął się kurs praktyczny dla alumnów z referatami.

Potem odbyły się pięciodniowe rekolekcje alumnów głoszone przez X. Godźka. Nabożeństwo zaś inauguracajne roku akademickiego u św. Anny było 5 października.

Śpiew gregoriański. — Dnia 3 października rozpoczął X. Cholewa lekcje śpiewu gregoriańskiego w Śl. Seminarium.

Alumni w trzech grupach: I z II, rok III z IV, osobno V, mają śpiew gregoriański w poniedziałki i soboty.

Kurs głuchoniemych. — Z V rocznika wyjechało dziesięciu alumnów do Lubieńca na kurs głuchoniemych, gdzie specjalnie uwzględniona była strona duszpasterska przez kapelana zakładu X. Konrada Lubosa. Kurs trwał 2 tygodnie. Ciąg dalszy kursu odbędzie się w czasie feryj wielkanocnych.

Rekolekcje w Kokoszycach. — Dnia 7—11 XI głosił X. Szymbor rekolekcje dła kapłanów diecezji śląskiej w Kokoszycach.

Egzamin habilitacyjny. — Monografja X. Franciszka Śmidody o X. Baudouinie przyjęta została jako praca habilitacyjna na wydziale teolog. Uniw. Jagiell. Dnia 8 listopada 1938 złożył X. Śmidoda egzamin przed komisją, a 10 listopada miał wykład habilitacyjny: „Misje ludowe dawnej polskiej prowincji Zgromadzenia X. Misjonarzy".

Wyjazd alumnów do Rzymu. — Na specjalne życzenie Kongregacji Seminariów, Biskupi Polscy z każdego seminarium diecezjalnego w tym roku mieli wysłać po kilku alumnów do Rzymu. Również ze Seminarium Śląskiego wyjechało dwu.

Przybycie alumnów z Widnawy. — Zaolzie należało do diecezji wrocławskiej. Toteż alumni z Zaolzia kształcili się w seminarium duchownym w Widnawie. Skoro tylko Zaolzie przeszło pod panowanie Polski, kardynał Bertram odstąpił administrację Zaolzia J. E. X. Biskupowi Adamskiemu, a w związku z tym alumni polscy z Widnawy przeszli do Śląskiego Seminarium w Krakowie. Pierwszych siedmiu alumnów widnawskich przybyło do nas 15 listopada. Później przybyło ich jeszcze pięciu, przechodząc na równorzędny rocznik na wydziale teolog., co dało się tym łatwiej uzgodnić, że i we Widnawie kurs filozoficzno-teologiczny trwa 5 lat, jak w Krakowie.

Jezierzany. Nowy ksiądz Superior. — Od 1 listopada 1938 r. jest superiorem domu w Jezierzanach X. Adam Piasecki.

Biały Kamień. Zmiany personalne. — W Białym Kamieniu od 1 listopada 1938 r. jest X. Józef Włodarczyk, który poprzednio był przełożonym w Jezierzanach. Do Skwarzawy zaś udał się od grudnia X. Kledzik, który dotychczas przebywał w Wilnie.

Milatyn. Zmiany. — Dotychczasowy superior Milatyna X. Lucjan Lach objął po X. Tadeuszu Kołodzieju kapelanię w Ubezpieczalni (ul. Prądnicka) w Krakowie od 1 października 1938. Po X. Lachu został na superiorstwie w Milatynie X. Matelski.

Łysków. — Po X. Matelskim superiorem w Łyskowie został X. Zieleźnik przeniesiony tu z Białego Kamienia.

Olcza. Śmierć X. Wójciaka. — Dnia 14 kwietnia 1938 r. umarł w Olczy X. Wójciak. Pogrzeb odbył się 16 kwietnia.

Poznań, Przemienienie Pańskie. Do r. 1938 kapelanem w szpitalu Przemienienia P. zawsze był ktoś z kleru diecezjalnego. Od lutego 1938 r. kapelanię przejął X. Sylwester Graczyk, a od 1 kwietnia t. r. X. Józef Cechol.

Tarnów. Alumni ruscy. — W domu naszym w Tarnowie już w roku szkolnym 1937/38 mieszkało 7 alumnów Łemków. Od 1 października 1938 r. wszyscy alumni Łemkowie, którzy dotychczas mieszkali w Częstochowskim Seminarium Duch., przeniesieni zostali do naszego domu Tarnowskiego. Jest ich 16. Ich ojcem duchownym jest X. Wendelin Świerczek. Na wykłady teologii uczęszczają do Seminarium diecezjalnego.

Wilno. Zmiany w domu. — Superiorem domu jest X. Józef Sowiński od listopada 1937 r. Wtedy to z Wilna odszedł X. Szadko na superiora do Pabianic po X. Wagnerze, który stąd przeniesiony został na stanowisko przełożonego do Bydgoszczy po X. Ludwiku Mosce.

Rumunia, Czerniowce. — Nuncjusz papieski, X. Arcybiskup Cassulo na Bukowinie. — Błogosławieństwo Ojca Swiętego dla całego Narodu polskiego.

W czwartek, dnia 8 lipca przybył na Bukowinę Nuncjusz Papieski w Bucuresti, X. biskup Andrei Cassulo, któremu towarzyszył X. biskup Robu z Iasi. Na dworcu dostojny gość powitany został przez przedstawicieli władz rum., dziekana korp. konsularnego, Konsula G. p. M. Uzdowskiego oraz przez liczne duchowieństwo katolickie. Z dworca udali się goście do kościoła parafialnego, gdzie pod bramą triumfalną powitał Nuncjusza po łacinie generalny wikariusz, X. Infułat Grabowski. X. Nuncjusz odpowiedział również po łacinie, po czym w imieniu władz powitał X. Nuncjusza prefekt Vântu, zaś w imieniu duchowieństwa prawosławnego radca konsystorza Tarangul. Następnie przemówił generał Craioveanu imieniem władz wojskowych. Imieniem ludności polskiej powitał X. Nuncjusza po francusku p. Al. Skibniewski, prezes Polskiego Związku Szkolnego, zaś imieniem ludności niemieckiej p. Kunz. Z kolei dwoje dzieci wygłosiło odpowiednie wierszyki, wręczając dostojnemu gościowi wiązanki kwiatów.

Następnie wszyscy udali się do przepełnionego wiernymi kościoła, gdzie X. Infułat Grabowski odprawił krótkie nabożeństwo, po czym Nuncjusz Papieski wygłosił przemówienie w języku francuskim, w którym zaznaczył, że już od dwóch miesięcy objeżdża po kolei wszystkie katolickie parafie w Rumunii. Wszędzie miał sposobność stwierdzić głęboką wiarę i przywiązanie do Stolicy Apostolskiej. Z radością też udziela papieskiego błogosławieństwa nie tylko wiernym Kościoła Katolickiego tej ziemi, ale i wszystkim ludziom tę ziemię zamieszkującym, bez różnicy wyznania. Przemówienie to przetłómaczone zostało przez X. biskupa Robu na język rumuński i niemiecki, zaś przez X. Infułata Grabowskiego na język polski.

Teraz dopiero odbyło się uroczyste nabożeństwo w asystencji licznego duchowieństwa, w czasie którego X. Nuncjusz udzielił wszystkim wiernym błogosławieństwa Ojca Świętego. Następnie uformowała się procesja, która odprowadziła X. Nuncjusza do domu Wikariatu Generalnego. X. Nuncjusz pobłogosławił przy tej sposobności wszystkie sztandary i chorągwie i uścisnął dłoń poszczególnych chorążych.

Po obiedzie, spożytym w Gener. Wikariacie w obecności licznego duchowieństwa, w którym wziął udział również dziekan korpusu konsularnego, Konsul Gen. p. M. Uzdowski, Nuncjusz złożył wizytę Metropolicie Prawosławnemu Visarionowi, a następnie Konsulowi Generalnemu p. Uzdowskiemu.

Nazajutrz, dnia 9 b. m. X. Nuncjusz wyjechał do Chocimia. w towarzystwie X. Biskupa Robu, X. Jakubowskiego, Prałata Łukasiewicza i Macheckiego oraz Konsula Generalnego p. Uzdowskiego. W Chocimiu przyjmował dostojnych gości miejscowy proboszcz X. Chrucki. I tam, podobnie, jak w Cernauti, zebrała się w kościele wielka rzesza wiernych, wyłącznie Polaków, których X. Nuncjusz pobłogosławił w imieniu Ojca świętego. Po zwiedzeniu historycznego zamku chocimskiego dostojni goście wraz z towarzyszącymi osobami odjechali w drogę powrotną, odwiedzając jeszcze parafię katolicką w Bojanach. Nie spodziewał się takich gości X. proboszcz Bibrzycki, ale tym więcej zdumiał się, gdy prosto z aut goście udali się do studni, aby się pokrzepić źródlaną wodą. Nie codzienny był to zaiste widok, gdy X. Biskup Robu pompował wodę, zaś X. Nuncjusz ciągnął ciężkie wiadro. Na nic nie zdały się protesty X. Bibrzyckiego. Dobry humor X. Nuncjusza objawił się jednak jeszcze i w inny sposób. Oto do studni podeszła porykująca krowa. X. Nuncjusz domyślił się, że krowa zapewne jest spragniona, to też najpierw napoił zaczerpniętą wodą krowę, a potem sam się pokrzepił.

W miłym nastroju wrócili dostojni goście do Cernauti.

Przedstawiciel „Kuriera Polskiego" miał możność osobistego zetknięcia się z Nuncjuszem Papieskim, który oświadczył, że przybył na Bukowinę w celu zapoznania się z życiem tutejszych katolików. Do Polaków, podobnie, jak i sam Ojciec Święty, X. Nuncjusz czuje specjalny sentyment, jako do narodu szlachetnego i głęboko przywiązanego do wiary i do Kościoła. Z wielką radością przeto udzielił w domu Konsula Polskiego błogosławieństwa papieskiego nie tylko dla rodziny p. Konsula Gen. Uzdowskiego, ale i dla całego narodu polskiego.

(*„Kurier Polski" w Rumunii 18. VII. 37*).

Cacica. Garść wiadomości. — Do tegorocznych ciekawości w Cacica (bo tak tylko wolno dziś drukować) zaliczyć trzeba nam wizytację biskupią. Urozmaicenie dla nas jak w kinie. Oczekiwanie narodu pod bramą ozdobną, modni kolarze na papierami kolorowymi przybranych kołach, chłopcy junacy na wiankami obwieszonych szkapach w banderii, nie wszyscy na siodłach (bo nie wielom udało się od Moskali takowych za bezcen nabyć), niektórzy tylko kocem chudość zwierzęcą przykryli i obrzydliwie się trzęśli, bo też to nielada pokuta na takim chudzisku siedzieć i do tego galopować. Przy bramie zwykłe przedstawianie w tym wypadku nie zwyczajnych ludzi. Oprócz naszych i Rusinów, schizmatyków i kalwinów Węgrów, no i starozakonnych, bo i ci potrzebują przywitać tak dostojnego Rebe. Z Sołońca cały sztab biskupi przyjechał, a że tam autostrady jeszcze nie ma i auto by sobie kości-osie połamało, więc na 3 wozach razem z klerykami dostojnicy przyjechali opóźnieni, bo tęgi deszcz zatrzymał ich. W Cacica wszystko jeszcze jakoś poszło, ale z pięknej procesji nic, tak lało, że tylko Ekscelencja w towarzystwie proboszcza pod parasolem drogę dość długą na probostwo odbył, a reszta księży czekała cierpliwie w kościele na parasole. W lecie odtąd deszcz już nie opuszczał wizytacji aż do końca — do października. Nam było niewygodnie, bo tydzień przed naszym odpustem, ale co było robić. Rozkaz to rozkaz, słuchać się musi, aby nie być bolszewikiem. Po tak krótkim czasie (ostatnio wizytacja była 5 lat temu) dużo bierzmowań nie było, za prędko się wszystko skończyło, nudziło się wprost i trzeba było Ekscelencję na siestę powysyłać, dom pielgrzymów, grotę i krużganki oglądać, aby czas programowy wypełnić, inaczej znowu „cures" jak mówi cygan, gdy Ekscelencja za prędko przyjeżdża jak we filiach na Pleszy i w Ilięczti. W 1-szej proboszcza i dziekana jeszcze nie było, a w 2 giej straż pożarna goniła za X. Biskupem, a chleb i sól przyniesiono już po wszystkim. Ile dąsów, gniewów, nawet szlagów, można sobie wyobrazić, mimo woli przypomina sobie człek figiel z „Diabła" czy „Muchy" tych 3 mowców wiejskich, z których każdy na przywitanie miał jakiś „epiteton ornans" powiedzieć, a które to epiteta wcale karczemnie wypadły w pośpiechu. Nasz X. Biskup bardzo miły, więcej po konfratersku wizytację odprawił, powtarzając:

„Zeigen sie mir nur das Schlechte, nicht das Gute“. „Schlecht“ prócz pogody była chyba kasa, bo choć zwyczaj rumuński przyjęcia gości na tak zwanej recepcji (przyjęcie krótkie, nawet stojąc, kanapki i wino na fundamencie koniaka) polega, jednak wydatki są nielada i choć parafia cała i księża cieszą się z przybycia tak dostojnego gościa, kasjer kościoła w tym wypadku sam proboszcz dość kwaśną minę stroi, i choć „piatilietka“ dziś w modzie, to przecież 5 lat trochę za krótki termin, szczęście że ruski i rumuński biskup nie przychodzą tak regularnie, boby to zpowszedniało to zapraszanie księży i urzędów. Nie chcę przez to wcale ubliżyć naszej wizytacji, bo i całkiem według przepisów Kodeksu prawa kanonicznego.

Tydzień po wizytacji odbył się nasz tradycyjny odpust. Tym razem wyjątkowo mokry. Lało już nie jak z cebra, ale jak przez 30 lat mojego tu pobytu jeszcze nie lało. Jakby nam P. Bóg pomóc chciał, dowodząc konieczności budowy krużganków po obydwóch stronach groty znajdującej się poza kościołem. Deszcz lał i prał, księża uciekali z klęcznikami do kościoła, gdzie ścisk już i tak był wielki. Nie potrzeba było lepszej propagandy dla budowy krużganków, a kiedy i na 2-gi dzień deszcz nie bardzo zwolnił, niejeden potrącony przy komunii św. westchnął: „oby już raz te krużganki były gotowe, bo człek jeszcze nagrzeszy, oberwawszy parę szturchańców przy komunii św. Dobre to umartwienie i niezła pokuta, ale takie zadośćuczynienie przecież trochę za szczere. O procesjach oczywista mowy nie było, choć ludzie już chorągwie do rąk brali i nawet po błocie byli gotowi przejść, ale z P. Jezusem balansować po kamieniach z błota sterczących, jakoś nie wypadało. Procesje szwabskie tak z 40 klm odległej Suczawy i tyleż z Radowiec, już blisko 100 lat tradycji mające, pomimo deszczu przybyły. Wyglądali wprawdzie niektórzy jak koty pomoczone i tak ubranie do ciała przylegało, że nawet klękać trudno było, aby katastrofy nie wywołać, ale z zapałem przybyli i obowiązek swój spełnili, wyspowiadawszy się, spokojnie nazajutrz do domu powrócili.

Prócz zniżki kolejowej 50% udał się tego roku X. Filipowi osobny pociąg z Czerniowiec i ludzi zgłosiło się 3 razy tyle, ile

wymagano, tak że 2 parowozy nieźle sapały. Przystąpiono też do powiększenia, a raczej pogłębienia groty. Stary mur się rozkładał, trzeba było myśleć o nowym, braki, które nam się dały we znaki, trzeba było usunąć. Najwięcej dokuczał wiatr, który nieraz świece pogasił i hostię kapłanowi porywał, że trzeba było ją pod szklannym denkiem przytrzymać. Wkopano się w głąb góry, z boku wstrzymano górę krużgankami, które same się prosiły, a ponieważ wkopując się głęboko w górę natrafiono na wodę, powstała przy samej grocie studzienka ku pociesze naszej i wiernych, bo niemożliwie dokuczają co odpust, aby im wodę poświęcono. Sami we flaszkach wodę przynosili, aby im tylko poświęcić. Trzeba przyznać, że tu na Bukowinie ogromną wagę kładą na sakramentalia, zdaje się, że przykład Rumunów i Rusinów pociąga, nie są też tutejsi wierni tak wielce w wierze ugruntowani, dlatego zewnętrzny objaw wiary i różne accidentia więcej im odpowiadają. Do bocznych ołtarzy chętniej idą, jak do głównego, na drodze krzyżowej nieraz więcej ludzi, niż w niedzielę na mszy św. Krużganki po obydwóch bokach groty otaczają kościół do połowy, są masywnie z żelbetonu postawione. Krużganki te nie tyle dla ozdoby, ile dla użytku posłużyć mają. Na wzór Częstochowy będą w nich balaski i konfesionałki dla słuchania spowiedzi pod dachem w razie deszczu i przede wszystkim dla spokojnego rozdzielania komunii św., bo dotychczasowy sposób przez środek kościoła okazał się nie tylko niewygodnym ale i niebezpiecznym, bo wśród ścisku nie trudno było o znieważenie hostii św. Naród się pchał i potrącał, gwałtowniejsi krzyczeli i rozgniewawszy się nawet bez komuni św. odeszli. Temu ma zapobiec ta nowa budowa. 30 m po 1-nej i tyleż po 2-giej stronie, to już wygodniej i miejsca dosyć. Musiała i Częstochowa na to samo cierpieć, że wymyślili kaplicę z Najświętszym Sakramentem z krużgankami i konfesjonałami. Częstochowska Matka Boska u nas, niechże i będzie sposób częstochowski.

Za staraniem naszego X. Wicewizytatora, wikariusza generalnego X. Grabowskiego, ma w ołtarzu groty powstać grób dla Matki Boskiej, trochę to dziwnie brzmi grób M. B., wszak go nikt nie zna, otóż jest to tylko ceremonia franciszkańska na wschodzie tu wcale odpowiednia, bo i Rusini i Rumuni Wniebowzięcie

N. P. Zaśnięciem *(Uspeniem Adormirea)* nazywają. Figurę tę, M. B. w grobie przedstawiającą, będą nosili klerycy w procesji do grobu, gdzie przez całą noc ludek pobożny może się modlić i śpiewać jak, i po jakiemu tylko zechce. Elektryka całą noc się palić będzie a dla biednych, którzy kwatery nigdzie nie znajdą, krużganki posłużą, dla nas zaś korzyść ta, że się kościół zamknie i spać w kościele się nikomu nie pozwoli, już nie tyle dla dobra złodziei, którzyby wstęp do kościoła wygodny mieli ale i dla sanitarnych względów, bo odory po takiej w kościele przespanej nocy pewnie nie sanctitatis. Elektryki nie mamy też co żałować, bo mamy ją bardzo tanio ze Saliny po 7 lei kilowat to jest po 24 grosze. Jestto zniżka wyjątkowa, bo Salina sama dopłaca 2-gą połowę tak dla kościoła jak i probostwa. Salinę prąd kosztuje 14 lei, urzędnicy wyżsi mają prąd darmo, niżsi płacą 15 lei, nam zniżyli 50% z jakiej racji, niewiadomo, widocznie w Inspektoracie generalnym w Bukareszcie (bo wszystkie takie drobiazgi Centrala załatwia) wyjątkowo lepszy wiatr powiał, bo i zegar wieżowy, własność Saliny, kościołowi podarowano. Będą więc jedni mogli w grocie się modlić i śpiewać, a biedni równocześnie w krużgankach obok chrapać, wszystko na chwałę Bożą. Noc nie całkiem jeszcze chłodna a przy elektryce się chyba kradzieże nie powtórzą. Podniesie grota wielce nabożeństwo do N. M. P., naród lubi takie nabożeństwa misteryjne, a wieczorem przy oświetleniu mnóstwa świec i lamp elektrycznych grota jak wielka pieczara wręcz katakumbowy wygląd mieć będzie.

Że Salina jedna nam przychylna, nie wynika z tego, aby już wszystko złoto było w Rumunii. W szkole wezbrała ta sama walka co i przeszłego roku o religię w ojczystym języku. W szkole nie wolno inaczej jak tylko po rumuńsku religię wykładać, wobec tego uczymy w kościele dopóki Inspektoriat nie cofnie zakazu. Nasz nowy Nuntius objeżdża cały kraj ma być i na Bukowinie, może będzie na tyle energiczny i domagać się będzie przestrzegania konkordatu co do religii w języku macierzystym. Cacica jest o tyle nieszczęśliwa, że ma różnych narodowości dzieci w szkole, a ponieważ obecnie Ukraińców nie lubią, nienawiść ku nim i nam się udziela i dlatego już przed religią język nam skasowali. Zaczyna się też mały kulturkampf jak w III Rzeszy. Jest już mały

przymus dla urzędników uniwersytetów, jeżeli ich wogóle jeszcze dopuszczą, aby przeszli na rumuńską religię, bo ta jest państwową uznaną zupełnie jak obecnie u Hitlera, gdzie dla posady i awansu z Kościoła katolickiego się występuje. Podwładnych przymusza się do uczęszczania do cerkwi prawosławnej w święta narodowe pomimo nabożeństwa w naszych kościołach, to samo zaczynają już i gorliwi nauczyciele po szkołach wprowadzając pomieszanie uczuć religijnych do serc młodych, wrażliwych. Od starych robotników salinarnych domagają się egzaminów z rumuńskiego języka, aby więc nie utracić miejsca i roboty w tych czasach bezrobocia, starzy ojcowie rodzin książek pożyczają sobie od swych dzieci i od nich pouczyć się są zmuszeni. Przewrót. Nowi robotnicy już bez egzaminów nie bywają przyjęci do Saliny. Słowem egzamin na każdym kroku. Że przymus szkolny, chwalebna to rzecz, bo niemasz gorszej klęski nad analfabetyzm ale dla dzieci, starych zaś nagiąć do nauki to trochę eksperyment groźny, mogący się zemścić, bo agenci niepotrzebni wszędzie się pchają. Na niewiele się też ta sekatura przyda, bo niech tylko inny rząd nastanie a w tym roku 6-lecie się jego kończy, to wszystkie te pomysły wyjątkowe upadną. Sztuczny patriotyzm to patriotyzm dla chleba ale nigdy dla miłości, bo ta się gwałtem nagiąć nieda. Jak w każdym państwie widzimy też i w tej naszej Rumunii rzeczy pochwalenia godne ale i nagany.

Dziwny jest też nowy stosunek do innowierców: lutrów i schyzmatyków. Większość ich i przewaga odbija się dość nieprzyjemnie na nas, i tak w należących do naszej parafii Ilisesti, (czytaj Iliszeszti) gdzie wielka przewaga jest protestantów. Katolicy nasi pomieszani z nimi przez małżeństwa, żyją z tą większością w zgodzie, tę zgodę i do Kościoła wprowadzają. Ponieważ u lutrów kazanie jest wszystkim, więc i od nas Rede się domagają, wszystkie śluby i pogrzeby z Redą połączone być muszą, jak gdyby od tego wszystko zależało. Niedobrym katolikom tylko się jej odmawia, co za taki wstyd uważają, że u pastora nabożeństwa zamawiają i pastor wtedy zamiast mnie mowę wypowiada. Zalety u lutrów, że był dobrym gospodarzem, dzieciom gruntu przysporzył, wszystkim przykład pracy dał, to wystarczające do nieba. Żem na pogrzebie małego dziecka Rede nie raczył mieć,

dziś jeszcze rodzice mi wypominają, choć to już przed wojną było. Żeby to choć coś pomogło i kogo z lutrów nawróciło, słuchają, pochwalą, że u nas ładniej, ale nawrócić się nie myślą, przekonani, że wierze w której się narodzili umrzeć chcą, taka wola Boża i za tę wierność już im się niebo należy. Brak widać łaski Boskiej do szukania i przekonania się o prawdzie.

Z schyzmatykami nie inaczej. Mów nie trzymają ale zewnętrzne ceremonie cerkwi i na ludzi przeszły. Sanctissimum, ofiara mszy św. to wyrazy nieznane u nich, choć i 1-no i 2-gie mają, ale naród pojęcia o tym nie ma. Co do kapłanów zaś, to uczciwsi wśród nich boleją nad tą ich obojętnością względem N. Sakramentu i brakiem uszanowania. Biedni nasi katolicy wśród Rumunów. Jadą do chorego, rumun furman czapki zdjąć nie chce, bo mu nikt nie umarł (wtedy tylko na znak żałoby bez pokrycia głowy po wsi chodzi) i kościelnego się pyta po co ciągle dzwoni, jak mu to wytłómaczyć, że to Najśw. Sakrament. U nich Sanctissimum raz na rok konsekrowane umaczają we krwi P. Jezusa, bo konsekracja ich jest ważna, potem je suszą i tą zasuszoną proskurę (tak ją nazywają) przechowywują dla chorych w bocznym ołtarzyku czy też kapliczki, mniej gorliwsi dla wygody w domu, gdy cerkiew nieraz daleko od probostwa. Do chorego to zasuszone Sanctissimum w winie umaczają — ot Komunia św. pod 2-ma postaciami i tej mało chorym udzielają. Wiernym komunii św. nie udzielają jak tylko w czasie wielkanocnym a raczej przedwielkanocnym, bo wtedy tylko spowiadają popi. W jakim zapomnieniu to Sanctissimum w kapliczkach nieraz, dowodem może bajka u chłopów, że nietoperze, to myszy, które w cerkwi proskurę pogryzły i za to im skrzydełka urosły. Widząc jak mało księża rumuńscy chorych swych zaopatrują, mimowoli dochodzi się do przekonania, że Kościół wschodni przez to, że Sakramenta licznymi ceremoniami otoczył, korzystanie z nich wiernym utrudnia. Z olejami św. 2 księży koniecznie być musi no i doskał czyli dyak z kadzielnicą, a ponieważ 2-go księdza z następnej parafii sprowadzić z kosztami połączone, na co nie każdy pozwolić sobie może, to też wielu, a może większa część bez pociechy tego sakramentu z tego świata schodzi. Rusini unici przecież już więcej się zbliżyli do źródła łaski, bo choć komunię św. w taki sam spo-

sób chorym udzielają, umaczając Sanctissimum w winie dla łatwiejszego też połknięcia, na podobieństwo 2 postaci, to przecież oleje św. kapłan bez pomocy 2-giego udziela.

Pogrzeby rumuńskie na wsi, to kino. Bogącza 4 woły ciągną na saniach niskich w lecie po błocie, aby się umarły nie wstrząsł i dodajmy, aby przypadkiem nie powstał, bo woły i karmne pobite na pośmiertną ucztę, t. zw. praźnik, a tak popsułby wszystką frajdę, bo kto żyw, zasiada do tej uczty. Bogacz, oczywista, bogactwem imponuje, a więc jak najwięcej procesyj (to jest: chorągwi i krzyżów, tych ostatnich nawet kilka naraz noszą). Co kto może, niesie, nawet lichtarze ze świecami. Drzewko, to jest choinka, obwieszona darami: plackami okrągłymi — placintami zwanymi, dalej cukierkami lub kawałkami cukru, niesie 2 mężczyzn w koszu przed popem, a u mai bogatszych (mai znaczy więcej) nawet stół zastawiony noszą. Na nim u 4 rogów 4 patyki, nadziane cytrynami, figami i kołaczami, tak chowano naszego sąsiada bogacza. Stół i drzewko dla popów i przed nimi bywa niesione. W mieście widziałem niesiono rodzaj tortu przed księdzem. Nie jest to tort, jeno placek podobny, przytem miękki, bo z miodu i łyżeczką go się spożywa. Za przyjemność tę dziękuję, gdy każdy łyżeczkę oblizuje. Ksiądz pierwszy kosztuje, za nim wszyscy obecni. Coś podobnego widziałem też u naszych Rusinów. Woły na rogach mają nadziane te okrągłe placinta i kawał płótna lub ręcznik i tak każdy tragarz na krzyż i na chorągwie placek i chustkę zawiesza. Szopnie to wygląda. Dostało się i naszemu krzyżowi raz na pogrzebie katolika w rumuńskiej wsi. Na trumnie ohydnie pomalowanej na niebiesko na sznurkach, zamiast wianków wielkie wianki z placków po obydwóch bokach. Na każdym mostku postój. Kładą ręcznik ładny kolorowy, przez ten ręcznik woły z trumną przechodzą, ten już własnością popa, im więcej rowów czy mostów, tym więcej ręczników. Płaczki wynajęte z rozpuszczonymi włosami, fletniści i trębacze na 3 m. trąbach wyjący, a każdy instrument ma placek i płótno zawieszone. Słowem — kino. Ale praktyczni są. Praktyczniejsze wożenie trumny na niskich saniach po błocie, niż noszenie, inna rzecz, czy estetyczniejsze. Praktyczne ich ubiory, ich kyrpce. Na gołoledzi kalosze się poślizgują, a oni w kyrpcach, jak bociany, ledwie się

ziemi dotkną, tak chodzą nie poślizgując się wcale. Jeszcze praktyczniejsze szwabskie postoły, t. zw. hilcze (z niem. Holzschuh) pantofle, bo błota do domów nie wnoszą, zostawiając hilcze na dworze, to samo wchodząc do kościoła, na dworze kłapią tymi trepkami, jak kameduli, a do wnętrza cicho, bo w pończochach. Jak przed minaretem muzułmańskim, tak tu po trepkach w przedsionku stojących, naliczyć można, ile ludzi w kościele Dziwiłem się i gniewałem zarazem, gdy w Sołońcu nasi górale w lecie w kiptarach, tj. krótkich kożuszkach bez rękawów chodzili, później się przekonałem, jak to przyroda ludzi praktyki nauczyła. Bo choćby, nie wiedząc jak lekko pod górę iść, mimo woli się człowiek spoci, a na górze wśród lasów zimny wiatr prawie zawsze wieje, nie mając wtedy kożuszka okrywającego najczulsze organa ludzkie, jak płuca i nerki, mimo woli zapalenie, a przynajmniej jakie zaziębienie by powstało. To samo tyczy się, zdaje się, pasów chłopskich skórzanych czy u krakusów, czy u naszych górali i rumunów, nie są one dla samej ozdoby tylko, bo jadąc drogami leśnymi, czy polnymi pełnymi wybojów lub kamieni (bo tych dróg nikt nie naprawia), albo dźwigając ciężkie kloce pospiesznie, bo zazwyczaj ukradzione, mimo woli nabawiłby się przewrócenia kiszek, t. zw. miserere, gdyby pasem szerokim nie był opasany. Co nam się nieraz śmiesznym wydaje, w ich oczach jest pięknym, a w rzeczywistości praktycznym i potrzebnym. Węgrzy tu u nas noszą niezmiernie szerokie spodnie płócienne. Brzydkie to, bo chłop wygląda jakby 2 babskie spodnice na sobie nosił, ale dobre to i bardzo przewiewne w gorącym lecie. A ponieważ całe męskie ubranie z płótna i baranich kożuszków, to też chłop bukowiński, prócz kapelusza, nic nie kupuje, nawet obuwia, bo z wieprza skórę łupi i z tego kyrpce sobie robi. A i ten kapelusz u skąpszych jeden od ślubu aż do starości, lepszy od parasola, bo potami impregnowany, że deszcz go się nie łapie, taki masny. Mogliby się zbogacić, gdyby nie żydzi i ich karczmy. Chleb u nich rarytas, tylko na wesela i praźniki, te sławne placinta pieką, poza tym żyją mamałygą, włoską polentą, którą zawsze świeżą spożywają, każdy z nich pod tym względem jest swoim kucharzem, a tak przywykli do niej, że nad mięso ją przekładają. Kiedy podczas wojny legiony rumuńskie kreowali, to

najpierw wszystko odchorowało to codzienne jedzenie mięsa, nim się przyzwyczaili. Gdyby jej, tj. mamałygi zabrakło, rewolucja by powstała. Barometrem burzy lub pokoju w umysłach tutejszych — mamałyga. Zrozumiał to rząd i przeprowadzoną reformą agrarną apetyty chłopów zaspokoił, rozparcelowawszy niektóre dobra, zwłaszcza funduszu religijnego orientalnego, z czego i nasi poniekąd także korzystali.

Ciężkie czasy obecnie przeżywamy. Posucha daje się we znaki. Z różnych, zwłaszcza górskich stron, jak Bori, Paltinosa, Poiana-Micului przychodzą z procesjami do nas do Kaczyki, prosząc o deszcz. Była już raz podobna posucha przed 30 laty, że trzeba było siano sprowadzać z innych prowincyj Austrii i bydło tak staniało, że nasi górale w Sołońcu na targu krowy skupywali (25 guldenów wtedy krowa kosztowała) i zarżnęli i zjedli, bo się to lepiej opłacało. Dziś inaczej, siano drogie, a bydło nie tanieje, kepele w tym żydów, którzy do Palestyny bydło posyłają. Chłop jednak przywiązany do bydła nie bardzo się kwapi ze sprzedażą. Na domiar złego czesi agitatora wysłali, aby na podstawie przezwiska — Słowaków — zarzewie nienawiści posiać między naszych górali. Gdzie ksiądz Polak, nie odważają się, ale gdzie innej narodowości, tam im raj. W sąsiedztwie w Poiana-Micului był administratorem, opisany już w zeszłym roczniku, X. Ptasznik, z pochodzenia Rumun, X. Breabau, który na wojnie będąc między Kroatami, języka ich się przyuczył, ale jak każda *fix idea*, tak też to jego zamiłowanie jednostronne do ptaków, a zwłaszcza do samych gołębi, zemściło się. Ciekawy to objaw u kapłanów to zamiłowanie do rzeczy, których inni zwyczajni nie mają, wyrabia się pewnego rodzaju dziwactwo z tego niekapłańskiego zajęcia, u jednego zamiłowanie do samych kaktusów, do gąsiorów 18-letnich, do królików i kur, których za nic w świecie nie zabije i jadać nie będzie, dla kanarków mnóstwa, których utrzymanie i hodowla więcej kosztuje, niż sprzedaż pokrywa. W tym wypadku ten nasz X. Ptasznik wyszukał sobie jako 2-gie oryginalne zajęcie wyszukiwanie kandydatów i kandydatek do klasztorów, seminariów; nic by w tym ciekawego nie było i zajęcie hyperkapłańskie, cóż kiedy samych tłustych chłopców wyszukiwał, chudość to brak powołania, a sam chudy, jak

szczypa. Te jego ekstrawaganse okazały się zgubne. Nie mogąc kandydatów do Polski wysłać dla waluty złotego wysoko stojącego, powymyślał co innego. Ponieważ parafian jego Słowakami przezywają, bo oryginalną polszczyzną mówią, postanowił ich do Słowacji wysłać, przedstawiwszy prawdopodobnie stan ich jako przez nas Polaków gnębiony.

Przyjechali najpierw panowie czescy na zwiady, a później X. Słowak na wakacje, pomimo protestu kleru naszego. Obecnie jest agent nauczyciel czeski, świetny agitator, u którego wszystkie środki godziwe: pijatyką, różańcami, cukierkami i chustkami ich, to jest słabszych kupuje. 1-sze u niego radio było, przy tym muzyk, śpiewa i pije, same dobre zalety i ten ich psuje. Z naszej parafii próbuje i Pleszan i Sołoniec pozyskać. 1 cały milion lei im na nowy kościół obiecuje gdy przystaną do niego, pokusa wielka na obecne ciężkie czasy ale przecież Judaszami nie będą a on też przyrzeczenia nie zrealizuje. Rząd zdaje się całej tej agitacji się nie sprzeciwia pomimo protestu Polaków i posłów rumuńskich. Ksiądz administrator Niemiec Polaków nie rozumi, władza zaś wyższa fałszywie poinformowana akcję tę nawet popiera, stąd rozgardiasz wśród poczciwców straszny. Oburzenie największe w kościele bo w niedzielę 3 ewangelie stojąc wysłuchać przychodzi. Dla ucha polskiego język czeski wogóle oryginalny a kaleczony przez X. Niemca wprost niemożliwym się staje. Słowa jak „w meno otca (w imię ojca) plod (owoc) telo (ciało) pożehana (błogosławiona) wezdejši (powszedni) ajhl'a (nawet trudne do wymówienia — oto) oroduj (módl się) dietky (dzieci) wprost ich oburzają, bo tak ani babka ani matka ich pacierza nie uczyła. Czy dziwić się im, że skutkiem tego do kościoła, który bądź co bądź kochają, powoli wstrętu nabierają i choć kler w wielkim poszanowaniu mają, za tę politykę w kościele, równocześnie znienawidzieć muszą. Ta rozterka w duszy prostego poczciwego chłopa jest straszna, doszła raz do zenitu, gdy kobiecinka X. Słowakowi wprost powiedziała: „za tę waszą politykę my w piekle będziemy ale i wy na samym spodzie“. Dobrze św. Wincenty zrobił, że nam zabronił polityką się zajmować, bo doskonale wiedział jaki to demon ta polityka. W kościele dochodzi do kłótni, mszy św. i kazania wolą w radio z Katowic posłuchać, niż się

w kościele irytować. Jest obecnie posucha. Zamawiają Polacy procesję do Kaczyki i zdziwienie moje wielkie, że przyszli niemcy z księdzem a Polacy nie.

Dowiedziawszy się, że i Czech agitator chce iść, wyrzekli się raczej udziału, aby tylko z nim nie być i śpiewów słowackich nie słyszeć. Rząd mimo wszystkich protestów popierać zdaje się tę agitację nie z miłości chyba ku Słowakom, bo minorytetów wogóle nie lubi i tu prąd Hitlerowski t. zw. Blutrumänen popierają i rozszerza się. Ale tak jak Polskę skłóconą rozebrali tak też i tu owo *divide et impera* romanizację popierać ma, dojdzie wreszcie w tej nienawiści chłopskiej do tego, że nie widząc już wyjścia a nie chcąc nawzajem sobie ustąpić, raczej zgodzą się na X. rumuna i kazanie rumuńskie, niż słuchać znienawidzone czeskie czy słowackie nie ich, jeno obce. Który rząd by tego sobie nie życzył? Na koniec i wyższa władza kościelna nie mogąc dojść słuszności, bo po pierwszej i drugiej stronie są kapłani (a niemcy za przykładem Reichu prędzej wszystkich Słowian w obronę wezmą niż Polakowi słuszności przyznają) przychyli się do tego i nie będzie chyba sządowi się sprzeciwiała. Na szczęście w ostatniej chwili przyjechała do nich wycieczka z Polski „Związek Polaków z Rumunii w Polsce", taki tytuł mająca. Odetchnęli biedacy, bo i księża z nimi przybyli. Najwyższy czas. Chłop narodowości od religii nie bardzo oddziela i dlatego atak ten tak bardzo odczuwa, że broniąc narodowości, broni przede wszystkim religię w niej.

Niemcy co roku bawarczyków nam nasyłają, którzy swoich na duchu podnoszą. Polacy jakby nie istnieli, nie troszczono się o nich, owszem wszędzie tylko prześladują. Widocznie Polacy wybrany naród. skoro tyle cierpią i w dodatku od tych, których religia im każe przede wszystkim kochać. Na Śląsku po niemieckiej stronie postępowanie przez księży szowinistów, na wschodzie znowu Rusini Polaków przez unię kradną, obecnie i tu u nas Czesi zaczynają dusze polskie porywać. Biedna ta Polska. Mają Niemcy Lutrów, Węgrzy Kalwinów, Czesi Husów, którzy religią narodowość rozbijają. Polska trzyma się czystą po największej części, choć początkowo i dysydentów miała. Nie rozdzierała, ale przygarniała to Litwinów, to Rusinów, całej Europie się uży-

teczną okazała, broniąc przed pogaństwem tureckim i ostatnio przed bezbożniczym bolszewizmem, oby kiedyś za swoje *semper fidelis* nagrodę otrzymała. *X. H. Wochowski.*

Prymicje w Kaczyce. Sołończanie mają swojego pierwszego kapłana. — W niedzielę, dnia 28 lutego 1938 r. przy cudnej pogodzie już od samego rana ciągnęły tłumy w barwnych strojach — nasi górale, a przede wszystkim górale z Sołońca, Pleszy i dalekiej Poianu Micului do Kaczyki na prymicje ich rodaka X. Józefa Chachuły z Nowego Sołońca. Jakby makiem posiał, tyle kraciastych chustek, gdzie niegdzie i śliczny sołoniecki strój młodzieńczy, haftowany „kiptarek" wynurzał się, jakby się wstydził, ciągle nurka dawał i gubił się wśród mnóstwa szpencerów niemieckich, jakie — niestety — dziś Sołończanie noszą. A szkoda, że strój zarzucają.

Spodziewaliśmy się, że wśród bicia dzwonów wspaniałą procesją zaprowadzimy neopresbitera, jak to w zwyczaju, z probostwa do kościoła. Stan wyjątkowy przeszkodził i żandarmeria nie udzieliła pozwolenia mimo próśb. To był jedyny zgrzyt w tej miłej nadzwyczaj uroczystości. Mimo to dziewczynka przywitała prymicjanta pięknym wierszykiem przed drzwiami kościelnymi.

W towarzystwie XX.: X. Infułata Grabowskiego, Dziewiora z Sołońca, Nowaka z Zastawny, Kulpy, Skrabla i Krajewskiego, Mania, proboszcza gr.-kat. i X. Wochowskiego, wszedł neoprezbiter do miłej świątyni M. B. Kaczyckiej, gdzie hymnem „Veni Creator" zaczęto Mszę prymicyjną wśród asysty, a zakończono uroczystym dziękczynnym „Te Deum". Kazanie wygłosił złotousty X. Nowak z takim ogniem i z taką siłą, jakby się zapatrzył w X. kanonika Jakubowskiego. Byliśmy świadkami i kilku rzewnych chwil, gdy syn rodzicom Komunii św. udzielił, a później nad głowami ich słowa błogosławieństwa wyrzekł. Nie mniej rzewne było błogosławieństwo, udzielone przez nowego kapłana starym wychowawcom: X. Dziewiorowi, obecnemu gospodarzowi Sołońca, jako i dawniejszemu X. Wochowskiemu. Lud widział to po raz pierwszy.

Od 150 lat istnienia Kaczyka odprawiła pierwsze prymicje a i te z przeszkodami, bo zachorował nam nasz dyrygent muzyczny. Za to lud całą piersią śpiewał „Do Ciebie wieczny Pa-

nie, pokornie wołamy". Na zakończenie udzielił młody kapłan błogosławieństwa wszystkim, obdarzywszy obrazkami.

Wieczorem zaproszono Duchowieństwo na przedstawienie „Testament Frankowy". Sztuczka ta zachwalana była w miesięczniku „Polacy Zagranicą" i choć długo wszystko trwało, młodzież nasza co mogła z siebie dała i wszystko dobrze się udało. Amatorzy, to wprawdzie materiał surowy, ale posiadający wrodzone zdolności. Na uznanie zasługuje również reżyseria. Trudno wszystkie grające osoby wymienić, fakt, że grali wszyscy dobrze, a zasługą ich specjalną, że sami bez wszelkiej pomocy (bo proboszcz rekonwalescent nie mógł w zimnej sali na próbie przebywać) przecież dali dobre przedstawienie. Okazało się, ile jest talentów w Kaczyce ukrytych, które odkrywa się dopiero przy okazji.

Nazajutrz przyjechali Sołończanie po księży wozami uwieńczonymi, jakby na wesele jakie, a ponieważ to był targowy dzień w Kaczyce, więc ciekawości i pytań było dużo, zwłaszcza wśród Rumunów. Dziwili się, co to za nadzwyczajne wesele, skoro tylu księży na trzech wozach na nie pojechało. Wytłómaczyli im to nasi, że to kapłańskie wesele, przytakiwali, choć nie bardzo snać rozumieli. Ciekawych było po drodze dużo. Wozy ładnie ubrane ale droga, pożal się Boże. Mosty połamane i dobrze nasz Pan Konsul zrobił, że nie przyjechał, bo by auto pewnikiem resory połamało. Fundusz religijny za biedny widać, aby parę małych mostów naprawić.

Sołończanie przedstawili nam się w całej krasie. Wyciągnięto weselne ubiory, a że ładne, nie trzeba podkreślać.

Była to już uroczystość więcej swojska. Na stopniach u wejścia do probostwa przywitano młodego kapłana wierszykiem i żywymi kwiatami. Przemówił Wikariusz Gen., X. Infułat Grabowski, zaznaczając, że przez 100 lat istnienia Sołoniec pierwszego księdza sobie wychował, zaś jego rodzinna wieś na Śląsku, również 100 lat istniejąca, już 50 kapłanów i z 200 zakonnic wydała. Oby ten nowy kapłan był pierwszym, ale nie jedynym.

Gdy według zwyczaju kapłan już ubrany w ornat ukląkł by od swoich Rodziców otrzymać błogosławieństwo, mało czyje oczy były suche. Nie pomogło gryzienie warg nawet u mężczyzn. Przy biciu dzwonu (dzwonu bardzo wielkiego — daru Warszawy)

i śpiewu „Serdeczna Matko“ wprowadzono prymicjanta do kościółka już w części rozebranego, bez wieży i ciemnego, bo na około wznoszą się już mury nowej świątyni. Kaznodzieja znający widocznie dobrze Sołoniec z jego zaletami, ale i ze wszystkimi wadami, zwrócił się pod koniec kazania do neopresbitera, aby przy ofierze św. błagał Pana, by pomógł narodowi porzucić stare wady — przede wszystkim pieniactwo, niszczące niejedną zagrodę, a na jego miejsce miłością wzajemną pomógł sobie wspólną pracą do ukończenia budującej się świątyni. Po odmruczeniu prefacji (specjalność górali) naśladującej wiernie stary organ wiejski, udzieleniu Komunii św. rodzinie i krewnym i po błogosławieństwie, lud góralski zabawiał się ochoczo. W chacie ojców Chachułów po staropolsku powitano syna-kapłana chlebem i solą. Gościnni gazdowie gościli mile księży, krewnych i znajomych, bo choć 14 dzieci rodzina liczyła, biedy nie zaznała pomimo, że syna kształcić dano. Cześć im. Ludzie to starego wzoru, jakich dzisiaj mało. Młodzież śpiewami ukrasiła gościnę, zjawiwszy się w swych pięknych strojach regionalnych, tak rzadkich już. O ileż to piękniej dziewoi w wianku pełnym krasnych wstążek, niż w nowomodnym welonie (w szlajerze — według prof. Ligonia ze Śląska). Ale najwytrwalej trzymają się swych pięknych strojów Pleszanie, tak mężczyźni jak i kobiety i wcale im rozumu nie ubywa, jak się szpencerowym fałszywie wydawać może.

Upamiętniono też ten dzień zbiorową fotografią, do której niektórzy chłopcy, zawstydzeni pięknymi strojami dziewcząt w koszuli haftowanej i kamizelce stanęli pomimo zimna, porzuciwszy czym prędzej niemieckie szpencery.

Wieczorem odegrano w Domu Polskim sztuczkę „Werbel domowy“, pod reżyserią nauczycielki, p. Obersheimer, dzielnej pracowniczki.

We wtorek i Pleszanom nowy kapłan pociechę sprawił, odprawiwszy im Mszę św. i udzielając błogosławieństwa.

Oby ta uroczystość więcej powołań wśród młodzi rozbudziła. Przyczyni się chyba do tego budujący się w Sołońcu nowy kościół śliczny, którego mury już stoją, a który był wciąż marzeniem starych już nieżyjących gazdów.

(*„Kurier Polski w Rumunii“ 27 II 38*).

Sołoniec. G d y n a d S o l o n e t u l ś w i e c i s ł o ń c e... — Słońce prażyło już rzetelnie, gdy nasze auto wjechało na boczną drogę, kolebiąc się na wybojach i posuwając się zwolna ku Sołońcowi. Co chwila trzeba było wysiadać na spiekotę i pył, w obawie, że jakiś mostek nad potokiem nie wytrzyma ciężaru i auto zwali się z nami do głębokiego jaru.

Przed nami wiła się kręta dolina, a wokół nas wyrastały zielone góry.

Na odgłos motoru wybiegł ktoś z tej i owej chaty i pozdrawiał tradycyjnym: Niech będzie pochwalony.

Jesteśmy więc już na miejscu. Jesteśmy w Solonetul Nou, jednej z trzech góralskich wsi polskich na Bukowinie. Solonetul leży najniżej, w kotlinie, przeciętej kilku nikłymi potokami. O piętro wyżej, wśród zieleni buków i świerków leży Plesza, a po drugiej stronie łańcucha gór znana już dziś szeroko Poiana Micului. Ongiś, przed wielu laty, przybyło tu od dalekich Tatr kilkadziesiąt rodzin góralskich, którym nie podobało się odrazu wśród dólskich ceprów, więc potworzyli nowe osiedla w górach bukowińskich. Poletka tu ubogie, bo pierwsi osadnicy, to był naród leśny, a ich wnukowie i prawnukowie też w tych lasach pozostali. Nie wielu tylko ruszyło w doliny za łatwiejszym zarobkiem.

Dobiliśmy przed ubogi, skromny kościółek, bo to w Sołońcu dziś odpust i poświęcenie kamienia węgielnego pod nową świątynię. Barwnym wieńcem opasał naród leśny cały kościółek, a stłoczył się w ciasną ciżbę tam, gdzie X. infułat Grabowski z Cernauti z kielnią w ręku umacniał kamień pod nowy schron boży. Na placu za kościołem wszystko tak, jak na odpustach w Polsce: wózki i wózeczki, wyprzężone i przystawione do wozów koniki, handlarze z bułkami, kiełbasą, piernikami, sercami. Ruch i gwar.

Wśród ciżby przewija się proboszcz, twardy Ślązak, X. Dziewior, prawdziwy oracz boży. Gdy przybył do Solonetul, plebania wiała pustką. Proboszcz zakasał sutanny, na nogi włożył jakieś łapcie i zabrał się do roboty. Przekopał ogródek, obsiał, obsadził. Dziś zarówno kościółek, jak i plebania toną w zieleni i w kwieciu. X. Dziewior pokazuje spracowane, zmordowane ręce i śmieje się dobrym, ludzkim śmiechem:

— Takimi rękami można przecie wszystko zrobić.

W krzach zadomowiło się ptactwo, które zlatuje się po pokarm nie tylko do księżego okna, ale i do pokoju. Gwarzy z ptaszkami proboszcz, strofuje je, lub zachęca.

Ale nie tylko ptaszki zbiegają się do proboszcza. Zbiega się i lud górski z całej okolicy, bo Pleszanie mają parafię w Solonetul, a w Poiana Micului jest ksiądz nie Polak. A przecie raźniej poprosić o radę swojego.

Słońce sprażyło nas dobrze, nim skończyła się uroczystość. Zgłodniali ruszyliśmy ławą na plebanię, otaczając wieńcem konsula generalnego R. P. p. M. Uzdowskiego i X. infułata Grabowskiego. Lud odpustowy podjadł gdzie bądź i obległ szczelnie Dom Polski. I dopiero zaczęła się muzyka, zaczęły się tany z przyśpiewkami. Fantazja uderzyła do głowy i musiała się w jakiś sposób wyładować.

Patrzyliśmy na to wszystko, jak na piękne widowisko i zdawało nam się, że rozparliśmy się szeroko w nogach gdzieś na polskim Podhalu, u samych stóp Giewontu, a przed nami tańczy i przytupuje z fantazją honorny lud góralski. Niejedno oko zamgliło się podczas zabawy i rzewność objęła serca. Kum kuma ściskał w kącie, albo i na środku sali, kapelusze zjeżdżały gdzieś daleko na karki, bratała się Plesa z Solonetul i Poiana Micului z Plesą. Bo wszyscy przecie z jednego są pnia, z polskiego ludu góralskiego, zagubieni — zdawałoby się — w tych bukowińskich lasach, ale przecie twardzi i nieugięci.

Nad Sołońcem świeci słonko, szemrze w pobok Polskiego Domu potok, a w Domu tany i przytupywania i polskie, nie słowackie pieśni. Aż żal odjeżdżać. Proboszcz opowiada o swoich ptaszkach, wieczór się robi, klakson auta wzywa do odjazdu, bo wielki szmat przed nami. Bywaj polski ludu góralski! Bywajcie Sołończanie i Pleszanie i Pojana-Mikulanie! Przyjedziemy tu jeszcze do Was, przyjedziemy nie tylko na odpust, ale i tak, aby z Wami pogwarzyć o sprawach Waszych i naszych, o sprawach polskich, odpocząć u Waszego poczciwego proboszcza, dać się przygrzać Waszemu ciepłemu słońcu.

Wsiadamy znowu w auto i kolebiemy się znów po wybojach, wysiadamy przed mostkami, obijamy sobie wzajemnie boki, roześmiani, rozochoceni, zarażeni fantazją honornych polskich górali z bukowińskich lasów. (*„Kurier Polski w Rumunii“ 23. V. 37*).

Chiny. Shunteh, dnia 28 sierpnia 1937 r.

Najczcigodniejszy Ojcze!

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Dopiero co czytałem w lekcjach brewiarza historię pobożnego Joba. Doświadczył go Bóg ciężko, a jednak nie wyrzekł ani słowa skargi. Choć bolał tak bardzo, jednak poddał się woli Bożej. I ja też nie szemrzę, nie skarżę się. Jednak swój ból i troskę nie komu innemu zwierzę, jak Ojcu?

Gazety doniosły na pewno o wojnie, jaka się toczy na terenie Chin między wojskami chińskimi i japońskimi. Prawda, że na razie jesteśmy poza terenem walk, ale czy na długo. Zaraz z początku parę razy zaglądały do nas aeroplany japońskie. Potem przyszły straszne deszcze. Więc mamy spokój. Ale nie jest powiedziane, że zawsze tak będzie. Niech tylko ustali się pogoda, wnet możemy się spodziewać bombardowania. Mamy piwnice na wszelki wypadek. Na dachach rozłożymy polskie chorągwie, o czym pisałem do Posła polskiego w Szanhaju. Poza tym liczymy na opiekę Bożą. A pozostać na miejscu musimy, chyba, że tu przeniósłby się front wojenny. Na ten czas schronilibyśmy się w góry, lub w inne zaciszniejsze miejsce. Obecnie przygotowują tu wielki szpital wojskowy dla rannych. Już i nas zapraszają do współpracy. Tego odmówić nie możemy. Ale dotychczas rannych prawie że nie ma. Jednak zanosi się na długą wojnę. Jaki będzie wynik, nikt przewidzieć nie może. Na pewno wszakże ludność cierpieć będzie, bo już dziś wszystko drożeje i co gorsza niektórych artykułów pierwszej potrzeby nawet za duże pieniądze nie można dostać.

Nie o tym jednak chcę dziś pisać Ojcu. Ręka Boża dotknęła nas bardzo boleśnie. Przez cały miesiąc prawie bez przerwy padały duże deszcze. Było kilka ulew. Najstraszniejsza z nich to w nocy z 21 na 22 sierpnia. A jaki wynik? W samym Shunteh prawie połowa domów zawalonych, tysiące ludzi bez dachu nad głową, zboża wszelkie na polu poniszczone albo całkowicie, albo w dużej części. A że zbiory pszenicy były marne, stąd grozi głód. Już dziś musimy karmić sporą gromadkę najbardziej dotkniętych powodzią chrześcijan miejscowych.

Na zewnątrz jeszcze gorzej. Olbrzymie połacie kraju pod wodą. Masy domów w gruzach. Nasze rezydencje wszystkie poprzeciekały, niektóre domy też się zawaliły. A ile kaplic po gminach poniszczonych? Wszystko to należy podnieść z gruzów. I stajemy wobec pytania, jak postąpić? Albo podbudować, co jest zniszczone, co jest konieczne, albo też nie odbudowywać nic, a tylko nadal założyć katechumenaty i szkoły, co dla naszych chrześcijan jest niezbędne. Na raz obu dzieł za pieniądze, jakimi możemy rozporządzić, nie da się przeprowadzić. To jest koszmar, który mnie teraz prześladuje. Jak postąpić? Jak wyjść z sytuacji?

Nie mam innego wyjścia, jak tylko zwrócić się do Najczcigodniejszego Ojca po ratunek. Wiem, że Ojciec nie ma sum do swobodnej dyspozycji i nie stąd spodziewam się wsparcia. Ale Najczcigodniejszy Ojciec ma sposób na uratowanie nas. Niechaj wszyscy księża konfratrzy rozpoczną zbiorową akcję, celem zbierania składek na nas powodzian. I w tym celu niech np. przez jaki miesiąc co niedzielę głoszą specjalne kazania, przez Stowarzyszenia urządzą jakie imprezy, potworzą ewentualnie rodzaj komitetów, któreby sobie wzięły za zadanie kwesty na naszych powodzian. Na pewno znajdą się i inne sposoby, których my tu nie znamy. Zależy jednak to wszystko od Najczcigodniejszego Ojca, który może wszystkim konfratrom nałożyć to, jako obowiązek miłości. I to jak najwcześniej. Ze łzami w oczach, w imieniu Konfratrów, Sióstr i tych biedaków wszystkich błagam Ojca, by w tym ciężkim położeniu nie opuszczał nas, ale wszystko zrobił, by nam pomóc!

To, co X. Prefekt uzbierać zdoła w Ameryce, nie starczy na pewno na założenie i utrwalenie dzieł nam najkonieczniejszych: Zgromadzenia Józefinek, szkoły katechistów, Małego seminarium, szkoły centralnej w Szunte, z której mielibyśmy i powołania na nauczycieli i katechistów, a także na seminarzystów, dom dla księży, na katedrę. Nie możemy przeto wymagać, by te właśnie pieniądze obrócić na nasze potrzeby obecne.

Napisałem odpowiedni list do X. E. Krausego, by przez swoją pracę pospieszył nam z ratunkiem. Ale jeden człowiek wszystkiemu nie podoła. I jeśli liczymy na to, że obcy nam ludzie

chętnie odpowiedzą na wezwanie, to ileż bardziej spodziewać się tego należy od naszych konfratrów?

Drugą taką potrzebą, to zwiększenie ilości pracowników. Za mało nas tu jest. Konfratrzy zabijają się wprost na misjach, takie obszary muszą objeżdżać, by ratować dusze. I nie stać nas na ugruntowanie już ochrzczonych we wierze, bo brak nam czasu na pokierowanie odpowiednim zorganizowaniem ich życia katolickiego. W Szunte Józefinki czekają na księdza, który będzie mógł im oddać się prawdziwie, dla odpowiedniego ich wyrobienia i przygotowania do życia zakonnego i pracy na zewnątrz. Obecnie kumuluję takie urzędy, z których każdy wystarczyłby dla jednego misjonarza. Ile stąd szkody dla dzieł?

Dlatego też Najczcigodniejszy Ojciec musi nam przysłać nowych konfratrów do pomocy, inaczej narazi nas na wymarcie przedwczesne. Praca i klimat zrobią swoje. W takim stanie rzeczy nie długo popracujemy. I co będzie po przedwczesnych starcach? Komu się przydadzą? I jak pójdzie praca w Prefekturze? Ojcowskie serce nie dopuści do czegoś podobnego!

XX. Krzysteczko i Jankowski są w Szunte, gdzie przyjechali na wypoczynek wakacyjny i teraz powrócić do Pekinu nie mogą. Ale tutaj nadal studiują chiński. Obecnie przerabiam z nimi spowiedź po chińsku. Następnie przestudiują cały katechizm, by w ten sposób przygotować się do bezpośredniej pracy misyjnej. Obaj mają doskonałego ducha i zapał.

W tym roku urządziliśmy dla konfratrów rodzaj wakacyj po miesiącu. Spędzali je księża w rezydencji podgórskiej Szacho Pejdżan, gdzie pracują X. Kotliński i X. Skowyra. Nie było żadnych wygód, bo rezydencja mała, nadto brak ogrodu i trzeba było dowozić jarzynę, co uniemożliwiały ciągłe ulewy. Nie mamy innego domu odpowiedniejszego. A wypoczynek po całorocznej męczącej pracy jest konieczny.

Otrzymaliśmy z Wenchow Br. Władysława. Nasz poczciwy Br. Fedzin ucieszył się niepomiernie, ale nie na długo, bo zaraz po przyjeździe posłaliśmy go do Czentin, gdzie pod okiem tamtejszego Braciszka Węgra, nauczy się uprawy winogron i wyrobu wina, oraz innych praktycznych rzeczy. Do tego nauczy się z łatwością i tutejszego języka, bo rzeczony Brat dobrze go posiadł

i umie innych uczyć. Sam Br. Władysław ogromnie z tego zadowolony, bo chce być użyteczny misji. Widać było po nim, że się palił do pracy. A przy tym skromny, pokorny i posłuszny. Wszyscy w Czentin ogromnie go polubili.

Praca w szpitalu X. Doktora nadal ma olbrzymie znaczenie. Niestety za mało i Sióstr, i X. Doktor nie może podołać nawałowi. Uprzedni lekarz odszedł. Na razie jest inny, zakontraktowany na jeden rok i już na szczęście może dobrze pomagać. X. Doktor przemęczony. Obecnie więcej odpoczywa, by nabrać nowych sił.

Inni księża konfratrzy dzielnie mimo wszystko się trzymają. X. Superior uczy się pilnie chińskiego. X. Jęczmionka specjalnie pojechał do Ciulu do X. Stawarskiego, aby tam przygotować się lepiej do duszpasterstwa. X. Cymbrowski został przeniesiony na parafię, a szkołę w Szunte będzie prowadził ksiądz chiński, wychowanek propagandy w Rzymie. X. Krzyżak otrzymał parafię w górach. Ciężko tam pracować, bo się jest odcięty od świata i rzadko można widzieć jakiego konfratra, a niestety nie można mu dać towarzysza. Inni księża pracują na dawnych posterunkach.

Na dziś muszę skończyć i tak już przydługi list. Najczcigodniejszy Ojciec wybaczy mi, żem tyle kłopotów przysporzył tym razem. Ale przecież Ojciec tylko może dopomóc.

W końcu dla siebie i dla całej naszej misji o błogosławieństwo ojcowskie kornie prosząc pozostaję w miłości Jezusa i Marii Niepokalanej najpokorniejszy syn *X. W. Czapla.*

Shunteh, dnia 18 października 1937 r.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Ł. P. N. n. z. b. z N.

Korzystamy z wielkiej uprzejmości japońskich władz wojskowych, które obiecały nam przesłać list swoją pocztą, gdyż pocztowy urząd jeszcze nie funkcjonuje. Spieszymy donieść, że burza wojenna już przeszła przez naszą misję i dzięki Opatrzności Bożej nasze placówki misyjne nie ucierpiały ani od bomb aeroplanowych, ani od grabieży żołdactwa lub band. Nadzwyczajna opieka Najśw. Serca Pana Jezusa, któremu nasza misja jest poświęcona, opieka Matki Najśw. od Cudownego Medalika, pod której wezwa-

niem jest zakład Sióstr Miłosierdzia czuwała nad nami, nad dziełami naszymi. To też jak przy rozpoczęciu wojny zwracaliśmy się z prośbą o łaskawą pamięć w modlitwach dla uproszenia opieki Bożej nad naszą misją, tak teraz prosimy, by wraz z nami zanosić dzięki za tę cudowną opiekę Bożą nad nami. W piątek, dnia 15-go października o godzinie 10½ przyjechały pierwsze tanki japońskie. Może ze setka przesunęło się tych żelaznych potworów śmiercionośnych przez naszą ulicę, następnie piechota, konnica, artyleria, treny... ciągnęły aż do wieczora i przez dni następne. Wojsko doskonale umundurowane, uzbrojone, jakże inny przedstawia widok od wojska chińskiego, pozbawionego tanków, aeroplanów itp., którego uzbrojenie prawie wyłącznie stanowi karabin i karabin maszynowy. Trudno mierzyć się tak nierównym siłom. To też wojska chińskie szybko cofały się ku południowi. Na ulicy wark tanków, turkot wozów, nawoływanie wojska... a w kościółku naszym misyjnym w Shunteh całodzienna Adoracja Najśw. Sakramentu. Chrześcijanie, którzy pouciekali z bliska i z daleka schronili się do misji i adorowali Pana Jezusa, prosząc o opiekę i miłosierdzie, a przy wieczornym błogosławieństwie dziękowali Boskiemu Zbawicielowi, że fala wojenna już przeszła. Setki mężczyzn, kobiet z dziećmi, z tłomokami, nie tylko chrześcijan, ale i pogan, znalazło schronienie na terenie misji, aby uchronić się przed żołdactwem, przed aeroplanami, przed bandami. Miasto Shunteh opustoszało zupełnie, jakby wymarło, wszyscy mieszkańcy miasta z tłomoczkami pouciekali w góry, szukając schronienia przed bombami aeroplanów, które swym hukiem ludzi wprost do szaleństwa denerwowały. Panika straszna, wszystkie władze cywilne nawet pouciekały. Ludziska pozostawiali towary w sklepach, w magazynach, urządzenia mieszkaniowe... a wrócą do mieszkań, do sklepów, do magazynów zupełnie zrabowanych, zniszczonych. Katolicy zawiązali komitet niesienia pomocy dla uciekinierów, zebrali nieco grosza na zaspokojenie najpierwszych potrzeb. Siostry nasze wraz ze sanitariuszami i pielęgniarki z X. dr. Szuniewiczem na czele opatrywały rannych w przychodniach, a przede wszystkim obecnością swoją dodawały otuchy przestraszonym do ostateczności mieszkańcom Shunteh. Największą biedę miały z opatrunkami, bo nasz szpital oczny nie posiada w wielkiej ilości

opatrunków na rany, na poszarpane granatami, szrapnelami, bombami członki ciała, ale i na to znalazły sposób: pokrajały gorsze sztuki bielizny, fartuchy pielęgniarskie i tymi kawałkami bandażowały. Bardzo dodatnie wrażenie na wszystkich wywarło to, że Misja Katolicka pozostała na miejscu, dzieląc los miejscowej ludności, niosąc pomoc potrzebującym, nie szczędząc ni trudu, ni ofiar. Tym bardziej, że protestanci amerykańscy już przed dwoma miesiącami powrócili do Ameryki, zostawiając w szpitalu lekarzy i personel chiński, ale i ci wszyscy przed tygodniem wyjechali na południe, zamknąwszy szpital i przychodnie.

O innych naszych placówkach misyjnych nie mamy dotąd wiadomości z ostatnich dni. Dotąd nie ucierpiały one nic i mamy nadzieję, że Opatrzność Boża ich strzegła jako i nas w Shunteh.

Załączam list X. Krzyżaka, biedak niemało przecierpiał.

Jesteśmy już trzeci dzień z wojskiem japońskim, które odnosi się do naszej misji bardzo życzliwie. Otrzymaliśmy od władz wojskowych opaski, które nam dają swobodę ruchu tak w mieście jak i poza miastem.

Wszyscy przesyłamy Przewielebnemu X. Wizytatorowi wyrazy najgłębszego szacunku i serdecznego pozdrowienia dla Konfratrów, polecamy siebie i misję, a szczególnie biednych naszych chrześcijan modlitwom, w miłości Jezusa i Matki Najśw.

X. *Witaszek* C. M.

Shunteh, dnia 20 listopada 1937 r.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Ł. P. N. n. z. b. z N.

Przed trzema tygodniami wysłałem list do X. Wizytatora, a przed tygodniem do X. Dihma pocztą polową japońską. Dziś korzystam z okazji, że ktoś z naszych znajomych jedzie do Pekinu. Dotąd jeszcze niema w Shunteh urzędu pocztowego, nie otrzymujemy więc żadnych listów ani gazet nie tylko z Polski ale nawet z Chin, nie wiemy nic absolutnie co się na świecie dzieje, jakby z głębokiej studni patrzymy tylko w niebo, skąd Dobry Pan Jezus nami opiekuje się, a my całą ufność w Nim pokładamy, wsparci modlitwami i zasługami z Polski, za co pragniemy wszystkim wyrazić naszą najserdeczniejszą wdzięczność i polecamy

się nadal łaskawej pamięci, gdyż czujemy, że tylko w Bogu całą nadzieję możemy pokładać. — Na ogół wszyscy odnoszą się do Misji i misjonarzy życzliwie, tak ludność jak i władze wojskowe, nawet bandy grasujące szanują księży z małymi wyjątkami. X. Krzyżak nie czuł się bezpiecznym w Hohsiu, sam jeden w górskich okolicach, gdzie roi się od bandytów cywilnych i wojsk chińskich rozproszonych, które teraz trudnią się bandytyzmem, i dlatego X. Czapla polecił mu przenieść się do Shahopeichang, gdzie w trójkę (X. Kotliński, X. Skowyra, X. Krzyżak) będzie im raźniej, a stamtąd może w razie potrzeby dojeżdżać do swych owieczek, bądź to na mule, bądź na koniku chińskim 60 km ścieżynami górskimi. Od 2 tygodni nie mamy żadnej wiadomości z Shahopeichang. I tam są rozproszone wojska chińskie, lecz nie są to bandyci, lecz wojsko regularne. Z Kiulu była przed 2 tyg. wiadomość, że u nich panuje spokój, są tylko przemarsze wojsk chińskich ku północy. Mamy nadzieję, że tam i w Changkuchui mają względnie spokój. W Tasinchwang X. Redziński trwa na posterunku, mimo, że w okolicy były potyczki, że bandy grasują. Pod jego opiekę i opiekę Kościoła katolickiego schroniło się do wioszczyny Tasinchwang do 5 000 uciekinierów. Nie mają biedacy miejsca w budynkach misyjnych, na podwórzu, w kaplicy (gdzie na czas rozruchów niema Najśw. Sakr.) więc pod murami, na ulicy siedzą i w nocy śpią, czując się bezpieczni w pobliżu Misji i misjonarza i to nie tylko chrześcjanie ale i poganie. — X. Jankowski pełni obowiązki anioła stróża przy X. Siao w Tapeichang i przy X. Teu w Smitchang, odległe od siebie miejscowości o kilkanaście km, albowiem jako europejczyk ma wszędzie większe względy, a te funkcje opiekuńcze doskonale spełnia, swoją nieustraszoną odwagą i śmiałością, w czem także wielkie usługi mu oddaje motocykl, który udało mu się nabyć okazyjnie za połowę ceny tj. 460 zł. Martwi się jak tę sumę spłaci, bo dał tylko 200 zł, resztę zaś spodziewa się otrzymać z Polski od litościwych serc. X. Siao przed przybyciem X. Jankowskiego bardzo wiele ucierpiał. Bandyci wdarli się do jego mieszkania, skrępowali go, żądają 1 000 $. Po długich targach przyjęli tę sumę, którą miał tj. 200 $, a gdy go rozwiązali i wypuścili, aby poszedł pożyczyć pieniędzy, on już do domu nie powrócił, lecz uciekł, i tak uszedł

niechybnej śmierci. Mieszkanie, zakrystję, kaplicę (gdzie nie było już Najśw. Sakr.) ograbiono doszczętnie, poniszczono, nawet tabernakulum rozbito. Przed tym pełnił X. Jankowski też same funkcje anioła stróża przy X. Górskim w Yaoshau. X. Górski wyjechał od nas wraz z kilkoma służącymi i katechistami i ich rodzinami. Udali się do Weikiachwang w sąsiednim Wikarjacie o kilkanaście km od Yaoshan. Lecz tam wpadli z deszczu pod rynnę, bo tuż przy murach kościelnych toczyła się bitwa od godz. 10 rano do północy, gdy tymczasem w Yaoshau był przez cały czas spokój, były tam wprawdzie bomby aeroplanowe, były pojedyńcze strzały, ale tych nigdzie nie brakowało. Wojska jap. nie zastawszy misjonarza w Yaoshau zajęli jego mieszkanie, porozbijali wszystkie szafy, drzwi etc., zabrali co im sie podobało, a resztę jak kapy itd. podarli w kawałki i poniszczyli, zabrali majątek chrześcijan, którzy swój dobytek schowali w Misji, wartości (jak mówi X. Górski) do 3 000 $. Obecnie przebywa w Yaoshau z X. Górskim X. Krzyszteczko, który w razie potrzeby dojeżdża do X. Redzińskiego. W Shunteh mamy obecnie spokój. Cztery bramy miasta są strzeżone przez jap. żołnierzy, z obawy przed bandytami. Miasto nadal wyludnione, bo biedacy nie mają do czego wracać, bo wszystko zrabowane, a zresztą obawiają się tu głodowej śmierci i dalszych rabunków. Najwięcej cierpi ludność po wioskach, rabunki, morderstwa, głód i choroby itd. przechodzi wszelkie pojęcie. W dodatku nastała w tym roku wczesna i mroźna zima, a biedacy nietylko nie mają opału, ale nawet mieszkań są pozbawieni, bo czego nie zniszczyły ulewne deszcze, tego dokonała wojna. W naszej rezydencji w Shunteh jeszcze dziś chroni się przeszło 300 kobiet i dziewcząt z obawy przed napaściami żołdactwa. — Napisałem przed kilku dniami do X. Prefekta do Ameryki, żeby czasem nie myślał wracać w tych czasach wojennych. X. Czapla doskonale sobie radzi we wszystkim, dobrze sprawy prowadzi, w Misji panuje spokój i jedność. Obecność zatem X. Prefekta nie jest konieczna w Shunteh, a za to grosz, który może X. Prefekt zebrać w Ameryce będzie po wojnie bardzo przydatny.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku w miłości Jezusa i Matki Najśw., szczerze oddany sługa najniższy

X. Witaszek C. M.

Wspomnienia pośmiertne.

X. W. SZYMBOR.

Ś. p. Kardynał Kakowski.

Żałobą okrył się nie tylko Kościół Katolicki w Polsce, ale i cała Polska. Żałoba ta też była udziałem obydwu Zgromadzeń św. Wincentego. Dlatego to wspomnienie pośmiertne o Kardynale jest tu na swoim miejscu.

Dnia 20 grudnia 1938 r., umarł Kardynał Aleksander Kakowski, metropolita warszawski. Urodzony 1862 r., a 1886 r. wyświęcony na kapłana, niedawno jeszcze obchodził 25 lecie niezmordowanej służby na tym wybitnym stanowisku dla dobra Kościoła i ojczyzny. A praca jego duszpasterska i obywatelska dokonywała się nieraz wśród najcięższych warunków. Wszak następcą arcybiskupa warszawskiego Popiela w 1913 r. został jeszcze za czasów niewoli rosyjskiej, która zwalczała z równą zaciekłością wiarę katolicką jak i naród polski. Ś. p. kardynał Kakowski przechodził w tych czasach niejedną cieżką chwilę, stojąc zawsze nieustraszenie na straży ducha religijnego i narodowego. Gdy nastała wojna, gdy Warszawę zajęli okupanci niemieccy, arcypasterza czekały nowe, niemniej odpowiedzialne obowiązki. Purpurą kardynalską przez Ojca św. Benedykta XV. odznaczony 1917 r., został członkiem Rady Regencyjnej i w niej mocą swej godności najwybitniejsze zajmował stanowisko.

Przygotowując mającą wkrótce nadejść suwerenność Polski nieraz musiał odpierać zakusy okupantów. Swobodę uzyskał dopiero w wolnej Polsce. Tu rozwinął w całej pełni swą duszpasterską działalność, popierał jak najenergiczniej budowę nowych świątyń Pańskich, których tyle potrzeba było i stolicy i całej archidiecezji, w pracy charytatywnej był serdecznie umiłowanym

opiekunem najbiedniejsyych. — Ze czcią gromadziło się około Niego całe społeczeństwo polskie.

Z papieżem Piusem XI. łączyły go bliskie i przyjazne stosunki, bo Mgr Ratti, nuncjusz apostolski w Warszawie otrzymał sakrę biskupią w katedrze warszawskiej z rąk kardynała Kakowskiego 28 października 1919 r.

Wobec wzrostu potrzeb religijnych w nowej Polsce, szły jego starania w tym kierunku, aby pomnożyć i środki kultu. To też ilość kapłanów w jego archidiecezji wzrosła ogromnie a w ciągu rządów jego biskupich, kościołów i kaplic powstało 300 w diecezji warszawskiej.

Rodzinom św. Wincentego był zawsze życzliwy. Siostry Miłosierdzia oddawna już znał i otaczał swoją opieką. Umiałyby przytoczyć wiele dowodów jego ojcowskiej dobroci. Dla XX. Misjonarzy miał uznanie wielkie, które może stąd wzięło u niego początek, że czuł się i był istotnie kontynuatorem ich tradycji jako rektor Seminarium w Warszawie. Wyrazy szacunku dla tradycyj misjonarskich słyszałem po raz pierwszy z jego ust, kiedy w r. 1907 w drodze na Podlasie zatrzymałem się w Warszawie na Lesznie i odwiedziłem X. Kakowskiego, ówczesnego regensa seminarium metropolitalnego na Krakowskim Przedmieściu.

„Tu żyjemy tradycją mijonarską. W bibliotece mówią do nas książki misjonarskie. W przepisach seminaryjnych większość pochodzi z czasów misjonarskich. Wszyscy profesorowie ze czcią się odnoszą do metod misjonarskich w prowadzeniu seminarium. Misjonarze w Warszawie mają wielką historię".

Tak wtedy mówił do mnie i opowiedział wiele szczegółów odnoszących się do ostatnich lat dziejów Zgromadzenia w Warszawie oraz do losów ogromnej biblioteki świętokrzyskiej. A opowiadał z podziwem i entuzjazmem.

Mieszkaliśmy wtedy i pracowali parę dni razem z X. Rossmannem i X. Truszkowskim u X. prał. Niewiarowskiego przy kościele Panny Marii na Lesznie. Ten nam znowu dużo miał do powiedzenia o nabożeństwach i kazaniach u św. Krzyża. Pamiętał zwłaszcza kazania niedzielne X. Bojanowskiego. Wszędzie żywa pamięć z przeszłości Misjonarzy świętokrzyskich, tradycja o godnych i świętobliwych ludziach, o epoce wielkiej, gwałtownie

przerwanej. — Byłem wtedy kilkakrotnie u św. Krzyża. Ze czcią modliłem się w kościele postawionym i ozdobionym przez Misjonarzy, gdzie przez tyle lat synowie św. Wincentego pracowali dla chwały bożej, dla zbawienia dusz, *ad cleri disciplinam*. Wtedy ani przez chwilę nie przypuszczałem, że ta świątynia kiedykolwiek może wrócić do rąk, które ją postawiły.

Kiedy pod ciosami przewrotu bolszewickiego runął carat a z pierwszymi brzaskami wolności metropolita warszawski zyskał swobodę ruchów, sam pomyślał o tym pierwszy, by wspaniały kościół św. Krzyża, pierwszą parafię w Warszawie, oddać Misjonarzom. Tradycja przemówiła przez niego, szczera, samorzutna życzliwość dla synów św. Wineentego. Żadnych starań ze strony Zgromadzenia w tym kierunku nie robiono, wtedy nikt z nas o tym nie pomyślał. Inicjatywa szlachetna wyszła od Kardynała Kakowskiego i to od niego samego. X. Słomiński na jego naleganie przysłał Misjonarzy do św. Krzyża 25 stycznia 1918 r.[1]) To było dowodem jego szczerej życliwości dla Zgromadzenia. — Z tą samą dobrocią odnosił się ś. p. X. Kardynał do drugiego domu naszego, do konwiktu przy ul. Traugutta 1, istniejącego od maja 1918 r. [2]). Z tej też atmosfery wyrosło stanowisko Ojca Duchownego w Seminarium [3]).

W tej życzliwości trwał niezachwianie dalej z tą prostolinijnością, która stanowiła tak wybitną cechę jego charakteru i całej działalności. W piękne słowo nigdy się nie stroił i nie krasił nimi swej dobroci, ale objawiał ją realnie w czynie.

Polska straciła wielkiego i znakomitego księcia Kościoła.

Obydwie rodziny św. Wincentego a Paulo straciły w ś. p. Kardynale Kakowskim rzetelnego i szczerego przyjaciela i protektora.

R. i. p.

*

* *

---

[1]) Pierwsi Misjonarze, którzy wtedy przybyli, to X. Tyczkowski, X. Witaszek, X. Petrzyk.

[2]) Pierwsi byli X. Michalski i X. Dembiński.

[3]) Pierwszym był X. Weissmann od 8 września 1919 r. do 30 września 1925 r.

Wspomnienia o **ś. p. Siostrze Weronice Krzywickiej**, zmarłej 24 października 1933 r., w wieku lat 83, pow. 60; o **ś. p. Siostrze Aleksandrze Wolskiej**, zmarłej 12 lutego 1917 r., w wieku lat 76, pow. 53; o **ś. p. Siostrze Paulinie Fritze**, zmarłej 7 kwietnia 1930 r., w wieku lat 79, pow. 52 i o **ś. p. Siostrze Mariannie Smyjewskiej**, zmarłej 6 marca 1935 r., w wieku lat 84, pow. 63, w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie.

Te cztery zmarłe Siostry, czcigodne Jubilatki, całe przeszło półwiekowe życie swoje w Zgromadzeniu spędziły w szpitalu Dzieciątka Jezus, wiernie trwając na tej samej placówce od wzięcia św. sukni, aż do późnej starości. Żadna z nich nie miała tego szczęścia, tej słodkiej pociechy, jaką daje Siostrze Miłosierdzia bezpośrednia praca przy chorych. Bóg prowadził je innymi drogami — pralnia, kuchnia, gospodarstwo, oto teren ich pracy. Tym więcej jednak służyć nam mogą za przykład, że każda praca, podejmowana z posłuszeństwa, z miłości ku Bogu, choćby najprostsza, najuciążliwsza, może każdą z nas doprowadzić do świętości, do najwyższego zjednoczenia się z Bogiem. Kiedy drogie nasze Siostry ręce miały pracą zajęte, sercem wznosiły się do Pana Jezusa, z weselem podejmowały każdy trud, nie ugięła ich żadna przeciwność, czego dowodem wytrwała i ofiarna ich praca i wierność do ostatka.

Siostra Weronika Krzywicka, młodą jeszcze będąc panienką, usłyszała w duszy swej głos, wzywający ją do bezpodzielnego oddania się Bogu. Świat nie miał dla niej uroku. Początkowo miała zamiar wstąpić za klauzurę, nie słuchając spowiednika, który jej mówił, że ma powołanie do Sióstr Miłosierdzia. Ponieważ po powstaniu skasowane zostały wszystkie klasztory, a parę pozostałych skazane były na wymarcie i nie mogły przyjmować postulantek, więc udała się do Krakowa, żeby tam wstąpić do Urszulanek. Jednakże w tym właśnie czasie toczyła się słynna sprawa Barbary Ubryk i rząd austriacki zabronił na czas jakiś przyjmowania nowicjuszek do klasztorów. Czekała na zniesienie tego zakazu prawie cały rok, mieszkając u krewnych i wiodąc tam życie pracowite i oddane praktykom religijnym. Ponieważ sprawa się przeciągała, rodzice wezwali córkę do domu, tłumacząc, że wi-

docznie nie ma woli Bożej, żeby szła do klasztoru i namawiając żeby przy nich została. Poszła wtedy do spowiedzi i powiedziała księdzu, że jeżeli nie może iść za klauzurę, to pozostanie w domu i to jest jej postanowienie nieodwołalne. Ale tej nocy miała sen następujący: ujrzała Najświętszą Pannę, taką, jak na naszym medaliku, stojącą na wzniesieniu; na ręce lewej miała przewieszoną suknię szarytkowską, a w prawej trzymała kornet i z uśmiechem zbliżyła się do niej. Weronika zachwycona padła na kolana, wołając: „Dla kogo to, Matko Najświętsza, dla kogo?“ „Dla ciebie, moja córko“, usłyszała odpowiedź. Wtedy z uczuciem najwyższego szczęścia wyciągnęła ręce po ten dar i obudziła się. Gdy tylko wstała, zaraz rano pospieszyła na Tamkę, zanosząc prośbę o przyjęcie. Nie zawiadomiła nawet swego spowiednika i już nazajutrz ostatniego maja 1873 roku zaczęła postulat w szpitalu Dzieciątka Jezus. Tu Bóg ją chciał mieć, tu przygotował dla niej łaski, potrzebne do jej uświęcenia i niejako wbrew jej woli przyprowadził ją do Zgromadzenia. Ona zaś godnie odpowiedziała temu wezwaniu, bo oddała się Bogu ochotnie i bez zastrzeżenia, a powołanie swoje całym sercem ukochała.

Po wzięciu św. sukni została przeznaczona do szpitala Dzieciątka Jezus. Urząd miała w ogrodzie, pomagała też u obłąkanych lub u niemowląt pełniła dyżury. Nieraz w starości opowiadała, jak sypiała w kantorku przy furcie, gdzie wówczas podrzucano dzieci do specjalnie urządzonego koła, które się poruszało i Siostra zabierała biedne maleństwa. W ten sposób oszczędzano bólu i wstydu upadłym matkom i zapobiegano rzucaniu dzieci na ulicę. Dziś już się tego sposobu nie praktykuje. W pozostającym jej czasie Siostra Weronika pomagała Siostrom przy gospodarstwie i aprowizacji domu.

Były to czasy bardzo ciężkie dla Zgromadzenia pod zaborem rosyjskim. Na Podlasiu usuwano Siostry ze szpitali, zastępując je Krzyżankami. Tak uczyniono w Białej Podlaskiej, Wyrozębach, Radzyniu i w innych miejscowościach. Zdawało się nawet, że kto wie, czy prowincja Warszawska nie ulegnie takiemu losowi, jak prowincja Litewska, że w ogóle pod zaborem rosyjskim Zgromadzenie istnieć przestanie. Przez jakiś czas nawet rząd rosyjski zabronił przyjmować nowe kandydatki i seminarium stało pust-

kami. Szpital Dzieciątka Jezus również przechodził przełomowe chwile. Po śmierci długoletniej Służebnej, powszechnie kochanej i poważanej Siostry Kłoczewskiej, w krótkim czasie zmieniło się parę Sióstr Służebnych, co sprawiło nieco zamieszania. Przy tym Siostry przygnębione były myślą, że niedługo przyjdzie im opuścić drogie mury szpitala, wzniesione przez świątobliwego księdza Boduena, a przenieść się do gmachów, mających się dopiero budować.

W tym czasie, pewnego popołudnia, przybył do szpitala jakiś biedny, ciężko chory rzemieślnik. Stan jego tak zdawał się groźny, że Siostra, przyjmując chorych w kancelarii, natychmiast posłała po księdza, aby go opatrzył świętymi Sakramentami. Choć to było między drugą a trzecią po południu, ksiądz przyniósł mu komunię św., po czym Siostra, aby choremu ułatwić dziękczynienie, uklękła przy łóżku i głośno odczytała akty z książeczki. Skończywszy, spojrzała na chorego, oczy miał szeroko otwarte i zdawał się wpatrywać w jakiś niewidzialny obraz.

Zwracając się do Siostry, rzekł:

„Dziękuję Siostrze, ale teraz proszę posłuchać, co ja powiem: tutaj jest Matka Boska i kazała mi powiedzieć, żeby się Siostry nie bały, bo Ona was kocha i strzec was będzie zawsze, więc nic się wam złego nie stanie“.

Siostra bardzo zdziwiona i wzruszona powtórzyła to Siostrze Służebnej i innym Siostrom. Jedne wierzyły, inne nie bardzo. Siostra Weronika należała do tych ostatnich. Ciężko chory majaczy, myślała sobie. Będąc jednak tego dnia u św. Kazimierza, opowiedziała o tym Siostrze Wizytatorce Szwarc i Siostrze Dyrektorce Sikorskiej. Przyjęły tę wiadomość ze wzruszeniem, jako z nieba zesłaną pociechę. Wobec tego Siostra Weronika zaczęła poważniej traktować tę sprawę i postanowiła odwiedzić owego chorego. Nazajutrz z rana udała się na salę, na której leżał. Chory, ujrzawszy ją, powiedział:

„Siostra nie wierzy temu, co ja wczoraj powiedziałem, ale to prawda. Umrę niedługo, nie chciałbym kłamać w godzinę śmierci“.

Zaskoczona tymi słowami Siostra, teraz wierzyła już wszystkiemu. Wszakże pierwszy raz w życiu widziała tego człowieka,

a on zdawał się czytać w jej sercu. Biedak rzeczywiście tego dnia umarł, a Siostra głęboko w pamięci i sercu zachowała słowa Najśw. Panny, przez niego podane i przed samą jeszcze śmiercią, wspominając to zdarzenie, z błogim wzruszeniem powtarzała, że nie lękać się, a ufać nam trzeba, bo Maria Niepokalana zapewniła, że nas kocha i zawsze strzec nas będzie.

W 1898 roku została mianowaną asystentką szpitala Dzieciątka Jezus, na miejsce ustępującej asystentki Siostry Noskowskiej. Siostrą Służebną była wtedy S. Józefa Freizler. Choć wiekiem i powołaniem młodsza od S. Weroniki, a nawet zbiegiem okoliczności sama S. Weronika włożyła niegdyś czepeczek postulantce pannie Józefie, mimo to była zawsze z wielkim szacunkiem, oddaniem i uległością w stosunku do Siostry Służebnej, starała się iść zawsze ręka w rękę i najbardziej krytyczne oko nie mogłoby dopatrzeć żadnego uchybienia w tym względzie, zawsze wierną była posłuszeństwu i to nawet w najdrobniejszych szczegółach.

Szpital Dzieciątka Jezus przechodził w tym czasie różne koleje. W roku 1900-nym zaczęto rozbijać stare mury szpitala na placu Wareckim, bo szpital miał być przeniesionym do nowych gmachów. Trudno opisać, jak ten widok bolesnym był dla Sióstr,— wszakże te mury stawiane były jeszcze ręką księdza Boduena.— Ile to tradycji, wspomnień, pamiątek! W lipcu 1901 r. choć nie wszystkie pawilony były już wykończone, przeniesiono chorych, którzy byli jeszcze w starym gmachu do nowego szpitala na folwarku Swiętokrzyskim. Plac, na którym szpital jest zbudowany był niegdyś własnością XX. Misjonarzy. Stało się to zapewne za Bożem zrządzeniem, żeby obecny szpital nie zatracił swojej tradycji, że jest fundacją X. Boduena. Siostra asystentka wielką była pomocą Siostrze Starszej przy urządzaniu nowej siedziby. Nie żałowała ani trudu, ani sił, była jedną z tych dzielnych sióstr, które się nigdy na siebie nie oglądają. Cierpiała jednak bardzo nad opuszczeniem starych murów szpitala, gdyż niezmiernie przywiązaną była do tej drogiej pamiątki, której każdy kącik, każdy kamień zdawał się dawać świadectwo o miłosierdziu, poświęceniu i trudach podjętych przez świątobliwych założycieli. Długo też nie mogła oswoić się z tą myślą, nie mogła uwierzyć, że może dojść do tego, do tej ostateczności, zdawało się, że tego nie przeżyje,

ale gdy przyszło do czego, okazała się bardzo mężną. Nadszedł więc ostatni dzień pobytu w starym szpitalu. Wszystko było już przeniesione, ostatnią Mszę św. przed wielkim ołtarzem odprawił starszy kapelan, a jednocześnie drugi kapłan odprawiał przy bocznym. Po rozdaniu Komunii św. ksiądz spożył pozostałe komunikanty i drzwiczki od Tabernakulum pozostawił otwarte. Na ostatek zaintonowano: „Przed oczy Twoje, Panie," — a potem „Pod Twoją obronę". — Szloch wyrwał się z piersi obecnych. Po Mszy św. Siostry wypiwszy stojąc, w milczeniu, śniadanie, opuściły stare mury i — poszły pieszo na nowe mieszkanie .... smutne .... bo kościółek przy nowym szpitatu nie był jeszcze wykończony, kaplicy nie było. Nie było tam zatem Najświętszego Sakramentu. Lecz Siostra Starsza rąk bezradnie nie załamywała, tylko z pomocą siostry asystentki zabrała się do uprzątnięcia jednego z dormitarzy na wyższym piętrze, całą noc pracowały, aż zamieniły dormitarz na piękne oratorjum. Rano przyjechał X. Prałat Łyszkowski, spowiednik sióstr i wielki przyjaciel Zgromadzenia, poświęcił kaplicę, odprawił Mszę św., zakonsekrował komunikanty i już Siostry przestały się czuć sierotami, bo miały pośród siebie Pana Jezusa, obecnego w Najśw. Eucharystii, który dodał i sił i odwagi do dalszej pracy. A pracy było moc, bo dużo na razie brakowało, nasze drogie Siostry podjęły się jej jednak odważnie i z całym przyłożeniem, każda w swoim zakresie.

Siostrę Krzywicką obok pracowitości cechowała jeszcze głęboka wiara i wielka prostota. Prostą była w stosunku do Boga,— prostą w stosunku do ludzi, — obłuda była jej zupełnie nie znana. Odznaczała się też wielkim przywiązaniem do Zgromadzenia. Reguł św., zwyczajów i przepisów, pod tym względem była nieugięta, wymagała od innych, ale więcej jeszcze od siebie. Z wielkim namaszczeniem odmawiała modlitwy Zgromadzenia, tak, że sam dźwięk jej głosu pobudzał do pobożności. Oszczędna była i dbała o dobro domu i potrzeby Sióstr, które zaopatrywała, ale bardzo surowa dla siebie i innym nie wyrozumiewała drobnych zachcianek i szukania swoich dogodności, przy tym z natury była nieco szorstka, a to sprawiało, że niektóre Siostry narzekały trochę na jej surowość, wszystkie jednak przyznać musiały, że była bardzo

sprawiedliwa, że nigdy nie rządziła się jakąś sympatią ani tym podobnymi względami, a co było najgorszego, to brała dla siebie.

Była to dusza umiejąca cierpieć w milczeniu, czy to chodziło o ból moralny czy fizyczny. Dowodem tego jest fakt, że na kilka lat przed śmiercią potworzyły się jej na nogach ulkusy, które sama sobie opatrywała, nie skarżąc się i nie mówiąc nawet o tym nikomu, tak, że nikt prawie o tym nie wiedział, dopóki nie została tknięta paraliżem, bo wtedy z konieczności musiała się zgodzić, aby jej kto inny tę usługę oddawał. W ostatnich latach jej życia Pan Jezus chciał zapewne dostarczyć jej sposobności zebrania najpiękniejszych klejnotów do korony jej zasług, bo zesłał jej dotkliwe cierpienia. Najprzód bardzo bolesną jej była zmiana Siostry Służebnej, z którą jednomyślnie przepracowała długie lata, i to może nawet przyspieszyło atak paraliżu pozbawiający ją władzy w prawej ręce, nodze, a początkowo i mowy. Po jakimś czasie mowa jej wróciła, choć nie zupełnie wyraźna, ale już resztę swego życia przebyła bezwładnie w fotelu, bo leżeć w łóżku nie mogła, gdyż ją dusiło, i ona taka pełna życia, nic od nikogo dotąd nie potrzebująca, teraz jak ten „Hiob“ okryty ranami, sama już sobie posłużyć nie mogła i, mówiła sama do siebie: „Widzisz Weronika, na co ci przyszło, — lecz to dobrze, kiedy tak trzeba. — Bądź wola Twoja, Panie!“.

Dzień i noc siedząc na swoim fotelu od świtu do nocy modliła się zwłaszcza za swoje ukochane „Dzieciątko“, interesując się wszystkim. Gdy siostry przychodziły ją odwiedzić dodawała im męstwa w trudnościach i niejedną dobrą radę, bo miała wielką przenikliwość i dar roztropności, a pomimo niedołęstwa, władze umysłowe i pamięć zachowała zupełnie do samej śmierci. Choć jak ten robak bólem zdeptana, z głową pochyloną, z nogami przykurczonymi, ta biedna kaleka sercem i duszą rwała ku Bogu gorącą modlitwą, posilana codziennie Komunią św. z modlitwą na ustach, umarła dn. 24 października 1933 roku.

*

* *

Ś. p. Siostra Aleksandra Wolska, urodzona w Warszawie, pochodziła z dobrej i zamożnej rodziny, otrzymała też staranne wychowanie i wykształcenie. Z natury łagodna i miła, jednała

sobie serca wszystkich swoją dobrocią i inteligencją. Zaraz po obłóczynach posłaną została do Szpitala Dzieciątka Jezus. Początkowo była u obłąkanych, ale i tam nie czuła się dobrze. Przyszła dla Pana Jezusa i Jemu jedynie pragnęła się podobać, a znalazła się w przykrym położeniu. Lekarze okazywali jej dużo uznania, szczególnie jeden. To było powodem ciężkiej jej troski. Jako dobra Siostra Miłosierdzia, idzie do Siostry Służebnej, pada przed nią na kolana i przedstawiwszy swoje trudności, prosi, aby jej urząd zmieniła — do pralni, czy gdzie indziej, gdzie będzie mogła oddać się choćby najcięższej pracy, byle w ukryciu, byle nic nie zasłaniało jej Pana Jezusa. Prośbie jej zadość się stało i odtąd całe swoje życie w swej ukochanej pralni spędziła. A praca tam nie była lekka, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę jej wątłe siły i delikatne wychowanie. Lecz Duch święty, który złożył zarodek cnót w sercu Siostry Aleksandry, jakby rosą niebieską użyźniał jej serce do ofiar i poświęceń. Wszelkie trudy chętnie podejmowała dla miłości Pana Jezusa. Gruntownie pobożna, z Bogiem złączona przy pracy, zawsze uśmiechnięta, a przy tym skupiona, przodowała powierzonym jej Siostrom. Przy wspólnej pracy zawsze śpiewano godzinki, albo odmawiano różaniec, tak umiała każdego pociągnąć do Boga. W czasie strajków służby szpitalnej, zdarzało się, że całe noce stała przy balii, byleby bieliznę wykończyć, żeby nie zbutwiała, lub też, że chorzy bardzo jej potrzebują. Do pomocy w pralni dodawano jej nieraz różnych inwalidów, lub głuptasów niedorozwiniętych, a tych umiała prowadzić z miłością, to też różne Teodorki i głupie Marysie „pannę Ksandrę" bardzo kochali. Dobre serce miała nawet dla wróbelków, i wychodząc z refektarza zgarniała okruchy, żeby im rzucać po drodze, to też ptaszęta znały swoją karmicielkę i fruwając nad jej głową prowadziły ją z domu do pralni. Na rekreacji zwykle młode Siostry ją otaczały, bo miła jej wesołość każdą do siebie pociągała; zawsze z robotą w ręku, dla każdej miała coś budującego do powiedzenia. Nigdy nie mówiła nic złego o bliźnim, przeciwnie każdego broniła, a zwłaszcza nie słyszano z jej ust nigdy słowa przeciwnego miłości siostrzeńskiej. Inną znamienną jej cechą była sprawiedliwość, nie miała żadnych partykularnych miłości, starała się w swoim zakresie dać każdej co jej było potrzeba, nie czyniąc

żadnych wyjątków; to też jeżeli trafiła się jaka Siostra lubiąca wystroić się w lepszy kołnierz czy kornet, nic nie mogła uzyskać u Siostry Aleksandry. Unikała sama próżności i w innych starała się to zaszczepić. Dla siebie nie miała żadnych wymagań. Nie widziano jej nigdy siedzącej bezczynnie, nawet już wtedy, gdy trawiona ciężką chorobą, miała nowotwór w przełyku, rok blisko się męczyła nie mogąc prawie przełykać, musiała ustąpić z placówki, jednak pracowała do ostatniego dnia cerując bieliznę siostrzeńską, lub modląc się w oratorium, gdzie się przechowuje Najśw. Sakrament. Wielka to pociecha dla chorych Sióstr, które po całym życiu steranym pracą, mogą ostatnie dni swego życia spędzać u stóp Pana Jezusa utajonego w Najśw. Sakramencie — Eucharystii. Życie Siostry Aleksandry było wtedy wolnym konaniem, głodową śmiercią, lecz nigdy słowo zniecierpliwienia z ust jej nie wyszło, a dziwna rzecz, choć kropli wody trudno jej było przełknąć, jednak cudem łaski Bożej, komunię św. codziennie przyjmowała przez cały czas swojej choroby. Powołanie swoje bardzo kochała i miłość tę starała się zaszczepić w sercach Sióstr danych jej do pomocy. Bardzo była zawsze wierna ćwiczeniom duchownym i wielką wagę przywiązywała do pobożnego odmawiania różańca. Jak wielką miała uległość i dziecięcą ufność względem swej Siostry Służebnej dowodzi to, że gdy jedna z Sióstr odwiedziwszy ją, widząc niknące w niej życie wspomniała o Ostatnim Namaszczeniu, powiedziała na to, ze zwykłą sobie słodyczą: „Siostra Starsza powiedziała mi, żebym była spokojna, jak przyjdzie czas, sama o tym pomyśli, a więc jestem posłuszna, to jej rzecz". O jakże Bóg dobry mile musiał spoglądać na tę duszę tak zupełnie zdaną na wolę swych przełożonych i jak pięknym jest nam w tym przykładem. Droga nasza Siostra Aleksandra chodziła do ostatka, choć z trudem, lub siedziała na fotelu na dormitarzu, dopiero ostatniego dnia Siostra Starsza przeprowadziła ją do infirmerii, tam sprowadziła jej spowiednika, który udzielił jej Ostatniego Namaszczenia, odnowiła św. Śluby, przyjęła Wiatyk św., po czym pogrążyła się w głębokim skupieniu, w modlitwie, a na twarzy jej malowała się radość, że już idzie do Pana Jezusa, którego tak bardzo umiłowała. Około godziny 7 wieczorem cicho, bez konania, oddała Bogu swą piękną duszę.

Ś. p. Siostra Paulina Fritze urodziła się w Łodzi, z rodziny mieszczańskiej. Zdaje się, że w przeszłości rodzina jej była ewangelicka, ale już rodzice jej byli dobrymi katolikami, ona też otrzymała dobre, katolickie wychowanie. Rzadko mówiła o sobie, więc też niewiele mamy szczegółów z jej życia przed wstąpieniem, wiemy tylko; że zajmowała się wychowaniem siostrzenic i matkę staruszkę utrzymywała z pracy rąk. Od bardzo wczesnej młodości dusza jej rwała się ku Bogu. Kierownikiem jej był początkowo jakiś franciszkanin i on to zapewne w niej wyrobił ducha ubóstwa, zaparcia się siebie i wyrzeczenia. Pobożność gruntowna zapuściła korzenie w jej sercu, to też przy pracy podnosiła serce do Boga, każdą wolną chwilę umilała sobie modlitwą, ale w pobożności nie szukała swojej przyjemności i miłych wrażeń, nigdy nie ubiegała się za wspaniałymi nabożeństwami, owszem, umiała się ich wyrzec i uważała to za rzecz zupełnie naturalną, kiedy chodziło o wypełnienie swego obowiązku. Pobożność jej pod każdym względem cechowało umartwienie. Już jako 13-letnia dziewczynka starała się wieść życie pokutne, wkładała sobie do łóżka deski, które matka spostrzegłszy wyrzucała. Bardzo też surowo pościła. Tak więc surowością życia w duchu franciszkańskim, a miłością i poświęceniem w duchu św. Wincentego, dusza jej przygotowała się do wstąpienia do Zgromadzenia. Postulat odbyła w Domu Centralnym, a po obłóczynach, umieszczona została w szpitalu Dzieciątka Jezus w kuchni i na tej placówce przetrwała do końca życia. Praca dla ubogich była dla niej źródłem szczęścia, nie żałowała sił i trudu, nie traciła chwili czasu. Największą jej przyjemnością było czynić dobrze innym. Piękna to była dusza, wszystko ze siebie dawała innym, nic dla siebie nie wymagając. Patrząc na nią, przychodziło do głowy, skąd tyle poświęcenia i tego cichego zaparcia... Bóg zawsze Bóg... Jeśli się z nią wdało w rozmowę, zawsze odchodziło się podniesioną na duchu, bardziej gotową do ofiar, A jakże ona umiała dobrze czynić. Nie było człowieka, czy chorych, czy służby, czy zwłaszcza z towarzyszek, któremu by coś odmówiła, o ile to było w jej możności. Jeżeli która Siostra dla jakiego ciężko chorego czy suchotnika potrzebowała czegoś szczególnego, mogła być pewna, że to otrzyma o każdej porze. „To wszystko dla Pana Jezusa", mawiała droga

Siostra Paulina, i dla każdego miała dobre, uprzejme słowo. Pamięć na obecność Bożą nie opuszczała ją nigdy. Miała parę swoich ulubionych książek pobożnych, jedna z nich zawsze była pod ręką w składziku, a jeżeli zmordowana czasem jaką ciężką pracą, np. wykrawaniem porcji mięsa na tysiąc chorych, przysiadła chwilkę, zaraz, żeby czasu nie tracić, otwierała książkę, żeby kilkoma zdaniami podnieść ducha. Dbała też, aby utrzymać dobrego ducha wśród służby, którą miała do pomocy, a która w owym czasie zależna była prawie zupełnie od Sióstr. Obawiając się dla dziewcząt złego wpływu wielkiego miasta, nigdy nie pozwalała im na żadne wychodne, ale gdy miała wolny czas w święto, czytała im głośno.

Żywy i trochę gwałtowny temperament był dla niej okazją do nieustannej pracy nad sobą. Pracowita, czynna, bezgranicznie ofiarna, żądała tego również od innych, a gdy coś wykonane było nie po jej myśli, to było dostateczne, aby wywołać zniecierpliwienie. Po chwili jednak zaraz żałowała, że zrobiła przykrość i starała się wynagrodzić, to też nie można było mieć do niej żalu czy urazy i wszyscy, tak służba jak towarzyszki bardzo ją kochali i cenili. Skutkiem walk i modlitw doszła z czasem do opanowania swej porywczej natury i z jej gwałtowności pozostał tylko zapał do dobrych uczynków, objawiający się wielką usłużnością dla potrzebujących coś od siostry kuchennej. Doszła do tego, że dobroć jej i cierpliwość stała się anielską.

Jeżeli umartwioną była w latach dziecinnych, tym bardziej była nią później. W początkach swego powołania chorowała na nerki i na żołądek, skutkiem czego musiała zachować dietę. Było to bardzo na rękę jej pragnieniu umartwienia. Nigdy w życiu już odtąd nie jadała mięsa, a żadnych słodyczy ani owoców do ust nie wzięła, wszystko co takiego dostawała, oddawała towarzyszkom. Żywiła się przeważnie mlekiem, czarną kawą i kartoflami i naprawdę jest to bardzo dziwne, że mimo to dożyła dość późnego wieku i mogła tyle pracować. Wszystko dla niej zdawało się zbyt dobre. Jeżeli przyniesiono jej obiad na dwóch talerzach, gniewała się i jeść nie chciała, wszystko musiało być na jednym talerzu, choćby to były potrawy najmniej sobie odpowiadające, bo jakżeby dla niej zabrudzić aż dwa talerze. Niekiedy obywała

się bez żadnego, bo czasem zwłaszcza w dnie postne, przychodząc później na obiad przynosiła sobie w kieszeni, w papierku parę pieczonych ziemniaków i jadła je, popijając mlekiem lub kawą, które miała przygotowane w garnuszku. Chociaż dla siebie tak była surowa, jednak dla towarzyszek, zwłaszcza dla tych, które miała dane sobie do pomocy, była dobrą, wyrozumiałą i pełną troskliwości. Jedna z nich była bardzo energiczna, więc żeby ją wzmocnić, przyrządzała jej na drugie śniadanie pożywne polewki, dbała o jej wypoczynek. O ile mogła i innym siostrom nieraz cichaczem wkładała do szufladki coś wzmacniającego, albo jaki owoc itp., a miała na względzie zawsze najmłodsze, najsłabsze, te u których spostrzegła jakieś przygnębienie i które same o siebie nie dbały, a czyniła to z wielką miłością i dyskrecją. Jak surową i ubogą była w jedzeniu, taką też była i co do ubrania. Nigdy prawie nie brała czystych kornetów i kołnierzy, ale w sobotę szła do paki, gdzie siostry rzucały brudną bieliznę i tam wybierała lepsze, które można było jeszcze na siebie włożyć i takie tylko używała. Jak umarła, to prawie nie było ją w czem pochować. Młodą jeszcze względnie była, kiedy wypadły jej niemal wszystkie zęby, więc siostra Służebna sprawiła jej sztuczną szczękę, a było to jeszcze w starym szpitalu, więc na trzydzieści lat przynajmniej przed jej śmiercią. Chociaż aparat ten z czasem zużył się i zniszczył, nie chciała z nim iść do dentysty, ale sama jak mogła tak go sobie reperowała, ściągając sznureczkami lub drutem. Nigdy z domu nie wyjeżdżała, tylko na rekolekcje do domu Centralnego, ale na żadne wypoczynki, na żadne uroczystości, nawet na żadne nabożeństwa. Jeżeli miała czasem jaką chwilkę wolną, to można ją było zastać w kąciku z różańcem w ręku lub książką pobożną.

W czasach przewrotu socjalistycznego, jak i w czasie wojny światowej, szpital Dzieciątka Jezus przeżywał bardzo ciężkie chwile. Raz po raz strejki służby, teror administracyjny, przewrót ogólny dawał się mocno odczuć wszystkim Siostrom wogóle, kuchennym może w szczególności, lecz dzięki wielkiemu taktowi siostry Służebnej, która umiała wiele znieść z roztropnością i zachęcić swoim przykładem do ofiar i poświęcenia, mężnie przetrwały wszystkie trudności, każda na swojej placówce. Ileż to nocy bywało, nieraz po parę z rzędu, że S. Paulina i S. Marianna ze swymi towarzysz-

kami zupełnie się nie rozbierały, dzień i noc gotując, byleby tylko chorym przygotować posiłek, albo w czasie strejków zamykano parę i gotować musiały na ogniu bez pomocy służby. Zaś w czasie wojny, gdy był taki brak produktów, ileż to znów wykazaly wysiłków, ile wkładały pracy, tylko z wielkiej miłości ku Bogu potrafiły czynić tyle, prawie z niczego, mężnie znosząc braki wszelakiego rodzaju.

Po swoim jubileuszu, zaczęła coraz częściej zapadać na zdrowiu, w końcu musiała opuścić kuchnię, a już całkowicie oddać się modlitwie. Z początku mogła trochę chodzić i korzystała z tego, żeby słuchać wszystkich Mszy świętych, których codziennie kilka się odprawia, potem przyjmowała już tylko komunię św. Cierpienia, które stawały się coraz dotkliwsze, znosiła bez narzekania, coraz bardziej odrywała się od ziemi wyrywając się duchem do Boga. Jak w całym swoim życiu była umarłą sobie, taką też była w ciągu swej ostatniej długiej choroby, tak nic dla siebie nie wymagała, że była, jakby jej wcale nie było. Jeżeli ją ktoś odwiedził, przyjmowała to jakby z pewnym zdziwieniem, w przekonaniu, że nie zasługuje na żadne względy. O ile tylko mogła sama, zawsze wszystko koło siebie zrobiła, żeby się nikt dla niej nie trudził, żeby komu nie zrobić kłopotu. Lekarstwa przyjmowała tylko z posłuszeństwa. „Wiem, że mój koniec się zbliża, mówiła, co mi doktor pomoże". Ze spokojem wyglądała wezwania Pańskiego, a czując się coraz gorzej, przygotowała się do śmierci z całą świadomością. Przez trzy dni ostatnie była nieprzytomna, leżała wpół konająca, ale Pan Jezus widocznie chciał ją zasilić przed śmiercią swoją świętą obecnością na tę ostatnią przeprawę, bo parę godzin przed skonaniem odzyskała przytomność i prosiła o komunię św. Było to w czasie porannego pacierza. Poproszono zaraz X. Kapelana, który przyniósł jej Wiatyk św., przyjęła go z oznakami radości, poczem wkrótce zapadła w konanie i oddała Bogu ducha.

*

* *

Pewnego dnia świątobliwy X. Felicjan Bystrzonowski, Dyrektor Sióstr Miłosierdzia prowincji warszawskiej, Powiedział: „Moje siostry, nie wiecie, jakie skarby macie między sobą; taka

siostra Marianna Smyjewska, to jest święta". I rzeczywiście, można o niej powtórzyć to, co pierwsze nasze Siostry mówiły po śmierci św. Ludwiki: „Duch jej był zawsze wzniesiony ku Bogu".

Siostra Marianna Smyjewska urodziła się w roku 1851 z rodziny unickiej. Rodzice wcześnie ją odumarli, wychowała się więc w domu swego najstarszego brata, który był admistratorem dużego majątku niedaleko Lublina. Była najmłodszą z pośród licznego rodzeństwa, ale miała samych braci, jako córka była jedynaczką. Miała lat 12 kiedy wybuchło powstanie styczniowe. Bracia jej brali w nim udział czynny. Jeden z nich pochwycony przez Moskali wywieziony został na Syberię i tam zginął bez wieści, inni dla uniknięcia takiego losu musieli uciekać za granicę, do Galicji. Mała Marynia z początku nie zdawała sobie sprawy z tego co się dzieje i kiedyś o mało nie zdradziła, że jacyś panowie są w ukryciu, a byli to powstańcy. Z obawy, aby się to nie powtórzyło, bracia wtajemniczyli ją we wszystko, ona zaś umiała odpowiedzieć ich zaufaniu, a dusza jej w tych smutnych i niebezpiecznych czasach szybko nad jej wiek rozwijała się i dojrzewała. Gdy brat musiał uciekać, przez jakiś czas ona sama została na gospodarstwie ze starym ekonomem, bo jej niebezpieczeństwo ze strony Moskali nie groziło, a zawsze był ktoś do pilnowania domu. Zdając sobie już sprawę z położenia, sama dowiadywała się ostrożnie, czy nie ma gdzie w okolicy powstańców, a jeżeli się o ich obecności dowiedziała, tajemnie przygotowywała co mogła z żywności i zawoziła im, wspomagając ich czem mogła. Od czasu do czasu zjawiały się też oddziały rosyjskie i tych poniewolnie trzeba było także częstować, a raczej sami sobie zabrali, co chcieli.

Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo. Skoro przemoc moskiewska ujarzmiła powstanie, bracia i siostry Marianny przeszedłszy granicę nie mogli już wracać do kraju, więc bratowe przeniosły się do Lublina i tam założyły jadłodajnię dla studentów, Marynię zaś wzięły do siebie. Dzieweczka od najmłodszych lat była pobożną, Pan Jezus silnie pociągał do siebie czystą jej duszyczkę, ale nie znając żadnych zakonów, ani Zgromadzeń, myślała sobie tylko nieraz, żeby to tak można było pracować całe życie tylko dla Pana Jezusa, dla chwały Bożej. Zamieszkawszy w Lublinie, ofiarna i pracowita, wielką była pomocą bratowym,

a nie zadługo główny ciężar przedsiębiorstwa spoczął na jej barkach. Wtedy to poznała się z Siostrami Miłosierdzia i zapragnęła wstąpić do Zgromadzenia, ale miała wielkie trudności do przezwyciężenia, bo bratowym zdawała się niezbędnie potrzebną, więc słuchać nie chciały o tem, żeby ją miały puścić. Tak przeszło lat parę. Duszą całą rwała się do Boga, ale zapracowana od świtu do nocy, nie mogła nawet w dzień powszedni bywać na Mszy św. Aby choć trochę zadowolić gorące pragnienia swej duszy, wstawała bardzo rano i biegła do najbliższego kościoła dominikańskiego. Zastawała go zamkniętym, więc klękała przed drzwiami, odgarniając śnieg w zimie i tu modliła się przed Najśw. Sakramentem, dopóki służąca z koszykiem po nią nie przyszła, bo wtedy musiała już iść z nią na targ dla porobienia zakupów, a skoro wróciła do domu, już mowy nie było, aby mogła wybiec do kościoła. W tym czasie przyjechała do Lublina Siostra Wizytatorka Szwarc, panna Marianna przedstawioną jej została jako kandydatka, opowiedziała wtedy swoje trudności i gorące pragnienie poświęcenia się na służbę Bożą. Ponieważ miała już 21 lat, Siostra Wizytatorka powiedziała jej, że nie ma obowiązku wysługiwać się bratowym, które mogą same zająć się tą pracą, albo nająć sobie kogo, a będąc pełnoletnią może sobą rozporządzać. Nie mając innego sposobu uciekła wprost z domu i przybyła do Warszawy w maju 1872 r. Postulat odbyła w szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie siostra Służebna Aleksandra Kłoczewska prędko oceniła jej proste serce i gorącą duszę, to też najchętniej przyjęła ją po obłóczynach. Zgromadzenie było wtedy w bardzo trudnych warunkach, istnienie jego pod zaborem rosyjskim było zagrożone, przyjmowanie kandydatek było utrudnione, sióstr też było mało, a roboty zawsze dużo. Skoro Siostra Smyjewska przybyła do Seminarium, przełożeni skorzystali z osoby tak wyćwiczonej w prowadzeniu kuchni i gospodarstwa i powierzyli jej kuchnię św. Kazimierza z pomocą dwóch jeszcze seminarzystek i służby, tylko Siostry kornetowej żadnej nie było. Tak przez kilka miesięcy seminarzystki same prowadziły kuchnię. Pewnego dnia przygotowały obiad, przyniosły koprak z zupą do kuchenki, ale stawiając na stołku do wydawania, tak jakoś przechyliły, że koprak się zsunął, i wszystek krupnik poszedł na ziemię. Siostra Marianna załamała

ręce, bo tymczasem siostry wychodziły już z kaplicy i szły do refektarza. Nie wiele myśląc pospieszyła do siostry Wizytatorki przepraszając z wielką skruchą. „Nie martw się siostra, powiedziała matka Szwarc, nastaw tylko prędko wody, żeby się zagotowała zanim zjemy jarzynę, a potem dasz nam herbatę zamiast zupy". Tak zrobiła i wszyscy byli bardzo zadowoleni.

Po wzięciu św. sukni umieszczona w szpitalu Dzieciątka Jezus powierzoną miała sobie część kuchni tak zwany stół pierwszej klasy, zaś siostra Paulina miała kuchnię ogółu chorych i służby. Były to prawie oddzielne urzędy. Na tej jednej placówce siostra Marianna wytrwała lat przeszło 60 z rękami przy pracy, a duchem i sercem przy Bogu. Ziściły się marzenia, mogła więc już pracować dla Boga, a codzienna Msza św. i częsta Komunia św., bo codzienna Komunia św. nie była jeszcze wtedy dozwolona, były dla niej źródłem niewymownego szczęścia. Najgorętszym jej pragnieniem było stawać się coraz milszą Panu Jezusowi i nieustannie myślała czemby się mogla uświęcić. Pewnego dnia rano po pacierzu przyszedłszy do urzędu zobaczyła stojącą na stole flaszkę z wodą święconą, przejęta myślą ściągnięcia na siebie błogosławieństwa Bożego, nie wiele się zastanawiając napiła się jej trochę, ale zaledwie to uczyniła, przypomniała sobie, że to dziś właśnie dzień Komunii św. Zdrętwiała z przerażenia i tak się przejęła, że gdy tylko weszła do kaplicy, S. Służebna widząc jej twarz zmienioną, zapytała co się jej stało. Z płaczem opowiedziała swoją przygodę. Zacna Siostra Służebna poszła z nią zaraz do zakrystii, zapytać księdza, czy nie ma na to jakiej rady. Ksiądz kapelan, poczciwy staruszek, dobrotliwie pokiwał głową: „Jutro, jutro, powiedział, bo dziś to już nie można".

Praca jej była ciężka, mówiąc po ludzku, niewdzięczna, bo wszak wiadomo z doświadczenia, że przy całym wysiłku, mając najlepsze chęci, nie sposób jednak wszystkim dogodzić, zwłaszcza, gdy chodzi o jedzenie... Lecz siostra Marianna niczym się nie zrażała, od pierwszego dnia do ostatniego, całe życie swoje zawsze pogodna, uśmiechnięta, zawsze gotowa na każde zawołanie. Patrząc na nią, jako już staruszkę, ludzie świeccy pytali ze zdziwieniem, skąd w niej tyle hartu, tyle młodzieńczego zapału, taka gotowość i tyle uprzejmości dla wszystkich? Odpowiedź ła-

twa: Siostra Marianna żyła duchem wiary, gorąco, całym sercem kochała Pana Jezusa i Matuchnę Najświętszą, wiedziała, komu służy i gdzie trzeba szukać jej pomocy. Z miłości ku Bogu umiała sobie zadawać gwałt, który jej przeszedł w naturę. Pan Jezus zaś, patrząc na tę swoją umiłowaną oblubienicę, że łask Jego nie marnowała, coraz więcej ją ubogacał. A wiele musiała sobie gwałtu zadawać, bo żywa była i prędka, jak ogień, a przy tym sama porządna i dokładna, nie mogła znosić niedbalstwa. Żadna nawet służąca nie mogła się jej nadać, dopóki się nie wciągnęła w porządek i systematyczność. Weźmy tu jeszcze pod uwagę, że praca w kuchni zazwyczaj pobudza do niecierpliwości, skutkiem zdenerwowania, wywołanego natężoną uwagą, skierowaną na mnóstwo szczegółów, bo chwila nieuwagi może wywołać zmarnowanie czegoś, a także, że kuchnia w szpitalu Dzieciątka Jezus na tysiąc chorych i odpowiednio liczny personel, jest jakby jaką fabryką, gdzie jest wieczny ruch, gwar i wytężona praca, co dusze mniej gorliwe uważają za dostateczną wymówkę do ciągłego rozproszenia i opuszczania się w ćwiczeniach duchownych, a jednak Siostra Marianna, jak i Siostra Paulina potrafiły się w takich warunkach uświęcić i dojść do zjednoczenia z Bogiem tak ścisłego, że trudno o większe nawet za klasztornymi kratami. Naturalnie jednak, że nie przyszło im to bez wielkiego wysiłku, ale tajemnice ich walki i tych gwałtów, którymi się zdobywa Królestwo Niebieskie, poznamy dopiero w dzień Sądu Ostatecznego. Nim jednak Siostra Marianna doszła do tak zupełnego opanowania swego charakteru, nieraz się zdarzało, zwłaszcza w młodszym wieku, że się zniecierpliwiła, ale to nigdy długo nie trwało, bo prędko wracała do równowagi i przepraszała tych, którym przez to mogła przykrość wyrządzić lub dać powód do zgorszenia. Nie byłaby się nigdy położyła do łóżka, nie przeprosiwszy choćby najmłodszą towarzyszkę. Jedną z jej cech charakterystycznych było to, że w całej swojej osobie, w swojej powierzchowności, w sposobie mówienia, pomimo wielkiej prostoty, pomimo ciężkiej i grubej pracy, miała w sobie dziwną godność, wzbudzającą szacunek, a nawet podziw, miała powagę pełną słodyczy prawdziwej oblubienicy Pańskiej. Ale najwybitniejszą jej cechą, to była anielska pobożność i nieporównany dar modlitwy. Śmiało powiedzieć

można, że życie jej było nieustanną modlitwą. Wstawała zawsze o godzinie 4-ej, aby po pacierzu zajść do kuchni, a nie spóźnić się na mszę św., a po śniadaniu prędko zmieniała fartuch i spieszyła do urzędu. Zanim jednak założyła biały fartuch kuchenny, klękała przed figurką Najświętszej Panny, aby Jej siebie i pracę swoją polecić, potem otwierała jaką pobożną książeczkę, zwykle Naśladowanie, żeby przeczytać parę zdań, podnoszących ducha i nie tracąc chwili czasu, zabierała się do roboty. Jeżeli była jaka spokojna robota, jak przebieranie owoców czy jarzyn itp., głośno ze służbą odmawiała akty obecności Bożej, różaniec, godzinki. Największą jej radością, ucztą duchowną, były rekolekcje, mówiła, że gdy widzi Siostry, wyjeżdżające na rekolekcje, to uczuwa jakby zazdrość świętą i żal, że nie może z nimi polecieć, ale kiedy wracają, to ubolewa nad nimi, że teraz cały rok muszą czekać, a cieszy się, że jej kolej bliższa. Dowodem, jak gruntowną była jej pobożność i jak prawdziwą miłość Boża, była jej wielka i pełna poświęcenia miłość bliźniego. Okazywała ją przez wielką uprzejmość i gotowość do usług, jakich tylko od niej żądano, zwłaszcza zaś dobrą i troskliwą była dla Sióstr chorych, jakże się starała dogodzić im, nie żałując swego trudu. Na jakie dwadzieścia lat przed śmiercią Siostry Marianny, Siostra Służebna zaczęła wynajmować co roku w bliskości Warszawy domek w Powsinie na letnisko dla Sióstr chorych i potrzebujących wypoczynku. Tam Siostra Marianna od wiosny do połowy lata wyjeżdżała, aby prowadzić gospodarstwo i opiekować się nimi. Ile serca i trudu w to wkładała! Jakże starała się, aby żadnej na niczym nie zbywało, aby im ten pobyt umilić! Zwłaszcza, jeżeli wiedziała, że która niechętnie na letnisko jechała, albo jeżeli widziała którą przygnębioną, wtedy wysilała się, ażeby otoczyć ją tak macierzyńską troskliwością, tak serdeczną opieką, żeby każda dobrze się poczuła. Lecz nie tylko o doczesnych potrzebach myślała, potrafiła pobyt letniczek tak urządzić, aby wzmacniając ciało, ożywić we wszystkich ducha miłości siostrzańskiej i podnieść dusze do Boga. Miała w sobie ducha prawdziwie apostolskiego. Nie moralizowała i nie gderała, ale miała dar powiedzenia właściwego słówka we właściwym czasie. Co mówiła o Bogu było zawsze tak przeniknione miłością i tak z serca wyjęte, że do serc też przenikało i trudno

się było oprzeć wrażeniu. Pewnego dnia posłyszała za parkanem jakąś kłótnię, gromada chłopców o coś się posprzeczała, klęli i wymyślali sobie najgorszymi wyrazami. Siostra Marianna nie mogła tego znieść, wzięła parę medalików, parę obrazków i poszła ich uspakajać i za łaską Bożą doskonale się jej to udało. Zawsze nie znosiła kłótni i niezgody. Jeżeli się zdarzyło, że się dziewczęta kuchenne pokłóciły, tak umiała do nich przemówić, że musiały się pogodzić i przeprosić tego samego dnia. O służbę sobie powierzoną dbała, jak matka, starając się zwłaszcza wyrobić w nich prawdziwą pobożność, zachęcała je do zapisywania się do bractw i strzegła od złych wpływów. Niektóre po kilkadziesiąt lat przy niej przebywszy, ze wzruszeniem czasy te i dobroć Siostry Marianny wspominają i dotąd są wierne zasadom, jakie w nie wszczepiła. Gorliwość jej jednak nie ograniczała się do starania o swoje najbliższe otoczenie, przejęta pragnieniem, aby Pan Jezus przez wszystkich był uwielbiony, aby każda Siostra, ile jej sił starczy, jak najgorliwiej służyła chorym. Modliła się więc gorąco za biednych grzeszników, o łaskę dobrej śmierci dla tych, którzy żyli zdala od Boga, ofiarowywała Bogu na tę intencję swoje prace i trudy, mówiąc: „Nie mogę chorym służyć na sali, to choć w ten sposób łączyć się chcę z Siostrami".

Niekiedy jednak zdarzała się jej sposobność pracować bezpośrednio około nawracania dusz. W czasach ruchów socjalistycznych i strejków służby szpitalnej, kiedy bezbożność i różnego rodzaju prądy zakazane, dotąd w ukryciu siedzące, uważały sobie prawo obywatelstwa za zdobyte, pomiędzy służbą szpitalną odznaczał się bezbożnością jeden z chłopców podwórzowych, Klimek. Pewnego dnia S. Służebna słysząc go wykrzykującego bezbożne zdania powiedziała mu: „Czy też się nie boi, że go Pan Bóg skarze za takie słowa?" Na to Klimek podnosząc wyzywająco grabie, które trzymał w ręku, odpowiedział zuchwale: „A niech skarze, jeżeli jest!" Niedługo na tę karę czekał, bo wkrótce potem dotknięty został gruźlicą. Ponieważ był etatowym pracownikiem szpitalnym nie wydalono go, tylko zmieniono mu zajęcie, miał pilnować bramy. Właściwie siostry nie miały z nim nic do czynienia, bo służba podwórzowa zależy wprost od intendenta, do kuchni nie przychodził, bo był na swojem życiu, ale Siostra Słu-

żebna żałowała biedaka, który nie mając rodziny nie miał nikogo, ktoby się nim zajął, i w smutnym stanie duszy miał stanąć niezadługo przed Bogiem. Im więcej cierpiał, tem więcej klął i często powtarzał: „Żeby mnie już raz djabli wzięli!" Poleciła więc Siostrze Mariannie, aby mu czasem zaniosła coś z kuchni siostrzańskiej i trochę zatroszczyła się o jego potrzeby. S. Marianna nie omieszkała wypełnić to polecenie, zanosiła mu, to dobrego rosołu, to trochę kompotu, dodając zawsze dobre słowo i serdeczną modlitwę na jego intencję i tak koło niego chodziła, że ten bezbożny bluźnierca umarł pojednany z Bogiem.

Żyjąc zawsze duchem wiary, w takimże duchu zapatrywała się zawsze na swoich przełożonych, dla których przejęta była zawsze najgłębszą czcią, serdeczną miłością i gotowa na każde ich skinienie. Jej duch wiary najwyraźniej się okazał przy zmianie Siostry Służebnej, pod przewodnictwem której przebyła lat przeszło trzydzieści, i którą serdecznie kochała. Dla jej następczyni okazywała taką samą uległość, taki sam szacunek i takie samo oddanie.

Umartwienie jej nie było takie surowe i nadzwyczajne jak Siostry Pauliny, zdaje się, że nie wymyślała sobie specjalnych pokut, w cierpieniach swoich szukała z prostotą ratunku gdzie należało i z wdzięcznością przyjmowała dane jej środki, ale nigdy nie uchylała się od żadnego trudu, nigdy nie szukała swojej wygody ani przyjemności. Ona też nigdy, nigdzie nie wyjeżdżała i nie znała żadnych domów poza Domem Centralnym i Domem Wychowawczym, który styka się prawie ze szpitalem Dzieciątka Jezus i gdzie parę razy odwiedziła swoją dawną Siostrę Służebną z okazji imienin, czy też innej uroczystości. Wieczorem po pacierzu jednej minuty nie straciła bez konieczności, ale spieszyła do łóżka, żeby nazajutrz wstać o 4-ej, jeżeli jednak wypadła potrzeba czuwania, to była niezmordowana. Zdarzało się to zwłaszcza w okresie przedświątecznym, gdy samo pieczenie ciasta na potrzeby szpitala trwało trzy doby. Gdy w czasie takiej roboty, trzeba było trochę poczekać, zanim ciasto wyrośnie, zamiast zdrzemnąć się, czy choćby tylko przysiąść, klękała na kuchennej posadzce i odmawiała różaniec lub koronkę, aby ściągnąć błogosławieństwo Boże na swoją pracę, zaś od czasu do czasu paru słowami pod-

nosiła ducha w tych co z nią byli, że to dla Pana Jezusa pracują, choć sterana wiekiem podejmowała największe trudy i okazywała większą wytrwałość od młodych i silnych. Była bardzo umartwioną w układzie tak w kaplicy jak i przy pracy i wszędzie, a to nadawało jej postaci cechę dziwnej szlachetności. Bardzo była wierną w przestrzeganiu św. Reguł, tylko na letnisku stosowała się więcej do przyjętego tam regulaminu. Cierpieć umiała mężnie i pogodnie. Pod koniec życia dość często zapadała na zdrowiu, zwłaszcza przez dwa ostatnie lata ciągle prawie była cierpiąca, jednak i wtedy, skoro tylko czuła się trochę lepiej, jak mogła się na nogach utrzymać, to szła do swojej kochanej kuchni, żeby choć trochę dopomóc i chleba darmo nie jeść. A gdy tam iść nie mogła, to szła do oratorium i długie godziny spędzała przed Najśw. Sakramentem. W końcu już z łóżka powstać nie mogła, życie jej dochodziło już kresu. Cierpiała bardzo i długo. Otoczona troskliwą opieką wdzięcznych towarzyszek, za tyle pracy i posług im oddawanych, spokojnie wyglądała wezwania Pańskiego. Mawiała: „Pan Jezus daje mi czas, abym mogła przygotować się do śmierci i przeprosić za wszystkie swoje niedbalstwa i grzechy. Moje Siostry, pracujcie kiedy możecie, bo widzicie jaka ja już do niczego, pozostała mi się tylko modlitwa".

Nadszedł wreszcie dla niej ostatni dzień. Całe życie miała wielki szacunek dla kapłanów, jako piastunów Pana Jezusa i Jego zastępców, to też w ostatniej chwili nie zabrakło jej pomocy duchowej i absolucji. Była to środa popielcowa, z rana bardzo cierpiała, ale potem bóle się uspokoiły, przyjęła Wiatyk św., zaś Ostatnie Namaszczenie przyjęła była jeszcze poprzednio. Czując zbliżającą się śmierć wszystkie Siostry przepraszała i dziękowała za wszystko. Pożegnała też swoją lekarkę, a dziękując za tyle usług, jej oddanych, powiedziała: „Nie mogę się niczym wywdzięczyć pani doktór, ale jak pójdę do Pana Jezusa, to Go będę prosiła o łaski dla duszy, aby jej błogosławił nadal w pracy, ale najbardziej, dodała z naciskiem, będę prosiła o łaski dla duszy, boć przecież musimy się tam spotkać...". Tak ją tym roztkliwiła, że całując ręce umierającej, rozpłakała się. Prosiła, żeby jej ksiądz posypał głowę popiołem, skoro więc przyszedł X. kapelan, który niedawno utracił był matkę staruszkę, powiedziała do niego: „Ja

dzisiaj jeszcze odszukam tam w niebie matkę X. kapelana i pozdrowię ją od syna". Skoro zaś potem przyszedł drugi kapelan, który często w oratorium modlił się blisko Siostry Marianny, powiedziała: „Ja już tam nie pójdę, ale ksiądz, widząc moją pustą ławeczkę, niech się pomodli za duszę Siostry Marianny". Konanie przeciągnęło się prawie cały dzień, a właściwie to nie było konanie, bo była zupełnie przytomna, uśmiechnięta, promieniejąca radością, że idzie do Pana Jezusa. Leżała wysoko na poduszkach w pozycji prawie siedzącej, a jak całe życie w kaplicy budowała wszystkich swoją postawą jakby anielską, klęcząc zawsze prosto z rękami złożonymi, tak i teraz cały czas ręce trzymała złożone, jak do Komunii św., ciągle odmawiała różne akty strzeliste, od czasu do czasu podnosząc oczy w niebo z niewymowną tęsknotą. W postaci jej był dziwny majestat, a łóżko zdawało się być ołtarzem, na którym dopala się święta ofiara. Koło godziny piątej, czując, że słabnie, poprosiła ostatnią absolucję, X. kapelan zaraz przybył, a klęknąwszy przy łóżku, zaczął odmawiać różaniec z obecnymi tam Siostrami. Umierająca łączyła się z tą modlitwą, poruszając ustami, a gdy na zakończenie przycisnęła krzyżyk do ust, dusza jej w tejże chwili uleciała do Boga. Dziwnie pięknie wyglądała po śmierci, nie wydawała się wcale staruszką, a na twarzy jej rozlana była pogodna radość.

Wspomnienie tych drogich Sióstr jubilatek jest pokrzepieniem tych, które miały szczęście znać je na ziemi. Ich przykład jest drogowskazem, jak kochać Boga i jak Mu służyć w duchu powołania, jak przystoi na prawdziwą Córkę Miłosierdzia, mamy też nadzieję, że one tam w niebie, patrząc na nasze trudności i prace, niezawodnie modlą się za nas i wypraszają nam potrzebną cierpliwość i siły.

Wykaz zmarłych Konfratrów w 1938 roku.

1. Br. Filip Parente, Rzym, 12 XI 1937, lat 75, pow. 50.
2. X. August Henault, Hangchow, 18 I 1938, lat 68, pow. 47.
3. Br. Ludwik Gastinel, Istambul, 18 I 1938, lat 69, pow. 50.
4. X. Anioł Troisi, Neapol, 26 I 1938.
5. Br. Piotr Hoang, Chala, 30 I 1938, lat 57, pow. 29.
6. Br. Jan Palacios, Madryt, 11 1936, lat 61, pow. 35.
7. X. Piotr Benito, Madryt, 16 I 1938, lat 64, pow. 46.
8. X. Anakariusz Perez, Madryt, 20 I 1938, lat 72, pow. 54.
9. Jan Silwa, Diamantina, 2 II 1938, lat 61, pow. 41.
10. Br. Jakub Dos Santos, Felgueiras, 6 II 1938, lat 80, pow. 51.
11. X. Henryk Hendre, Bejrut, 25 II 1938, lat 76, pow. 52.
12. X. Józef Rolland, Paryż, 1 III 1938, lat 67, pow. 47.
13. Br. Piotr Blanco, Madryt. 9 I 1938, lat 67, pow. 25.
14. X. Ludwik Calzado, Pampelun, 24 XII 1937, lat 54, pow. 37.
15. X. Piotr Bruning, Quito, 11 III 1938, lat 68, pow. 45.
16. X. Emanuel Monteiro, Lisbona, 11 III 1938, lat 64, pow. 44.
17. X. Oskar Lukesch, Wiedeń, 7 III 1938, lat 60, pow. 41.
18. X. Emil Cazot, Paryż, 1938, lat 74, pow. 53.
19. X. Tomasz Kickham, Dublin, 18 III 1938, lat 68, pow. 46.
20. X. Józef Mello, Pernambuco, 15 III 1938, lat 72, pow. 52.
21. X. Jacek Villanin, Manilla, 12 III 1938, lat 66, pow. 51.
22. X. Kasper Ramella, Genua, 27 III 1938, lat 95, pow. 79.
23. X. Ludwik Goband, Tunis, 29 III 1938, lat 81, pow. 60.
24. X. Dawid Landi, Sarzana, 28 III 1938, lat 70, pow. 52.
25. X. Henryk Faury, Bejrut, 30 III 1938, lat 57, pow. 30.
26. X. Jeremiasz Tracy, Groveport, 28 III 1938, lat 67, pow. 48.
27. Br. Antoni Maag, Costa-Rica, 4 IV 1938, lat 64, pow. 39.
28. X. Franciszek Aroud, Gentilly, 9 IV 1938, lat 69, pow. 51.

29. X. Józef Cabral, Rio de Janeiro, 4 IV 1938, lat 46, pow. 27.
30. X. Alfred Hauspie, Vanchang, 13 IV 1938, lat 59, pow. 40.
31. X. Franciszek Sancher, Manilla, 30 III 1938, lat 70, pow. 50.
32. X. Kandyd Munarris, Puebla, 29 III 1938, lat 40, pow. 19.
33. X. Jan-Maria Bouchet, Puy, 16 IV 1938, lat 66, pow. 46.
34. X. Julian Barelis, Toursainte, 27 IV 1938, lat 76, pow. 44.
35. Br. Wilhelm Meutren, Quito, 29 IV 1938, lat 89, pow. 66.
36. X. Paweł Ly, Ankuo-Chiny, 27 IV 1938, lat 52, pow. 29.
37. X. Józef Alvarenga, Kurytyba, 6 V 1938, lat 28, pow. 8.
38. X. Franciszek Wójciak, Olcza, 14 V 1938, lat 38, pow. 19.
39. X. Br. Brunon Antoni, Murguia, 13 V 1938, lat 76, pow. 48.
40. X. Józef Martin, Paredes de Nava, 15 IV 1938, lat 62, pow. 45,
41. X. Stefan Degland, Berceau, 24 V 1938, lat 72, pow. 51.
42. X. Tomasz Mec Donell, Nowy Orlean, 26 V 1938, lat 50, pow. 18.
43. X. Edmund Cullen, Dublin, 31 V 1938, lat 70, pow. 48.
44. X. Beniamin Frechet, Rio de Janeiro, 26 V 1938, lat 78, pow. 52.
45. Br. Ludwik Cremillien, Santiago, 28 V 1938, lat 65, pow. 41.
46. X. Hubert Willems, Lowanium, 6 VI 1938, lat 66, pow. 44.
47. X. Franciszek Ramella, Chiavari, 10 VI 1938, lat 90, pow. 75.
48. Br. Joachim Nunes, Berceau, 1938, lat 69, pow. 48.
49. X. Józef Hennebelle, Tulear, 13 VI 1938, lat 39, pow. 22.
50. X. Józef Caussanel, Paryż, 24 VI 1938, lat 89, pow. 62.
51. X. Leander Daydi, Madryt, 27 VI 1938, lat 85, pow. 60.
52. X. Tomasz Maher, Brooklyn, 19 VI 1938, lat 43, pow. 24.
53. X. Jakób Hayden, Germantown (Filadelfia), 26 VI 1938, lat 81. pow. 61.
54. X. Jan Cucchiarelli, Rzym, 7 VII 1938, lat 63, pow. 47.
55. X. Ludwik Pagliani, Rio de Janeiro, 2 II 1938, lat 81, pow. 56.
56. X. Kastor Ordonez, Chicago, 28 VI 1938, lat 58, pow. 42.
57. X. Józef Mc. Key, Springfield, 3 VII 1938, lat 62, pow. 44.
58. X. Jerzy Vatterodt, Kolonia. 17 VII 1938, lat 56, pow. 36.
59. Br. Krystian Doplat, Panningen (Holandia), 25 VII 1938, lat 67, pow. 44.
60. X. Jan Prosseda, Rzym, 25 VII 1938, lat 66, pow. 51.
61. Br. Jan Chang, Kashing, 3 VII 1938, lat 55, pow. 20.
62. Br. Piotr Peron, Casale, 2 VIII 1938, lat 80, pow. 54.

63. X. Teodor Van Oijen, Nimegue (Holandia), 6 VIII 1938, lat 47, pow. 27.
64. Kl. Józef Apati, Szob, 9 VIII 1938, lat 23, pow. 3.
65. X. Franciszek Preau, Guatemala, 16 VIII 1938, lat 82, pow. 59.
66. X. Bernard Kuennen, Petropolis, 14 VIII 1938, lat 55, pow. 37.
67. X. Feliks Dekempeneer, Bikoro, 26 VIII 1938, lat 67, pow. 47.
68. X. Maurycy Cotter, Germantown, 29 VIII 1938, lat 76, pow. 18.
69. Br. Justyn Dier, Orense, 1 VIII 1938, lat 73, pow. 39.
70. X. Jan Borry, Malvern, 11 IX 1938, lat 69, pow. 45.
71. X. Ludwik Caumette, Buenos Aires, 27 VIII 1938, lat 62, pow. 39.
72. X. Secundino Gutiérrez, Cebu, 28 VIII 1938, lat 35, pow. 19.
73. X. Kasper Teixido, Parma, 28 IX 1938, lat 34, pow. 16.
74. X. Jan De Boer, Susteren, 5 X 1938, lat 55, pow. 36.
75. Br. Jan Tobar, Meksyk, 18 IX 1938, lat 73, pow. 55.
76. X. Wincenty Angulo, Manilla, 17 X 1938, lat 69, pow. 53.
77. Br. Franciszek Brunneger, Istambul, 26 V 1938, lat 37, pow. 18.
78. X. Antoni Malloy, La Salle (Ameryka), 13 VIII 1938, lat 62, pow. 46.
79. X. Józef Baeteman, Dom Macierzysty, 28 X 1938, lat 58, pow. 36.
80. X. biskup Paweł Misner, Yukiang, 3 XI 1938, lat 47, pow. 27.
81. Br. Jacek Güel, Espluga de Francoli, 20 V 1938, lat 62, pow. 44.
82. X. Raymund Gonzales, Valdemoro, 25 X 1938, lat 68, pow. 38.
83. X. Józef Sammon, Germantown, 28 X 1938, lat 49, pow. 28.
84. Br. Alfons Moliner, Murguia, 18 XI 1938, lat 64, pow. 45.
85. X. Feliks Puyaubreau, Teheran, 28 XI 1938, lat 60, pow. 40.
86. Br. Józef Wholey, Germantown, 19 XI 1938, lat 70, pow. 44.
87. X. Gaston Bignon, Quito, 7 XII 1938, lat 63, pow. 43.
88. X. Józef Danielik, Ladce, 9 XII 1938, lat 57, pow. 39.
1. X. arcybiskup Ludwik Durore, Guatemala, 17 XII 1938, lat 68, pow. 37.

Słowo do Polskiej Prowincji [1]).

W najtrudniejszych warunkach życia czerpiemy odmładzającą nas siłę na szczęśliwą przyszłość w pamięci o naszych Ojcach, którzy kładli fundamenty pod nasze dzieła i naszą pracę: „Na uszy nasześmy słyszeli, i ojcowie nasi nam opowiedzieli, — tak sobie powtarzamy za Psalmistą (ps. 43). I Ojcowie z dawnej Polski, od czasu św. Wincentego, — i Ojcowie w odrodzonej Prowincji, od czasu Ojca Etienne, żywo przemawiają do nas, i zachęcają nas, polskie dzieci św. Wincentego, do zbierania nowych sił, by nie tylko podtrzymywać, ale mnożyć i rozwijać dzieła Zgromadzenia, i z niezachwianą ufnością nie bać się trudu i przeciwności, ale z weselem serca służyć wiernie Panu Bogu na każdy dzień z całym poświęceniem.

Tam za południowym Atlantykiem pracuje już 36 lat na odcinku misyjnym, do nas przydzielonym, jeden z tych Ojców, Czcigodny X. Bolesław Bayer, który w roku 1939 święcić będzie jubileusz pięćdziesiątej rocznicy kapłaństwa. Na zawołanie, bez słowa sprzeciwu, nie zawahał się odpowiedzieć na wezwanie: „Otom ja", kiedy w r. 1903 w maju przyszło zacząć pracę na wychodźtwie polskim w Brazylii. Z dwoma Księżmi i braciszkiem pojechali kłaść fundament pod rozwiniętą dzisiaj wiceprowincję polską. Dziś już istnieje tam Małe Seminarium dla zabezpieczenia powołań, które z nami mają dalej rozwijać dzieło Boże. Wszyscy z wdzięcznością zwracamy się do niego i ufamy, że nam Pan Jezus pozwoli otoczyć go kołem serc szczerych, kiedy, da P. Bóg, w lipcu przyjedzie do nas na konwent prowincjonalny. Z nim będziemy dziękowali Zbawicielowi za to, co przez niego zdziałał dla dusz, dla ojczyzny, dla nas. A my przy tym będziemy się zagrzewali, pomni budującej przeszłości, do nowej gorliwości na bogatą przyszłość.

---

[1]) Po złożeniu i wydrukowaniu całego »Rocznika« dopiero otrzymaliśmy to ciepłe »Słowo«. Żałujemy, że nie mogliśmy mu dać pierwszego miejsca, jakby się należało. Szkoda. (*Redakcja*).

Szczęśliwi, że możemy z łaski Pana Boga pracować na misjach w Chinach i w Shunteh, i w Wenchow, staramy się, i będziemy się z ochotą serdecznie starali pójść śladami kochanych, miłujących nas i nad miarę zapracowanych Konfratrów, by wzmocnić ich szeregi, by odpowiedzieć zaufaniu, położonemu w nas przez Stolicę Apostolską. Tam już mamy w niebie dobrego Braciszka Władysława, który pragnął życie swoje złożyć w ofierze Panu Jezusowi, i miał to szczęście, że przelał krew dla Niego. Tam 19 stycznia b. r. jeden z pierwszych naszych Misjonarzy, po trudach i cierpieniach, ś. p. Antoni Górski, w 36 roku życia, żyjąc krótko, jak mówi Mądrość dopełnił czasu wiele. I te łaski, i te osierocone placówki wołają do nas głośno z dalekiego wschodu, byśmy z podwojoną miłością spieszyli na błagalne wołanie naszych, tak nam Drogich Braci, z nową ofiarą dla Boskiego Zbawiciela, i dla dusz, powierzonych naszej gorliwości przez Niego. W Ameryce północnej zbiera z poświęceniem pomoc dla Shunteh X. superior Witaszek, zaś dla Wenchow X. Łukasz Sitko. W czym możemy, pomagajmy im, bo to nasza własna sprawa. I drogie Siostry pracują z nami w Shunteh i w Wenchow. Modlitwą i czynem miłosierdzia jednajmy im pomoc, bo my wszyscy dzieci świętego Wincentego, Apostoła modlitwy i miłosierdzia.

W Północnej Ameryce zajął miejsce rektora w kolegium w Erie, dawny tam dyrektor X. Stefan Król. W jego miejsce prokuratorem prowincji mianował Ojciec Generał X. Antoniego Skrzydelskiego. W Radzie prowincjonalnej mianowany ostatnio X. superior Józef Krauze.

Konwent prowincjonalny zwołany na 3 lipca b. r. Może Dobry Zbawiciel pozwoli nam z tej okazji poświęcić kościół ku czci św. Wincentego w Bydgoszczy i drugi przynajmniej dźwignąć we Lwowie. Przejęci duchem powołania naszego wszystkie polskie dzieci św. Wincentego pracować będziemy, gdziekolwiek nas posłuszeństwo postawi, z rzewną na każdy dzień gorliwością nad uświęceniem własnym, dla uświęcenia drugich, by kiedyś być zbudowaniem dla tych, co przyjdą po nas i będą powtarzali: „na uszy nasześmy słyszeli, i ojcowie nasi nam opowiedzieli".

X. Józef Kryska C. M.

Shuntehfu, dnia 19 stycznia 1939 r.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Ł. P. N. n. z. b. z n.

Smutną dziś posyłam wieść: X. Górski dziś w południe umarł. Od tygodnia był w szpitalu, bo miał zapalenie ucha. Miał opiekę lekarską, nie X. Szuniewicza, ale lekarza chińskiego. Ostatnie dni czuł się dobrze, dopiero wczoraj rano wymioty, ból głowy, a w południe stracił przytomność i już nie odzyskał jej aż do dziś południa, do chwili śmierci. Dla misji strata, bo nie ma nikogo na zastępstwo. Dla niego, mym zdaniem zysk — zmarł na posterunku, po misjonarsku, z krzyżem w ręku. Sam Bóg w przedziwnej swej mądrości i dobroci wszystkim tak dziwnie pokierował. Ponieważ nieboszczyk bardzo kochał misję, więc pozwolił mu tu zostać i zabrał go do siebie z posterunku. *Requiescat in pace.* Pogrzeb zrobimy dopiero 24, by i inni konfratrzy z dalszych stron mogli przyjechać.

Znad tej otwartej jeszcze mogiły idzie teraz jeszcze raz prośba do Czcigodnego X. Wizytatora o pomoc, o przysłanie tych co są już przeznaczeni, o przygotowanie nam odpowiednich pomocników dla podołania rozrastającej się pracy naszej.

Polecam się wraz z całą misją modlitwom Czcigodnego X. Wizytatora i pozostaję w miłości Jezusa i Marii Niepokalanej.

X. T. Krause
n. k. Z. M.

ROCZNIKI

Obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo

1938

SPIS ROCZNY

Prenumerata roczna 10 złotych (2 dol.)

Opłata na konto czekowe Nr. 150.142 — ks. Król, Kraków.

PRZYPOMNIENIA.

Usilnie prosimy pamiętać o przesłaniu prenumeraty. Niektórzy nasi P. T. Abonenci zalegają za rok 1938. Inni nawet za lata dawniejsze. Mamy nadzieję, że zaległości będą wyrównane jak najprędzej. — Rocznie 10 złotych. P. K. O. konto czekowe Nr 150.142 — X. Król, Kraków. Przy tym zwrócić musimy uwagę na rzecz, która na to zasługuje, mianowicie, żeby pilnie kompletowano we wszystkich domach naszej Prowincji Roczniki obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo. Mało bowiem uświadamiamy sobie fakt, że wychodzą już od 41 lat, a zatem liczą już 41 tomów i nie wszędzie istnieje ich komplet. Może za jakiś czas komplety Roczników należeć będą do białych kruków. Stąd też pamiętać trzeba o oprawieniu ich, bo luźne zeszyty napewno się rozlecą.

Niektóre zeszyty dawniejszych Roczników można jeszcze nabyć na Stradomiu w Administracji Roczników po normalnej cenie. Ale niektóre tomy i tam są zupełnie wyczerpane.

Wielebnych księży Superiorów uprasza się, aby wiadomości do Kroniki i artykuły zechcieli przesyłać do Redakcji równie ochotnie i obficie jak dotąd.

Przy przesyłce pieniężnej nie wystarczy napisać „na Roczniki", bo Roczniki są różne. Ale należy wyraźnie wymienić:
„na Roczniki obydwóch Zgromadzeń".